

KRYTYKA NAUKOWA DZIEŁ SZTUKI. *)

(EMIL HENNEQUIN).

I.

Emil Hennequin, przedwcześnie zmarły krytyk francuski, był Szwajcarem z pochodzenia, czemu zapewne zawdzięczał znajomość obcych języków, tak rzadką we Francyi, nawet w świecie naukowym i literackim. Poliglotyzm ten utorował mu drogę do dziennikarstwa w Paryżu, gdzie był naprzód redaktorem w agencyi Havasa, następnie zaś w dzienniku *le Temps*. Zapewniwszy sobie w ten sposób *pied-à-terre* i ożeniwszy się jak na spokojnego obywatela przystało, niespodziewanie, w 1888 r. Hennequin, kąpiąc się w Marnie pod Paryżem, gdzie przebywał na letniém mieszkaniu, utonął, licząc zaledwie lat 30. W ten sposób nagle przerwaną została egzystencya nietylko użytecznego dziennikarza, lecz i wybitnego już a więcéj jeszcze zapowiadającego krytyka literackiego.

Mówiąc „krytyka literackiego“, nie chcę robić krzywdy cieniom gorąco żałowanego przez przyjaciół i czytający ogół pisarza—Hennequin bowiem odżegnywał się jak od czarta od krytyki „literackiéj“, pragnął zaś zainaugurować prawdziwą i gruntowną „krytykę naukową“ dzieł sztuki, którąby nie miała nic wspólnego z literackiemi „ocenami“. Nie był zresztą o tyle zarozumiały, ażeby się przyznawać do wynalezienia téj metody i téj gałęzi wiedzy. Nie. Za torujących teoryę i założycieli krytyki naukowéj uznawał Hennequin po-

---

[1]) Główne dzieło Hennequin'a: „Zasady krytyki naukowéj“ przetłómaczone zostało przez Rawitę i wydano świéżo u Centnerszwera w Warszawie.

trosze już Cousin'a i Villemain'a, następnie, z większém jeszcze prawem, Sainte-Beuve'a, za mistrza zaś jéj uważał Taine'a.

Sainte-Beuve był przedewszystkiém „krytykiem-biografem", poczynał sobie już jednak w sposób naukowy. Żałował on mianowicie, że „nauka moralisty" jest tak mało jeszcze ugruntowana i nosi charakter zaledwie anegdotyczny; kiedy zaś idzie o bliższe zapoznanie z danym autorem, musimy się dokładnie poinformować o kraju i rasie, z któréj pochodzi, o jego rodzicach i rodzeństwie, latach dziecięcych, wychowaniu i grupach literackich, do jakich należał. Oprawiwszy dopiéro dzieło i autora w takie ramki, odnajdujemy prawdziwe znaczenie historyczno-literackie danego utworu i pisarza. Być w historyi literatury i w krytyce uczniem Bakona, pisał Sainte-Beuve jest potrzebą czasu i koniecznym warunkiem dla oceny danego dzieła i rozmiłowania się w niém. Hennequin nie może tylko darować i temu krytykowi, że chciał także „oceniać", wymaganie jednak powyższe uważa za prolegomena krytyki naukowéj. Taine ostatecznie ukonstytuował krytykę, jako naukę. Zajmuje się on przedewszystkiém określeniem stosunku danego dzieła, do jego twórcy, oraz tegoż do jego otoczenia. Metoda mistrza jest rodzajem dyalektyki, która polega na tém, ażeby z pewnego dzieła sztuki wyprowadzić wnioski, dotyczące artysty, który je wytworzył, oraz społeczeństwa, które wydało artystę. Nie wchodząc w tém miejscu bliżéj w rozbiór metody Taine'a, zaznaczamy, że starał się on, jak mówi Hennequin, „demonstrować" nie zaś sądzić, analizować i komentować zamiast ganić i chwalić. Dzieło sztuki nie obchodzi go jako takie, lecz tylko jako „znak" człowieka, lub narodu, który je stworzył.

Po za granicami Francyi Hennequin nie uważa za potrzebne liczyć się z Brandesem, którego ma niesłusznie za rodzaj Sainte-Beuve'a, „krytyk-biograf" nie zajmował się bowiem nigdy literackiemi „prądami". Z krytyków angielskich Matthew Arnolds'a uważa za teologa, Patera za retoryka i historyka wyłącznie, Vernon'a Lee i Symonds'a z dodatkiem... Ruskina za niepoprawnych indywidualistów i tylko Posnett'owi, autorowi *Comparative litterature*, przyznaje w zupełności tytuł krytyka naukowego. Nie lepiéj traktuje Hennequin i krytyków francuskich. Nie zdaje mu się, ażeby Bourget brał na seryo swe *Essais de Psychologie Contemporaine*, ażeby wypowiadał tam jakieś oryginalne poglądy, a témbardziéj miał ochotę bronić ich i naukowo uzasadniać, jak np. zdanie, że „twórcy danéj epoki literackiéj nadają odpowiedni charakter epoce następnéj". Lemaitre i France, są miłymi, ponętnymi jednak „kronikarzami literackimi" (gatu-

nek niższy jeszcze od „krytyka literackiego“); de Vogué jest moralistą, Brunetière jednostronnym i tendencyjnym i t. d.

„Krytykę naukową“ Hennequin przeciwstawia jaskrawo krytyce literackiéj lub publicystycznéj. Literackiéj chodzi wyłącznie o ocenę dzieła, „recenzyę“, o s ą d z e n i e go ze stanowiska własnego smaku, jeżeli nie „widzi mi się“, lub co najwyżéj ze stanowiska zapatrywań pewnéj koteryi, pewnéj tradycyi literackiéj lub pewnéj doktryny. Taką była krytyka Boileau i Perrault'a, następnie zaś La Harpe'a, Diderota we Francyi, Addisona w Anglii, Lessinga w Niemczech... krytyka naukowa to zupełnie co innego! Nie idzie jéj wcale o to lub owo dzieło, nie chce ona go „sądzić“, „oceniać“... operacye te bowiem, zdaniem Hennequin'a, mają charakter zupełnie subiektywny a zatém nienaukowy. „Krytyka naukowa“ szuka w dziełach sztuki jedynie „śladów“ duszy artysty i duchów mu pokrewnych, są one dla niéj tylko środkiem do odkrycia, owych tainowskich „znaków“ (*signes*), po których doszlibyśmy do określenia pewnych psychicznych, właściwości pisarza. Chodzi mianowicie bądź to o oznaczenie pewnych charakterystycznych właściwości dzieła sztuki, bądź o zaznaczenie pewnych zasad estytyki, bądź o wykrycie u autora pewnego mechanizmu mózgowego, bądź jeszcze o określenie warunków społecznych, w jakich dzieło się pojawiło lub téż o wytłómaczenie praw historycznych czy organicznych tych uczuć, jakie ono wywołuje. Nic bardziéj niepodobnego do rozsądzania, czy dzieło złém lub dobrém... chodzi tu bowiem o informacye psychologiczne, estetyczne, socyologiczne, o pracę czysto naukową, która odkrywa przyczyny, skutki, prawa rządzące zjawiskami, bez żadnych predylekcyi“ i t. d. [1]).

Nauka w ten sposób określana nie powinna, według słusznéj uwagi Hennequin'a, nazywać się „krytyką“. Przystoi jéj natomiast zupełnie miano „Estopsychologii“. Posługuje się ona estetyką, psychologią, socyologią (dlaczegoż więc nie „esto-psycho-socyologia“?) dla wyprowadzenia z badanych dzieł sztuki pewnych wywodów i wyobrażeń psychologicznych o pewnych wybitnych twórcach artystycznych, o grupach około nich tworzących się, o prądach zresztą, które w ten sposób powstają. „Estopsychologia“ powinna być więc raczéj pewną gałęzią psychologii lub socyologii, niż krytyką. Nową atoli nazwę Hennequin uważa za niedość dogodną i woli posługiwać się starym terminem „krytyka“, z dodatkiem „naukowa“, mimo, że istnieje w ten sposób obawa wpadnięcia w nienawistną krytykę literacką, sądy, oceny...

---

[1]) La Critique Scientifique, str. 2.

Żart na stronę. Nie bierzemy zbytnio na seryo owego hennequinowskiego podziału krytyki na dwa przeciwległe bieguny — literacką i naukową. Albo coś jest krytyką, albo nią nie jest. Można zapewne dopatrywać się zasadniczéj różnicy między badaniami mającemi na celu rozpatrzenie jedynie psychosocyologicznych warunków twórczości artystycznéj, wykrycie wzajemnego stosunku różnych wpływów i prądów; można dzielić naukę na czystą, ile możności objektywną, gromadzącą naukowy materyał i stosowaną, posiłkującą się nim w celach ściśle krytycznych i publicystycznych, dla oceny i sądu, nie pojmuję jednak dlaczego bać się mamy jak ognia owego „oceniania“ dzieł sztuki i odmawiać mu całkiem naukowego charakteru! Subiektywizm przytém jest konieczną formą naszych wrażeń, wyobrażeń i poglądów, które tém są gruntowniejsze, im na szerszéj opierają się podstawie... jeżeli tylko nie stracą zupełnie formy subiektywnéj i nie rozpłyną się w bezosobowym i bezkształtnym eklektyzmie.

Nie róbmy jednak zbyt drobiazgowego procesu o to Hennequinowi. Monopolizując naukowość dla swéj krytyki lub krytyki w pewien właściwy sposób pojmowanéj, chciał on tylko, mniéj lub więcéj świadomie oddzielić ją od innych zapatrywań i metod krytycznych. Rozpatrzmy więc raczéj co nam daje w ramach swéj e s t o p s y c h o l o g i i.

Hennequin, dzięki znowu szwajcarskiemu pochodzeniu, umiał szerzéj nieco patrzéć na zadania swéj nauki, niż zazwyczaj ma miejsce w sferach literackich we Francyi; wkluczał on w zakres swych spostrzeżeń i dzieła zagraniczne, był erudytą, posiadając przytém „niemiecką“ metodyczność, skłonność do systematyczności i klasyfikacyi przedmiotu. Miał niewątpliwie rozległy zapas wiadomości, umysł niezależny, dar spostrzegawczy, zdolności syntetyczne i literackie wykształcenie. Wszystko to uzdolniło go do stworzenia pewnego naukowego całokształtu. Prace swe pomieszczał on pierwiastkowo w *Revue Contemporaine* i był w bliskiéj styczności z grupą młodych umysłów, w łonie których skrystalizował się następnie symbolizm, najnowszy zwrot w rozwoju literatury francuskiéj.

Naukowém stanowiskiem zbliża się Hennequin do swego „mistrza“, Taine'a, pragnie być jego kontynuatorem, zobaczymy jednak, że w niektórych punktach nader ważnych i zasadniczych rozchodzi się całkiem w zapatrywaniach z autorem „Filozofii sztuki“. W téj różnicy poglądów należy dopatrywać się wpływu nowych idei filozoficzno-psychologicznych, którym Hennequin wespół z młodą drużyną literacką ulegał. Zobaczymy również, że ten naukowy krytyk literacki z profesyi umié wznosić się na wyższe stanowisko, wychodzić

z swego specyalnego zakresu i patrzéć na literaturę i sztukę z rozleglejszego, socyologicznego stanowiska.

Mimo przedwczesnego zgonu, zdołał jednakowoż Hennequin wypowiedziéć w całości swój pogląd na krytykę naukową literacką, lubo następnie byłby niewątpliwie schemat swój ściśléj opracował, pogłębił, skrystalizował i dał mu obfitsze zastosowanie. Całość poglądów Hennequin'a mieści się w dziele p. t. *La Critique scientifique*, które wyszło w r. 1890 w Paryżu w drugiém wydaniu. Uzupełnieniem dzieła tego są dwa tomy szkiców, pod ogólnym tytułem: *Etudes de critique scientifique*, a mianowicie *Quelques écrivains français* (Paryż, 1890), dzieło pośmiertne, zbiór poprzednio drukowanych studyów, nie dość z sobą powiązanych, ilustrujących jednak doktrynę Hennequina, oraz *Ecrivains francisés* (Paryż, 1889), tom przygotowany do druku przez autora i opatrzony szczegółowemi wywodami.

Po tych wstępnych uwagach postaramy się zapoznać z samym systemem „naukowéj krytyki literackiéj“.

II.

Krytyka naukowa Hennequin'a jest przeważnie analityczną. Autor rozróżnia przytém analizę estetyczną, psychologiczną, wyróżniając znowu w każdym z tych poddziałów fakty ogólniejsze i szczegółowsze a wreszcie stosunek do zjawisk pokrewnych. Rozbiór ten z jednéj strony nader drobiazgowy, z drugiéj szeroko bardzo zakreślony, pozwala krytykowi wyprowadzać z dzieł rozbieranych wnioski, dotyczące estetycznych właściwości pisarza i osiąganych przez nie wpływów, daje następnie materyał do wywodów, odtwarzających nam wewnętrzne usposobienie, duszę artysty, a wreszcie prowadzi nas do wniosków socyologicznych o naturze wpływów, wywieranych przez danego pisarza na koła bliższe i dalsze czytelników, a wreszcie na społeczne grupy i warstwy, na naród cały. Zauważyć należy we względzie téj krytycznéj metody, iż szczegółowa analiza dzieł sztuki daje nam indukcyjny materyał, premisy do dekukcyjnych wywodów esto-psycho-socyologicznych. Na tém jednak praca krytyka się nie ogranicza. Po ukończeniu rozbioru analitycznego przechodzimy do syntezy: estetycznéj, psychologicznéj i socyologicznéj i na téj drodze odtwarzamy znowu w całości to cośmy poprzednio rozebrali na części, a więc dzieła same, ich autora i ogół warunków fizyczno-biologiczno-społecznych, w jakich wyrósł artysta i jego utwory. W téj drugiéj części naszego krytycyzmu materyał do rozpatrzenia dzieł sztuki,

czerpiemy z zewnątrz z innych nauk lub faktów i dedukcyjnie stosujemy go do danego autora.

Taki jest całokształt systemu Hennequin'a, punkt jednak ciężkości jego krytyki leży w pierwszéj części procedury rozbiorczéj, w analizie. Dla krytyka naszego dzieło, utwór sztuki jest punktem wyjścia, najważniejszym i najgłówniejszym materyałem, z którego czerpie swe wnioski, odnoszące się do saméj twórczości artystycznéj, autora i społeczeństwa, które go wydało. W tym punkcie wyjścia leży oryginalność i wartość krytycznego systemu, który postaramy się zobrazować szczegółowo, i to właśnie odróżnia Hennequin'a od szkoły Sainte-Beuve'a lub Taine'a— mimo blizkie z niemi pokrewieństwo—w szkołach tych bowiem do autora i dzieł jego dochodzi się zazwyczaj z daleka, ubocznemi i okólnemi drogami, przez rasę, ród, dziedziczność, społeczeństwo, otoczenie i t. d. Względów tych i Hennequin nie pomija, uważając je atoli za mniéj pewne i ustalone, zaczyna od rzeczy najpewniejszéj i najbliższéj, od samego dzieła i z tego dopiéro stanowiska robi dalsze wycieczki. Ten punkt wyjścia, różny od mistrzów spółczesnych, prowadzi do odmiennych w niejedném z wywodów, obrany téż został przy innych nieco wskazówkach, jakie daje nauka najnowsza, zakwestyonowawszy wiele twierdzeń stanowczych z początku drugiéj połowy naszego stulecia.

Wejdźmy jednak *in medias res*, zaczynając od rozbioru estetycznego.

Analizę esteczną przeprowadza krytyk w dwu kierunkach: co do skutków przez autora osiąganych i środków, jakiemi się posługuje. Skutkami będą oczywiście wpływy estetyczne na czytelników, środkami: język, składnia i wogóle forma artystyczna. Hennequin zaczyna od rozbioru i określenia samego estetycznego wrażenia (*émotion esthétique*). Jest to najsłabszy punkt psychologii uczuć i wrażeń estetycznych wogóle, teoryi zaś naszego krytyka w szczególności. Rzecz jednak wydaje się dosyć prostą. W pośród wielu wrażeń, jakie od świata zewnętrznego otrzymujemy, istnieje osobna kategorya wrażeń tak zw. estetycznych, które nietylko sprawiają nam przyjemność, co wspólne jest wielu innym wrażeniom, lecz mianowicie specyalną przyjemność, pochodzącą od wrażenia piękna. Bliższe określenie tego, co robi na nas wrażenie piękna należy do fizyki i fizyologii. Faktem jest, że pewne połączenia kształtów, barw, dźwięków, uczuć, obrazów i t. d., sprawiają nam przyjemność estetyczną, podczas gdy inne kombinacye wywołują przykry rozdźwięk i rozstrój. Jest to fakt fizyologiczno-estetyczny, którego rozbiérać tu bliżéj nie będziemy. Dzieła sztuki mają to właśnie wspólnego, że sprawiają

nam sztucznie spotęgowane i ześrodkowane wrażenie piękna, które już w formach prostszych lub mniéj skrystalizowanych spotykamy w naturze. W zakresie tym istnieją różne sporne pytania naszéj estetyki: czy i o ile dzieło sztuki wiernie powinno odtwarzać naturę; czy ma być tylko jéj „kopią“, jak chcą jedni, czy téż czémś zupełnie różném, jak życzyliby sobie drudzy. I w to bliżéj wchodzić nie będziemy, potrącimy tylko o jedno pytanie, dotyczące związku estetyki z etyką. Chodzi mianowicie o to, czy sztuka ma istniéć dla sztuki wyłącznie? czy téż zadaniem sztuki ma być służenie jakimś celom etyczno-społecznym? Nie mało zepsuto już papieru przy rozbiorze tego pytania, które również nie wydaje się tak znowu trudném. Nie ulega wątpliwości, że wrażenie estetyczne, uczucie piękna już w najprostszéj swéj fizyko-fizyologicznéj formie sprawia nam przyjemność, działa harmonijnie, łagodząco, już więc samo przez się wywiéra na nas wpływ pewien i wpływ korzystny. Człowiek jednak nie jest li arfą eolską wyłącznie, na któréj estetyka wygrywać może różne symfonie. Jest on istotą złożoną, zdolną odczuwać różne wrażenia i pojęcia, różne przytém w życiu cele i zadania — nie obojętném więc jest pytanie, z jakiemi uczuciami i pojęciami łączą się w danym razie wrażenia estetyczne? Jeżeli nic to nie obchodzi „czystego estetyka“, gotowego grać na każdém weselu, byleby mu to sprawiało przyjemność, lub byleby zapłacono, obchodzi to natomiast i bardzo tych wszystkich, którzy pragną przewagi danych uczuć i danych prądów w społeczeństwie. Rzecz leży w tém, że wrażenia estetyczne lubo miłe w swéj formie najprostszéj, są również formą, naczyniem, dobrym przewodnikiem dla bardziéj złożonych uczuć i pojęć ludzkich. Ze skojarzenia tych dwóch pierwiastków, estetycznego i etycznego nie powstaje coś trzeciego, jakiś nieokreślony amalgamat, lecz oba przez to silnie się potęgują, co nie jest obojętném zarówno dla etyki, jak i dla estetyki. Nie ulega wątpliwości, że uczucie estetyczne, harmonijnie skojarzone z pewnemi pragnieniami, tkwiącemi w duszy ludzkiéj, dojść może najwyższego swego naprężenia; naodwrót znowu etyka widziéć musi w estetyce potężny bodziec, lub w danym razie, niebezpiecznego przeciwnika, dla swoich celów.

Jak powiedzieliśmy, Hennequin daje nam pobieżny bardzo i nieścisły rozbiór uczuć estetycznych, mimo, iż powołuje się na Bain'a, Wundta, Guyau, a nawet Kanta i wielu innych. Zatrzymuje się wreszcie na zdaniu Spencera, według którego przyjemności są uczuciami umiarkowanemi, bóle zaś lub przykrości uczuciami krańcowemi. Możnaby spiérać się o ścisłość i trafność tego określenia, idziemy jednak daléj za naszym autorem, który znowu, zgodnie z definicyą este-

tyczną Spencera, w podobny sposób wypowiedzianą, określa wrażenie, albo uczucie estetyczne jako takie, które „nie prowadzi do czynów i jest samo sobie celem“. Mielibyśmy bardzo wiele do powiedzenia przeciwko takiemu określeniu, które nadaje sztuce jakiś eunuchowski charakter. Autor wciąż kładzie na to nacisk i tłómaczy na różne sposoby, że „wrażenie estetyczne jest formą nie-czynną wrażenia zwyczajnego“; że podniecenie estetyczne jest zawsze neutralnem, jako podniecenie“; że „wrażenia estetyczne są z natury swéj fikcyjne, kłamliwe, niewinne“, że nie dają nam one ani prawdziwego bólu ani prawdziwéj rozkoszy i t. d. Określenia te są wielce jednostronne i pomijają cały szereg objawów, gdzie wrażenia estetyczne czynnie dopomagają do wzmocnienia uczuć, towarzyszących aktom woli, że przypomnimy tylko legendową pieśń Tyrteusza i wogóle śpiéwy i muzykę wojenną. Jest to zupełnie naturalne, skoro wrażenie estetyczne, łącząc się z uczuciami, potęguje je; na tém właśnie polega pedagogiczna i społeczna wartość wrążeń estetycznych. Nie zawsze jednak wrażenia estetyczno-uczuciowe prowadzą wprost do czynu; często nagromadzają one tylko zasób sił czynnych, robią ich zapasy, które w danym razie mogą być zużytkowane. W ten sposób działają nietylko utwory piękne, lecz i życie samo, które w obserwowanych przez nas zdarzeniach, w zajściach opowiadanych nam przez drugich, w całém doświadczeniu zmarłych pokoleń, daje nam bodźca i pobudki własnego naszego postępowania.

Bywa jednak i tak, że nadmierne lub jednostronne rozwinięcie strony wrażeniowo-uczuciowéj z zaniedbaniem strony czynnéj, objawów woli, dla których bodźcami są właśnie uczucia powyższe, prowadzi do chorobliwego wypaczenia, do rozwinięcia się uczuć i wrażeń kosztem woli, czynu, działania. Że literatura zwana piękną i sztuka wogóle przyczynia się nierzadko do téj organicznéj jednostronności, zobaczymy to bliżéj, skoro wraz z autorem rozbiérać będziemy wpływy etyczno-socyologiczne dzieł sztuki. Teraz tylko zaznaczamy, że na téj patologii zbudował autor swe określenie wrażeń estetycznych. „Sztuka, powiada on, stwarza w sercach naszych potężne życie bez czynów i bólu; piękno daje nam obrazy niewinne i podniecające; sztuka i piękno byłyby czczemi słowami, gdyby człowiek był zupełnie szczęśliwy i mógł obejść się bez złudzeń szczęścia, ku którym dążymy boleśnie i napróżno przy pomocy religii, moralności i nauki [1]). Widzimy z tego, że autor jest nieodrodnym synem pesymistycznego i chorego ducha czasu, nie dość zaś ścisłym psychologiem i estetykiem.

---

[1]) La critique scientifique, str. 40.

Zniechęcony brakiem trwałego gruntu dla określenia natury wrażeń estetycznych, autor twierdzi tylko jeszcze, że bądźcobądź, wrażeń tych nie można zaliczać ani do przykrych ani do przyjemnych, są bowiem czémś pośredniém. Trudno również mierzyć ściśle stopień napięcia tych wrażeń, zależy to bowiem od odczuwających jednostek. Możemy jednak ogólnie przynajmniéj mówić o wrażeniach: wielkości, tajemniczości, prawdy, grozy, ciekawości, współczucia, pesymizmu i t. p., jakie otrzymujemy od dzieł sztuki. Możemy również dojść do określenia wrażenia przeważającego u danego autora. I tak np. utwory Edgara Poë budzą przedewszystkiém zaciekawienie i przestrach; Zoli—uczucie wytężonéj woli, sympatyi lub pesymizmu. Delacroix jest patetyczny i porywający; Mozart ma powab szczęśliwéj dobroci. Należy jednak pochwycić szczegółowiéj odcienie tych wrażeń.

Pozostaje nam jeszcze określić bliżéj i drugą stronę analizy estetycznéj — rozbiór środków, jakiemi dzieło sztuki oddziaływa na czytelników. Jest to właściwy rozbiór estetyczny, dotąd bowiem rozprawialiśmy tylko o naturze wrażeń piękna.

W dziedzinie téj zupełna ścisłość jest możebna, mamy tu bowiem do czynienia z określonemi utworami sztuki: z ich formą i treścią. Zająć się więc należy przedewszystkiém rozbiorem wyrazów, składni, okresów, tonu i układu, czyli budowy dzieła — tém wogóle, co nazywamy formą artystyczną. Technika artystyczna w różnych działach sztuki, jest dostatecznie znana i zbadana. Po za formą zewnętrzną mamy szczegółową zawartość utworów artystycznych, obejmującą: opisy miejscowości, charakterystykę osób, intrygę, myśli przewodnie i t. d. Wszystko to wymaga szczegółowego rozbioru. Idzie nam tu przedewszystkiém o poznanie nie samego dzieła, lecz osoby jego twórcy i wpływów jego na otoczenie. Nie chodzi nam nawet o utwory ściśle artystyczne, gdyż i w dziełach naukowych skądinąd, w samych utworach krytyki literackiéj, odnajdziemy, element artystyczny, indywidualny i ogólny, który da nam nawet wiele materyału do zbudowania mało dotychczas opracowanéj psychologii uczuć zbiorowych.

Nie dość przytém wywodów, dotyczących wyłącznie danych form sztuki. Znając różne wpływowe czynniki i bodźce rozwoju, dojdziemy również do określenia dynamiki dzieł sztuki...

Ropatrywaliśmy dotąd, w ślad za Hennequin'em, dzieło sztuki w jego środkach artystycznych i oddziaływaniu. Z kolei zajmiemy się dziełem jako znakiem jego twórcy, niewątpliwie bowiem utwór każdy może nam wiele bardzo powiedzieć o swym auto-

rze, jeżeli tylko będziemy umieli pytać i badać. Dzieło prócz tego jest mniéj lub więcéj wiernym obrazem tych, którzy je chciwie czytają lub podziwiają gorąco. Hennequin zarzuca zwolennikom Taine'a i samemu mistrzowi, że dla bliższego scharakteryzowania pisarza mało i powierzchownie posługiwali się jego dziełami, szukając raczéj materyału dla téj charakterystyki po za nim: w etnologii, we wpływie otoczenia, dziedziczności, danych biograficznych i t. p. Zdaniem naszego krytyka, informacye, płynące z tego źródła, należy, jeżeli nie porzucić zupełnie, to zepchnąć na plan drugi, nauka bowiem nie daje nam dziś w tym względzie dostatecznych wyjaśnień. Prócz tego, jeżeli kto, to wybitny artysta wyłamuje się z pod biernego wpływu otoczenia, wnosi pierwiastek własny, twórczy. Należałoby przedewszystkiém zbadać, mówi Hennequin, o ile wpływy przyjęte w szkole Taine'a dadzą się zastosować do ludzi wielkich, genialnych. Gdyby geneza i historya geniuszów, oraz ich psychologia została ściśle opracowaną i dała się pogodzić z wzmiankowanemi powyżéj zapatrywaniami, wtedy dopiéro moglibyśmy podciągnąć pod nie i artystów. Ponieważ jednak i w tym względzie nauka nie daje nam zadawalniających wskazówek—pozostają nam dzieła artystów, jako najpewniejsze wskazówki do ich poznania. Zadanie estopsychologii w tym względzie redukuje się do następującego działania: „mając dane dzieło, określić z całą naukową ścisłością właściwości umysłowéj organizacyi jego twórcy“. Rozszerzając zadanie powyższe, dodać możemy, że chodzi tu nie o samą tylko umysłową organizacyę, lecz i o całą psychologię artysty. Zadanie to rozstrzygniemy, wychodząc z tego założenia, że dzieło świadczyć musi niechybnie o uzdolnieniu i indywidualnościach swego twórcy. Prócz tego artyści nie tworzą zazwyczaj na ślepo, lecz pod wpływem własnego natchnienia, oraz znajomości środków i otoczenia wytwarzają sobie pewien cel, pewien ideał, do którego w swéj pracy zbliżyć się będą usiłowali. Ideał ten przeglądać musi z ich dzieł. Wywołuje on znowu odpowiednie pragnienie, które dążyć będzie do ucieleśnienia się w formie artystycznéj. Ideał ten, będący obrazem autora, należy rozpatrywać dynamicznie, w różnych jego fazach i rozwoju, ażeby wyrobić sobie pojęcie o autorze.

Idąc tą drogą, zobaczymy np., że barwni realiści patrzą na rzeczy raczéj indywidualnie, niż rodzajowo, nie mając zdolności do pojęć oderwanych. Otrzymamy wówczas u pisarzy styl malowniczy, jakim pisali romantycy francuscy. Przekonamy się również, że malarze dekoracyjni niezdolni są do namalowania dobrego portretu. Jeżeli znowu taki np. pisarz jak Flaubert, układa ze skończoném mistrzow-

stwem zdania i okresy, o wiele już gorzéj rozdziały, a źle zupełnie całe dzieło, musimy mu przypisać pewien brak zdolności organizacyjnych i t. p. Częste np. użycie porównań, odległych i powiększonych jak u Chateaubriand'a, jest również znaczącém. Prócz formy zewnętrznéj, zawartość dzieł, wybór tematów i charakterów objaśni nas również wiele o właściwościach artysty... Słowem, wszystkie te znaki estetyczne przełożyć możemy na dane psychologiczne, które uzupełnić jeszcze należy przez rozbiór wrażeń, jakie dane utwory wywołują.

Odcyfrowanie duchowego wnętrza trudném nie będzie dla artystów téj kategoryi, u których pierwiastek subiektywny jest wybitny, którzy posiadają wybitną indywidualność i śmiało wyrażają ją w swych utworach. Jest jednak wielu autorów o nader skomplikowanéj organizacyi psychicznéj, którzy treść swą wewnętrzną pokrywają maską ironii i sarkazmu. Tu już potrzeba pewnéj umiejętności odczytywania hieroglifów i to jednak nie należy do zadań nierozwiązalnych. Są wreszcie naśladowcy, artyści drugiego rzędu, z których dzieł przegląda oblicze nie ich własne, lecz pierwowzoru; są nakoniec pisarze, trzymający się z zasady najzupełniejszego obiektywizmu i wtedy indywidualnych ich właściwości doszukiwać się należy pośrednio, odnajdując je w układzie, formie i treści ich dzieł.

Dodać należy, że nauki pomocnicze coraz bardziéj wspierać będą te analityczne poszukiwania. Z drugiéj strony, znowu krytyka naukowa dostarczyć może ścisłéj psychologii wiele nader cennych spostrzeżeń o naturze twórczości artystycznycznéj i samych artystów.

III.

Widzieliśmy, że z dzieła można powziąć dokładne wyobrażenie o jego autorze. Można jednak dowiedziéć się jeszcze czegoś więcéj; można z danego dzieła powziąć również wyobrażenie o tych kołach i grupach społecznych, wśród których się ono rozchodzi, gdzie jest chciwie czytane lub podziwiane gorąco. „Powiédz mi co lubisz, powiem ci kim jesteś“, uczy przysłowie. Z upodobania do pewnego dzieła i autora można wnosić o pokrewieństwie i podobieństwie z niemi pewnych grup społecznych.

Pierwszym, który się starał naukowo określić stosunek dzieła i autora do jego otoczenia, był Taine. Usiłował on dowieść, zaopatrzony w bogaty zasób faktów, uporządkowanych z niepospolitym talentem, że każdy pisarz wybitny, artysta, jest jaskrawém odbiciem usposobień i uzdolnień swéj rasy, swego kraju, swéj epoki, otaczają-

cych go zwyczajów, pojęć i wyobrażeń. Wnioskował więc, że dzieło daje nam poznać autora, ten zaś—naród, który go wydał.

Prawo to wyraża się przy pomocy niektórych czynników pobocznych, mianowicie zaś: dziedziczności, oraz wpływu przyrodniczego i społecznego otoczenia.

Teorye te słuszne są może w pewnéj mierze, powiada Hennequin, pewność ich jednak i ścisłość nie jest tego rodzaju, ażebyśmy mogli je uważać za dowiedzione, stałe i niezłomne.

Dziedziczność istnieje zapewne i przejawia się dość wyraźnie w pewnéj rasie czystéj, nielicznéj i zamkniętéj w sobie, ustalając jedność typu, tak że z jednego jéj członka sądzić możemy o wszystkich i na odwrót. Takich jednak ras, szczególniéj w cywilizowanych społeczeństwach nie spotykamy, a i wśród pierwszych dziedziczność nie przejawia się także zapewne wciąż jednostajny. Ribot powiada (*Hérédité*, wyd. 1882), że charaktery indywidualne, we względzie fizycznym i moralnym, bywają często odziedziczane. Quatrefages utrzymuje, że dziedziczność nieodzownie i stale jest zakłócaną przez inne czynniki. Antropologia wykazuje dziś, że rasy uznawane nawet powszechnie za bardzo czyste, są w gruncie rzeczy bardzo pokrzyżowane, narody zaś, jak wiadomo, zawierają w sobie mieszaninę ras najrozmaitszych. Spencer w swéj *Descriptive sociology* pomieścił długą listę ras, tworzących naród angielski. Wiadomo, że starożytni Grecy dzielili się na kilka grup nader odrębnych, jak eolczycy, jończycy, doryjczycy i t. d. Rzymianie tém mniéj byli rasą czystą. I dziś piemontczyk różni się zupełnie od neapolitańczyka. Wiadomo, że Hiszpania, Francya, Niemcy są to zbiorowiska najprzeróżniejszych typów antropologicznych. Naród niewątpliwie, siłą wspólnego języka, tradycyi, obyczajów, urządzeń, uczuć wreszcie i dążeń, stara się stopić ten agregat ras w jedną całość — typy jednak rasowe są nader trwałe i nie dają się nigdy w zupełności sprowadzić do jednego mianownika. Prócz tego, ciągłość narodowéj tradycyi, warunków i dążeń ulega wielu zmianom, często tak znacznym, że np. Francya dzisiejsza, Francya stowarzyszeń gimnastycznych i syndykatów, mało podobna jest do Francyi za drugiego cesarstwa. Włochy dzisiejsze nie są temi Włochami, które znał Stendhal. Do tych zmian, często rażących i dokonywanych nierzadko w nader krótkim przeciągu czasu przyczynia się i to niewątpliwie, że w różnych okresach egzystencyi narodowéj różne rasy, kryjące się w jéj łonie, występują na widownię, nadając ton właściwy każdéj dobie. We Francyi zauważono peryody, w których przeważali ludzie Północy, inne, w których pierwszą rolę odegrywali południowcy. Odbija się to i w literaturze, a i u nas

interesującą próbę zrobił p. Chlebowski („Ateneum“, 1885, t. I-szy), segregując autorów naszego piśmiennictwa według prowincyi, które nadawały również ton naszym literackim okresom.

Prócz ukrytych wpływów rasowych są i inne jeszcze czynniki, wprowadzające ważne zmiany w usposobieniu danego narodu. Takim czynnikiem jest np. radykalna zmiana warunków społeczno-politycznych, wpływy duchowe, psychiczne, przejawiające się nie z jednakową siłą w różnych okresach, a wreszcie zjawianie się ludzi genialnych na różnych polach, którzy wpływają nieraz potężnie na zmianę fizyognomi danego narodu. Wszystko to sprawia, że charakter narodu nie jest tak jednostajnym, żeby nim tłómaczyć można każdą indywidualność artystyczną. Są również jednostki oryginalne i wybitne, które nie chylą bynajmniéj głowy przed niwelacyjnym strychulcem otoczenia, lecz trzymają ją śmiało do góry, a nawet narzucają otoczeniu swe poglądy, swój temperament.

Takich wybitnych indywidualności, które nie tłómaczą się wpływem otoczenia, spotykamy wiele. Rembrandt nie podobny jest zupełnie do malarzy holenderskich, Michał Anioł nie ma nic wspólnego ze wszystkimi artystami włoskimi. Wiktor Hugo nie podobny jest do innych poetów francuskich. Takich przykładów można przytoczyć wiele, nie dających się wytłómaczyć wpływami otoczenia. Eurypides i Arystofanes są dziećmi jednego czasu, podobnie jak Lukrecyusz i Cyceron, Ariosto i Tasso, Goethe i Schiller, Heine i Uhland. Shelley w Anglii początku bieżącego stulecia jest anachronizmem, podobnie jak Stendhal w czasie wojen pierwszego cesarstwa, a Balzac w peryodzie lipcowéj monarchii.

Możnaby mnożyć do nieskończoności przykłady artystów w zupełnéj niezgodzie ze swém społeczném otoczeniem. Jest-to nawet stosunek, który zachodzi najczęściéj. Można nawet bronić tezy, że wpływ otoczenia staje się coraz mniejszy wraz z coraz większém wyzwalaniem się jednostki, wraz z wyzwalaniem się społecznych warstw, klas, ras i typów... Człowiek przytém nietylko „przystosowuje się“ do otoczenia; przedewszystkiém dąży on, jak każde stworzenie, do zachowania, do zakonserwowania swego ja, kosztem zmian jaknajmniejszych. Człowiek, przechodząc z klimatu ciepłego do zimnego, pokrył się futrem, a nie włosem; stara się on zmieniać swe otoczenie stosownie do swych wyobrażeń i potrzeb, nie zaś przystosowywać się do niego. Nietylko człowiek, lecz każda istota żyjąca broni się przeciwko narzucanym mu zmianom. Jest-to fakt, niesłusznie przeoczony przez naturalistów, zwracających tylko uwagę na elastyczność karku stworzeń wszelakich względem natury, zapominających zaś, że kark

ten bywa nierzadko bardzo twardy. Herbert Spencer w swych „Zasadach Biologii“ utrzymuje, że istota ożywiona tém się głównie różni od nieożywionéj, że łatwiéj przystosowuje się do otoczenia, zapominając o sile samozachowawczéj i twórczéj, która charakteryzuje przedewszystkiém organizm żyjący, pozwala mu trwać, bronić się od wrogich wpływów i zużytkowywać je na swoją korzyść. Niewątpliwie istota żyjąca musi niejednokrotnie ugiąć się, przystosować, ażeby byt swój zachować, nie jest-to jednak główną cechę charakterystyczną żywego organizmu, szczególniéj zaś człowieka, tego „pana stworzenia“. Życie jest właściwie ciągłą obroną, walką o byt, w któréj nie zawsze ulega walczący. Instytucye społeczne mają również ów charakter obrony, koalicyi przeciwko tyranii otoczenia, przeciwko głodowi i zimnu, przeciwko drapieżności ludzi i zwierząt.

Istota moralna człowieka również zachowuje ten charakter oporny i odporny, poddając się chętnie tylko ewolucyi, płynącéj z jéj własnego wnętrza, z własnéj inicyatywy. Widzimy wogóle, że wpływ otoczenia, przyrodniczego i społecznego, na artystów nie jest wszechpotężnym i spotyka się nader często z ich indywidualną odpornością. Wpływ ten, można powiedzieć, nie istnieje dla takich wybitnych indywidualności, jak Eschylos, Michał Anioł, Rembrandt, Balzac, Bethoven. Nadto, wpływ ten maleje nadzwyczajnie w społeczeństwach o cywilizacyi rozkwitłéj, czy przekwitającéj, jak w Atenach za sofistów, w Rzymie za imperatorów, we Włoszech za czasów Odrodzenia, w spółczesnéj Francyi i Anglii. Jeszcze mniéj pochwytnym jest wpływ przyrodniczego otoczenia: klimatu, położenia geograficznego, etc.

Hennequin przychodzi do wniosku, że żaden z trzech czynników, wskazanych przez Taine'a, nie może wpłynąć na utrwalenie stałego stosunku między dziełem i jego autorem, a otoczeniem fizyczném i społeczném. Wpływy te działają niewątpliwie w tak jednak różnych stosunkach, w tak skomplikowanych warunkach rasowych i społecznych, że stałéj wskazówki dać nam nie mogą. Prócz tego przedstawiają one tylko jedną stronę medalu: uległość artysty przed otoczeniem, zapominają zaś o jego odporności indywidualnéj i artystycznéj, któréj znowu ulega niejednokrotnie i w stopniu nader silnym owo otoczenie.

Jeżeli jednak trudno, na podstawie dziedziczności, walki o byt, doboru naturalnego, i t. d., określić stały stosunek między autorem i jego otoczeniem, to niewątpliwie stosunek taki, trwały i bliski, istnieje między autorem i jego czytelnikami lub między artystą i jego wielbicielami. Jest-to ścisły związek, łączący dane dzie-

lo z temi kołami czy grupami społecznemi, śród których znajduje ono poklask i uznanie. Hennequin w tym właśnie stosunku widzi węzeł społecznego oddziaływania i wpływu, jakiemu artysta ulega. Oddziaływanie jest obustronne. Wchodzimy tu dopiéro w sam rdzeń kwestyi. Twierdzenie o ryczałtowéj zależności sztuki od otoczenia, będące zawsze ogólnikowém i jednostronném, bo nieuznającém drugiéj strony stosunku, zależności otoczenia od artysty, to jest tego przynajmniéj otoczenia, które wpływom artystycznym ulegać może i stać się nieraz gliną społeczną w rękach natchnionego twórcy. Skoro mowa o stosunku między autorem a jego czytelnikami jesteśmy dalecy od ogólników, stoimy na gruncie realnym.

Bywają wprawdzie autorzy, jak Pascal lub Saint-Simon (pamiętnikarz), którzy czekać muszą lat 200 na swych czytelników, lub jak Stendhal przynajmniéj lat dziesiątki—wyjątki te jednak potwierdzają tylko regułę, że wtedy tylko mówić można z pewną słusznością o społecznéj zależności autora, gdy ma on czytelników. Ażeby zaś stosunek podobny się zawiązał, potrzeba oczywiście, żeby istniało pewne, choćby odległe podobieństwo między autorem i jego dziełem, a niektóremi grupami społecznemi. Ażeby autor był zrozumiałym, ocenionym jak należy i przyjętym, potrzeba żeby nie odskakiwał zbytnio od panujących w sferze jego czytelników, czy wielbicieli wyobrażeń. W razie przeciwnym, czeka go los Pascala. Nie idzie atoli zatém, ażeby był on niewolniczym sługą czytającego ogółu, od niego zawisłym, żeby ten ogół jego tworzył i „wydawał“. Bynajmniéj, w zgodnym chórze danéj grupy społecznéj jest on tylko pierwszym skrzypkiem, dyrektorem, który kieruje muzyką orkiestry, akcentując silniéj ustępy wybitniejsze. Jeżeli artysta „wyrasta“, jeżeli rodzi się na przyjaznéj mu glebie społecznéj, to następnie, on, jako najsilniejszy wyraziciel pewnego kierunku, pewnych uczuć, upodobań i poglądów, wpływa potężnie na swe najbliższe otoczenie, gra na sercach i umysłach swych słuchaczów i prowadzi ich tam, gdzieby im się dostać nawet nie śniło. I nic dziwnego, artysta bowiem jest pierwiastkiem twórczym, jest przewodnikiem swojéj gromady. I doprawdy zrozumialsze to i bardziéj ludzkie, niż pretensyonalne teorye o zupełnéj zależności artysty od otoczenia, o jego całkowitéj bierności, o tém, że społeczeństwo go „wydaje“, ponieważ potrzebuje, a jeżeli potrzebuje, to zawsze znajdzie powolnego sługę-sztukmistrza, nie tego, to innego — potrzeba bowiem musi być zadowolnioną... Przypominają mi się w tém miejscu analogiczne rozumowania o wielkich ludziach, których także robi historya, kiedy zajdzie potrzeba. We-

dług tych pojęć, gdyby Napoleon I-szy zginął był młodym oficerkiem pod Tulonem, lub Aleksander W. utonął na dobre w Graniku, bieg rzeczy całkiemby się nie zmienił, historya bowiem znalazłaby sobie na to miejsce drugiego Napoleona, lub drugiego Aleksandra, gdyby jéj tego było potrzeba, lub przeszłaby nad nimi do porządku dziennego, gdyby znowu taką była wola Jéj Wielkości Pani Historyi. I rozumujący w ten sposób ani się spostrzegają, jak bałamutnie, metafizycznie jakoś, czy teologicznie rozsnuwają sieci swych rozumowań. Społeczeństwo, historya, przyroda występują tu jako pewne świadome siebie istoty, i tylko potężniejsze od zwykłych śmiertelników, że dowolnie tworzyć sobie mogą i rodzić, zaspakajać swe potrzeby, skoro te istnieją lub pojawić się mogą, etc. Pozytywniejszy natomiast zwykły rozum chłopski mówi nam, że wielki człowiek lub znakomity artysta, skoro się zrodzi, dzięki sprzyjającemu gruntowi, atmosferze i t. p., dzięki zresztą prostemu wypadkowi lub tajemnicy, jaką pokryte są dla nas wszelkie narodziny, jeżeli umrze przedwcześnie jest niezastąpiony. Być tylko może, że krzepki dąb, rozrastając się potężnie, nie pozwala podrosnąć i rozrosnąć się drugiemu dąbczakowi tuż obok. Kto jednak nas zapewni, że ten młody dąbczak, choćby nawet nie doznał przeszkód, wyrośnie na szlachetne drzewo i nie pozostanie zwyczajnym karłem, lub choćby tylko o połowę mniejszym od przedwcześnie zrąbanego olbrzyma.

Wracajmy jednak do Hennequin'a i czytelników, których wiąże stosunek stały i ścisły z pewnymi autorami lub artystami, gdy tymczasem związek artysty z otoczeniem jest tak często iluzoryczny. W jaki sposób np. dziedzicznością, wpływem otoczenia i t. d. objaśnić wpływ literatur zagranicznych, gdy wiadomo, że dosyć niekiedy ziarn kilku zaniesionych jakiemiś wiatrami na obcą glebę, ażeby ziarno to wyrosło w roślinę i dało owoce. Gleby odpowiednio uprawionéj potrzeba zapewne, ażeby ziarno nie padło na opokę, pada ono jednak zazwyczaj w duszę artysty, czy artystów i stąd dopiéro rozkrzewia się daléj, lub téż obcy autor sam wprost znajduje sobie czytelników i naśladowców w dalekim jakimś kraju, często nawet więcéj i gorliwszych, niż u siebie w domu — stąd pochodzi nawet przysłowie, że „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.“ Kiedy wreszcie mowa o otoczeniu społecznem, rzadko komu przychodzi na myśl, jak dalece „otoczenie“ to jest zróżniczkowane, jak różne grupy spółczesne mieści ono w sobie i jak krańcowo nieraz różni autorowie znajdują tu swych zwolenników, dzielących się również na partye, obozy i koterye. Te drobne środowiska wytwarzają sobie swych artystów, lub téż naodwrót, wywoływane są przez same siły twórcze w tem zna-

czeniu, że każdy artysta „wyrabia“ sobie grono zwolenników. Siła twórcza spoczywa tu w piersiach artysty, nie już w masie. I duch ludu żyje w jego pomnikach, w jego literaturze i sztuce nie dlatego, że lud ten ją stworzył, w literackiém znaczeniu tego wyrazu, lecz dlatego, że ukochał i wypieścił utwory swych mistrzów, tych, których uznał za swoich proroków. W tych właśnie znakach narodowych upodobań znajdziemy klucz do poznania jego wnętrza, jego najtajniejszych pragnień i pożądań. Socyologicznie téż, autorowie i artyści warci są o tyle, o ile byli czytani, słuchani, podziwiani. Naród tłómaczyć można jego literaturą, nie należy tylko podporządkowywać mu jego geniuszów, lecz widziéć go w jego artystach, w upodobaniach społeczeństwa w jego kierownikach — w jaki zaś sposób tworzą się te geniusze, nie wiemy — powiada Hennequin. „Literatura, mówi on, jest wyobrazicielką danego narodu nie przez to, że on ją stworzył, lecz ponieważ ją adoptował i admirował, upodobał w niéj sobie i siebie w niéj rozpoznał“ [1]).

Jeżeli więc chcemy ocenić znaczenie danego pisarza dla szerszego lub szczuplejszego ogółu, musimy wiedziéć przedewszystkiém: czy i o ile był on adoptowany; trzeba zrobić poszukiwania co do jego poczytności, jeżeli idzie o pisarza, o stopień uwielbienia, jeżeli o innego artystę... Nie spuszczając w ten sposób z oka zarówno ogółu, jak i jego inicyatorów, potrafimy zrozumiéć lepiéj ową mało dotąd znaną psychologię ludów.

IV.

Skończyliśmy zarys krytyki analitycznéj Hennequin'a, w któréj leży cała oryginalność i niepospolita wartość téj metody. Punktem wyjścia i głównym przedmiotem, na którym winna się ześrodkować uwaga krytyka, jest dzieło samo, utwór artystyczny; następnie ich zbiór, będący wytworem jednego pióra, pędzla lub dłuta. Poddawszy ścisłemu rozbiorowi estetycznemu dane dzieło, przygotujemy sobie materyał do poznania artysty z jednéj — czytającéj go publiki z drugiéj strony. Tu już wkraczamy na grunt analizy psychologicznéj i badamy nici uczuć i poglądów, wiążące autora z kołami jego zwolenników. Przechodzimy następnie do socyologii, przypatrując się zbliska drogom, po których chodzą wpływy artystyczne. Rozbiór estetyczny służy nam za punkt wyjścia, na nim jednak nie ograniczamy się. Estetyczność jest formą, w któréj wyrażają się i oddzia-

---

[1]) „La Critique Scientifique“, str. 162.

ływają następnie pewne uczucia i poglądy, przewodnikiem objawów psycho-socyologicznych, które także winniśmy poddać bliższemu rozbiorowi. Hennequin nie podkreśla dość wyraźnie tego punktu, wskutek niepełności i nieścisłości swéj analizy esto-psychologicznéj. Przy rozbiorze tym przekonywamy się, że pisarz, artysta nie jest biernym wytworem otoczenia, lecz że on właśnie reprezentuje pierwiastek twórczy, ducha inicyatywy, komórkę wzrostu i ferment organizmu społecznego; że następnie, ulegając w pewnéj mierze wpływowi swego bliższego i dalszego otoczenia, sam oddziaływa potężnie na to otoczenie. Wyjaśnienie téj strony krytyki artystycznéj stanowi niepoślednią zasługę Hennequin'a.

Na analizie jednak nie poprzestaje on. Gdy drobiazgowa ta praca rozbiorcza dokonaną już została, gdyśmy obejrzeli po szczególe każde kółeczko i trybę maszyny artystyczno-psychologiczno-socyologicznéj, trzeba złożyć to wszystko na nowo i okazać działanie wszystkich czynników w pełni ruchu i życia,—czyli zrobić należy estetyczną, psychologiczną i socyologiczną s y n t e z ę. Krytyk ukazać więc naprzód powinien dzieło sztuki w całym swym blasku i czarze, jako coś stojącego z zewnątrz; winien tę całość ogarnąć, odczuć i zrozumieć wywierane przez nią wrażenia i zauważyć następnie, w jaki sposób twór ten oddziaływa na właściwe mu otoczenie. Nie dość tu będzie samych zdolności analityczno-krytycznych. Krytyk, analizujący znakomicie pod mikroskopem części składowe maszyny artystycznéj i widzący je, równie jak i błędy w powiększonych rozmiarach, może nie mieć zupełnie oka dla całości, dzieło zaś sztuki jest przedewszystkiém żywą całością i jako taka oddziaływa. Są znowu krytycy, którzy przy intuicyjnym zmyśle dla całości nie mają ani zdolności analitycznych, ani zawodowego do nich przygotowania. Taka synteza nie wiele nas również nauczy.

Nie dość atoli odtworzyć w całości i w działaniu dzieło sztuki; trzeba je znać jeszcze w genezie, rozwoju, w związku z innemi utworami artysty lub pokrewnych mu twórców — trzeba widzieć w niém nie tylko całość żywą, lecz nadto istotę rodzącą się, wyrastającą, rozwijającą się i zamierającą. I artystę również nie dość jest widzieć przez analityczny pryzmat jego dzieła lub dzieł w danym momencie twórczości. Należy również poznać go w całéj jego biograficznéj rozciągłości i długości. Wyczerpawszy dane, jakich nam w téj mierze dostarczy sama działalność artystyczna, trzeba uciec się do innych źródeł życiorysowych, leżących nazewnątrz artyzmu. Zaczerpnąć wtedy należy wiadomości i o rodzinie i o rasie, narodzie do którego należy artysta. Wogóle metoda Sainte-Beuve'a pojęta w całéj swéj

pełni znaleść tu może szerokie zastosowanie. Podobnież w syntezie socyologicznéj. Skoro już poznaliśmy dokładnie charakter i stosunek wzajemnego oddziaływania między artystą i innemi grupami społecznemi; gdy pochwyciliśmy w swém działaniu i żywéj treści te prądy psychiczno-estetyczno-socyologiczne, które po tych niciach i wiązadłach przebiegają, nic nam nie przeszkadza, owszem wszystko skłania ku temu, ażeby wyjść na szerszy gościniec, ogarnąć szersze widnokręgi i zastosować tu świetną metodę Taine'a, o ile nie stanie ona w sprzeczności ze zdobytemi już w drodze ścisłéj analizy i syntezy socyologicznéj, wynikami. Oczywiście grupy społeczne, które nas dotąd przeważnie obchodziły, wchodzą w skład większych całości: społeczeństw, narodów, ras, ludzkości, na szerokie więc tu morze możemy teraz wypłynąć, syntezę rozszerzyć, dodać jéj skrzydeł. Metoda Hennequin'a nie jest zaprzeczeniem metody Taine'a; jest tylko jéj uzupełnieniem i sprostowaniem. Mistrz nakreślił plan swéj krytyki o wielkich zarysach, w owych ogólnych liniach prostych, które łatwiéj dają się układać w hermonijne i imponujące konstrukcye, których jednak nie zna życie samo. Prócz tego Taine kreślił zarysy swéj metody w chwili, kiedy niektóre wyniki nowszéj biologii, jak dziedziczność, walka o byt w formie biernéj, zależności od warunków zewnętrznych i t. p. uważane były za niewzruszone zdobycze naukowe. Wciągnął téż je w całości w system swych zapatrywań. Dziś musimy je w wielu punktach skorygować.

Hennequin utrzymuje, że zreformowane w sposób powyższy poglądy, pozwalające nam głębiéj wniknąć w samą treść życia społecznego i rozwoju, wpłyną na zmianę dzisiejszych zapatrywań na historyę, wogóle na bliższe określenie wzajemnego do siebie stosunku artystów, bohaterów i mas. Idąc za śladem estopsychologii, odtworzymy teraźniejszość i przeszłość w jéj najtajniejszych drganiach, o ile ujawniały się one w różnych gałęziach sztuki. Zobaczymy, w jaki sposób poczynają się i rodzą uczucia i myśli, będące treścią i dźwignią życia narodów; jak następnie idee te skrystalizowane w zmysłach twórczych rozszerzają się coraz szerszemi kręgi, rozlewając się potykającemi się lub krzyżującemi kołami i falami na drgające życiem rzesze ludzkie. Ujrzymy, jak się robi i rozwija historya.

„Nowsze usiłowania — mówi Hennequin — zdążające do zmiany dawniejszéj metody historycznéj i pogodzenia jéj z nowszemi odkryciami naukowemi, w szczególności zaś zdemokratyzowania jéj, doprowadziły do szczególnego tłómaczenia zjawisk społecznych. Kronikarze i historycy aż do początku bieżącego stulecia, sądząc fakty

z pierwszego wejrzenia i tłómacząc je doktryną powierzchowną, względnie jednak słuszną, doszli do skupienia całego zajęcia i zasługi danego przedsięwzięcia na jednostkach, królach, ministrach, generałach, do których imion wypadki te były przywiązane. Chcąc ulepszyć i odnowić te poglądy, pobudzani reakcyą liberalną, któréj uległy najwybitniejsze umysły pierwszéj połowy naszego wieku, zwrócono się ku poglądom wręcz przeciwnym, a jeszcze fałszywszym" [1]. Augustyn Thierry jeden z pierwszych wziął za punkt wyjścia ideę dość mętną (*confuse*), że wypadki dziejowe kryją w swych przyczynach i inne czynniki, prócz głównych działaczy, przeceniając zaś skutki tych drugorzędnych czynników przypisał zbytnie znaczenie wpływowi mas w wydarzeniach historycznych. Ten punkt widzenia, mówi Hennequin, przyjął się i upowszechnił do tego stopnia, że starano się pomijać umyślnie, widoczną jednak, rolę ludzi wielkich w wielkich czynach publicznych, zasługę zaś ich dokonania przypisywano wyłącznie masom ludzkim, które ich dokonały często z musu, bezwiednie zazwyczaj. Pierwiastek jednak działalności świadoméj i celowéj starano się usunąć z dziejów. Przejęci determinizmem ekonomiści i statystycy stosowali swe teorye wyłącznie do mas, które wydały się im gliną podatniejszą do urobienia na wzór ich koncepcyi. Doszło do tego, że u Buckle'a np. wojny prowadzą się same, pod wpływem nieokreślonych instynktów band uzbrojonych, bez generałów, karności, strategii i taktyki.

„Pod wpływem idei powyższych, konkluduje krytyk, i powieść spółczesna wykluczyła z swego zakresu wyższe zdolności ludzkie i grupy ludzi wyższych, wzięła sobie za zasadę bezowocność wszelkiego wysiłku woli i osobistości swe rekrutowała pomiędzy istotami moralnie i umysłowo wyrodzonemi" [2]).

To rozłączenie dwu pierwiastków, które są konieczną częścią składową każdego wypadku dziejowego, mas i ich wodzów, było z gruntu fałszywe, témbardziéj, że powodując się reakcyą przeciwko poglądom poprzednim, wszystko przypisano masom, jeżeli nie ślepym siłom przyrodzonym, dla których znowu masy były igraszką. Należało przynajmniej naturze przypisać jakiś opatrznościowy charakter i kto wié nawet, czy nie w opatrznościowych teoryach teologicznych, lubo je odrzucano stanowczo, leży początek tych rzekomo demokratycznych poglądów. Bossuet uważa się za jednego z założycieli w powyższy sposób pojmowanéj historyozofii. Co jednak było kon-

[1]) „La Critique scientifique", str. 188. — [2]) Tamże, str. 189.

sekwentném i zrozumiałem w teologii, to przestaje być słusznem w pozytywizmie.

Czyż jednak bliższe zrozumienie działalności artystycznéj nie rzuci jaśniejszego światła na całą działalność twórczą, a twórczemi właśnie są dzieje? Przypatrzmy się wielkiemu pisarzowi, powstałemu w sposób trudny do ścisłego określenia, jak poczuwszy w sobie nowy świat uczuć i myśli, i skrystalizowawszy je w formach estetycznych, zwraca się do kół i grup, rozszerzających się coraz bardziéj, w których te uczucia i myśli zaledwie drzémią. Rozbudzony w ten sposób ocean ludzki drga, podąża, pożąda i zmierza do czynu. W podobny sposób dokonywa się każde wielkie przedsięwzięcie w historyi i istnieje ścisła analogia między wpływami wybitnych artystów i działaniami wielkich mężów. I tu plan działania jest najprzód ideą, pojęciem, dojrzewa w głowie czy głowach przywódców, udziela się masom i następnie w czyn się zamienia. Sława artysty i zwycięstwo bohatéra są, mówi Hennequin, objawami analogicznemi. Dwie zasady działają w życiu zbiorowém: zasada i n d y w i d u a c y i (pomysłu, inicyatywy) i zasada p r z y s w o j e n i a. Po tych dwu prądach przebiegają uczucia i idee, które poruszają życiem społeczném. Do téj drugiéj zasady zbliża się rozwinięta przez Bagehot'a i Tarde'a [1]) zasada n a ś l a d o w n i c t w a. Uzupełnieniem ich będzie przyjmowana dziś powszechnie zasada s u g g e s t y i (poddawania), na którą Hennequin zwraca uwagę, równie jak i na poprzednią. Pod wpływem tych poglądów inaczéj patrzéć zaczniemy na życie zbiorowe, na historyę.

Poniewierana przez niektórych pozytywnych socyologów i odesłana do lamusa, działalność świadoma i twórcza, biorąca swój początek w umysłach wybitnych myślicieli, artystów i mężów czynu, podniesiona przez najbliższych, przyjęta i odczuta przez dalszych, odzyska w wyobrażeniach naszych to dziejowe i spółczesne znaczenie, którego chciały go pozbawić nie dość wyrobione historyozofie i systemy socyologiczne. I życie ludzkie zyska na tém nie mało. Otworzą się dla niego szerokie widoki, pogrążone dotychczasowo w mroku ślepych jakichś sił przyrodzonych...

Tu również właściwém może będzie zastanowić się bliżéj nad pytaniem: j a k i e j e s t s p o ł e c z n e z n a c z e n i e d z i a ł a l n o ś c i a r t y s t y c z n é j wógóle i w jakiém pozostaje ona stosunku do innych stron działalności ludzkiéj?

Artyści naturalnie i krytycy literaccy skłonni są zawsze przeceniać społeczną doniosłość sztuki. Hennequin jednak staje na szer-

[1]) „Revue philosophique", 1882.

szém, socyologiczném stanowisku i wypowiada w téj mierze kilka uwag niewątpliwie głębokich, chociaż nacechowanych pewnym estetycznym pesymizmem.

„Będąc podobnemi, zjawiska bohatérskiego i artystycznego ugrupowania (*agrégation*), mówi Hennequin, mogą się zastępować“ [1], a więc i wyłączać... Wiadomo, mówi daléj, że zamiłowania literackie idą w parze z rozluźnianiem więzów rodziny, rodu, grodu (*cité*) i narodu. Sztuka, równie jak humanitaryzm, sprzyja kosmopolityzmowi. Związki ideowe i estetyczne zastępują związki krwi i przekraczają narodowe granice. Można także zauważyć, że przywiązanie do pewnego żywego bohatera i przywiązanie do dzieła sztuki rzadko chodzą w parze i wykluczają się nawet. Przywiązanie pierwsze nazywa Hennequin czynném, drugie, zgodnie ze swą estetyczną teoryą, bierném. Dwa te bowiem rodzaje admiracyi wprowadzają w ruch tenże sam mechanizm psychologiczny, z odmiennemi jednak skutkami. Wzruszenie, które daje powieść przepełniona pociągającemi zdarzeniami i wzruszenia, które mogłyby towarzyszyć samym tym wydarzeniom, są jednakowe. Ludzie prości płaczą w teatrze, jak gdyby towarzyszyli istotnym nieszczęściom. Pieśni wojownicze poruszają masy, często jednak to sztuczne podniecenie wystarcza i odejmuje ochotę rzeczywistego zużytkowania obudzonego w ten sposób zapału. Pewien zapas potencyalnego zapału spalił się jak fajerwerk i swąd tylko pozostał.

Żywe zamiłowanie sztuk i nauk, ciągnie daléj krytyk, nie poprzedzało nigdy w życiu narodu, klasy lub jednostki wielkiego wyładowania energii, szczerego zapału dla jakiegoś realnego przedsięwzięcia, ponieważ próżniacze zaspokojenie pewnych uczuć odjęło im czynną energię. Po pełnym rozkwicie sztuk w ciągu jednego stulecia Ateny poczuły się wyczerpane. W Rzymie wyrafinowanie szlachty po wzięciu Koryntu poprzedziło jéj kapitulacyę przed trybunami i dyktaturą; dyletantyzm klas wyższych oddał je następnie cezaryzmowi. „Odrodzenie“ włoskie było śmiertelném dla włoskich republik. Wiadomo powszechnie, że rozkwit sztuk i nauk śród wyższych warstw Francyi zeszłego stulecia poprzedził rewolucyę. Prusy, najbardziéj zacofane w literaturze i stosunkach, zyskały hegemonią w Niemczech. Że nie bogactwo, lecz sztuka bywa pierwiastkiem rozkładu, Hennequin powołuje się na przykład Kartaginy, która umiała się bronić mężnie, i Anglii, która pozostała pełną energii dlatego, że zamiłowania estetyczne były w niéj udziałem niewielu. Hiszpania zdobywców

[1] „La Critique scientifique“, str. 200.

nie znała również rozkładającego wpływu sztuki. Zbrodnie gwałtowne są nader rzadkie w sferach dostępnych dla kultury literackiéj.

Rozkładający ten wpływ sztuki tłómaczy się tém, że powtarzające się często podniecenie uczucia i wyobraźni bez towarzyszącego mu następnie rzeczywistego skutku, zrywa związek łączący podnietę z czynem i pobudzenie trawi się samo w sobie, osłabiając pierwiastki czynne, a nawet uczuciowe organizmu. Wrażenia estetyczne, łagodnie przyjemne i pozbawione ostrego charakteru, stają się nałogiem, témbardziéj, że odurzenia tego można sobie pozwalać dowoli. Wiadomo, że haszysz i opium rozstrajają organizm. Marzenie zastępuje czyn. Prócz tego, częste wywoływanie fikcyjne takich uczuć, jak litość, pogarda, entuzyazm, marzycielstwo, zwiększa chwilowo siłę lub tylko rozległość tych uczuć, naruszając w ten sposób normalną równowagę organizmu. Nie dość na tém, sztuka, grając na najsilniejszych, prostych, lecz i pierwotnych uczuciach ludzkich i wynikających między niemi ostrych starciach, przeszkadza moralnemu doskonaleniu się jednostek. Niewątpliwie, sztuka łagodzi obyczaje, osłabia jednak przytém patryotyzm. W walce o byt między narodami społeczeństwa, hołdujące sztuce i literaturze bywają zazwyczaj pastwą nieogładzonego zwycięzcy. Estetyczne rozkosze, mówi Hennequin, sprzyjają ludzkiéj solidarności zagrażają jednak istnieniu narodów. Z punktu téż społecznego nie można nigdy się zgodzić na wygodną zasadę „sztuki dla sztuki“, sztuka bowiem przeznaczona jest dla ludzi i może podkopywać najważniejsze podstawy zbiorowego istnienia. Wolność, o jaką dobijają się artyści szczególniéj i publicyści na tém polu, jest nie tyle zasadą, ile raczéj chęcią wywalczenia praw obywatelstwa dla pewnego kierunku sztuki, który może nawet być mniéj szkodliwy, lub popierać pewne tendencye społeczne — nie wynika stąd jednak, żeby z punktu społecznego obojętnym był kierunek, jaki sztuka przybiera wobec zadań etycznych. Publicystyka i prawodawstwo ma tu swój głos uprawniony, oparty na zasadzie użyteczności, hygieny, społecznego dobra. Trudność leży tylko w tém, komu przyznać prawo sądu w téj mierze i decyzyi! Nie zaprzecza to jednak temu faktowi, że nic szkodliwszego nad umysłową rozpustę i artystyczny onanizm...

Po uwagach, któreśmy sparafrazowali powyżéj, Hennequin podaje takie ostateczne określenie: „Dzieło sztuki jest-to skończona całość środków i skutków estetycznych, zmierzająca do wywołania wrażeń, których specyalną cechą charakterystyczną jest to, iż nie prowadzą bezpośrednio do objawów czynnych, dając przytém najwyż-

szą miarę podrażnienia przy najmniejszéj dozie przykrości i przyjemności; dzieło sztuki jest następnie zbiorem znaków, świadczących o psychologicznym ustroju jego autora; jest ono następnie zbiorem oznak, świadczących o duszy jego zwolenników, których usposobienie odbija, upodobniając ich do autora dzieła i modyfikując w pewnéj mierze ich skłonności, bądź z saméj swéj natury, bądź z powodu danéj odmiany artystycznéj. Estopsychologia jest nauką, która, posiłkując się pierwszém z tych określeń, rozwija następnie drugie, trzecie i czwarte, — która, biorąc za punkt wyjścia pojęcia estetyczne, prowadzi następnie do analizy i syntezy, do znajomości zupełnéj jednego z dwóch szeregów wielkich ludzi, wielkich artystów, i do znajomości mniéj ścisłéj szerokich kół społecznych, złączonych z nimi przez podziw lub podobieństwo“ [1]).

Nie będziemy komentowali szczegółowo uwag Hennequin'a, poprzedzających tę definicyę. Zaznaczyliśmy już, że określenie jego wrażeń estetycznych nie jest ściśle. Sztuka niewątpliwie, w pewnych granicach i w pewnych warunkach oddziaływa nader pożytecznie, a nawet zbawiennie na społeczeństwo, budząc w niém i podtrzymując pewne uczucia i wyobrażenia, konieczne dla jego bytu i rozwoju. Warto jednak wiedzieć, i w tym względzie uwagi Hennequin'a na zupełną zasługują uwagę, że nawet w tém, w czém jest w zasadzie pożyteczna, sztuka stać się może wielce szkodliwa — nie mówiąc już o tych wypadkach, gdzie zawsze jest szkodliwa.

Wracajmy jednak do Hennequin'a. Po tém wszystkiém, cośmy przytoczyli powyżéj, zwykły pogląd na k r y t y k ę l i t e r a c k ą uledz winien zmianie radykalnéj. Już Taine podniósł ją na stopień pomocniczego środka przy badaniach społecznych i na téj drodze, z niepospolitym zasobem nauki i talentu starał się zbadać całkowity rozwój społeczeństwa angielskiego („Historya literatury angielskiéj“). Wobec niektórych nowszych poglądów, które staraliśmy się rozwinąć, krytyka, mówi Hennequin, powołaną zostaje na jedno z miejsc naczelnych między naukami o życiu ludzkiém, które można objąć jednem szerokiém mianem antropologii.

Na tém tle rozwija Hennequin bardzo ponętne i rozległe widoki. Weźmy nauki biologiczne od najprostszéj komórki i posuwajmy się coraz wyżéj po drabinie istnień i złożonych coraz bardziéj warunków egzystencyi, a wtedy dojdziemy niewątpliwie do najwyższego szczebla w dziedzinie psychologii społecznéj, na którym stać będzie człowiek wybitny, godny uwagi nie przez to tylko, że stoi wysoko, lecz że jest,

---

[1]) „La Critique scientique“, str, 210.

że tak powiemy, człowiekiem zbiorowym, wraz bowiem ze swymi zwolennikami tworzy on już grupę społeczną. W grupach takich ogniskują i z nich się rozchodzą te fale, które urabiają społeczeństwa i stanowią najważniejszą treść ich życia i rozwoju. Estopsychologia, w ten sposób pojmowana, jest w korzystniejszém położeniu, niżeli równoległa historya bohatérów, ludzi czynu, tym bowiem trudno zajrzéć w duszę, chyba że zostawili po sobie świadectwo piśmienne: listy, mowy, studya, wtedy jednak należą już w części do estopsychologii, która może okazać się w tym razie nader pomocną. Zakres przytém naszéj krytyki naukowéj rozszerzać się będzie wraz z rozwojem cywilizacyi, kiedy ludzie stawać się będą coraz spokojniejsi i cnotliwsi, kiedy wysiłki woli, czynu pochłaniać będą mniejszą część rozporządzalnéj energii. Prócz tego, studya estopsychologiczne są powołane do sprawdzania wielu nader ważnych teoryi naszego czasu: o wzajemnéj zależności ludzi od siebie, o dziedziczności, wpływie otoczenia fizycznego i społecznego.

Streszczając wszystko ostatecznie, widzimy, że estopsychologia jest nauką. Posiada ona właściwy swój przedmiot, metodę, własne zagadnienia i wyniki. Rozbiór estopsychologiczny, jak wykazywaliśmy, składa się z trzech części głównych: rozbioru składowych części dzieła sztuki, tego co ono wyraża i w jaki sposób wyraża; hypotezy psycho-fizyologicznéj jego autora i psychologii grup admiratorów. Pierwsza z tych części dostarczy z czasem estetyce szerokich uogólnień, równie jak wesprze analizę wrażeń estetycznych; druga dostarczy nam dokumentów do najbardziéj interesującéj kategoryi umysłów, trzecia wreszcie przyczyni się do wypełnienia psychologii narodów. Badając objawy zastępstwa (*substitution*) wrażeń estetycznych odnośnie do rzeczywistych wrażeń życiowych (nie-„sztucznych“), będziemy mogli określić stopień napięcia i naturę woli w zbiorowiskach społecznych posiadających sztukę—co znowu zbliży estopsychologię do etyki, oraz zagadnień społecznéj statyki i dynamiki...

Widoki, jak widzimy poważne.

V.

W dwu tomach swych „Studyów krytyki naukowéj“, Hennequin stosuje, z większém lub mniejszém powodzeniem, w szerszym lub ciaśniejszym zakresie, zasady i reguły wyłożone w „Krytyce naukowéj“ do poszczególnych pisarzy. Już jednak w dodatku do tego ostatniego dzieła pomieścił w formie przykładu „plan całkowitego studyum z estopsychologii“. Schematyczny ten wzór ma za

przedmiot Wiktora Hugo [1]). Mamy tu bardzo drobiazgowy, ujęty w liczby, podziały, poddziały i punkta, rozbiór estetyczny, psychologiczny i socyologiczny utworów wielkiego romantyka. Analizę socyologiczną streszcza krytyk w następujących wnioskach ogólnych. „Od 1830 do 1886 (?) r. większa część i najbardziéj uzdolnionych literatów francuskich przedstawiała słabiéj lub silniéj przewagę idei słownych nad ideami realnemi; czytelnicy, przewagę podobną, mniéj akcentowaną i dotykającą młodzież specyalnie; widzowie teatralni: atonię i ogólną poziomość umysłową, nacechowaną nierealizmem (*irréalisme*), niedoświadczeniem i zupełnym brakiem zastanowienia, przy wyraźnéj predylekcyi dla pobudek czysto zmysłowych; dekoracye, kostiumy, dźwięczność wyrazów. Czytelnicy z ludu: egzaltowane zamiłowanie słów (*verbalisme*), tłómaczące się idealizmem optymistycznym, mglistym i humanitarnym, lecz niepraktycznym i nie wynikającym z doświadczenia; lud—ideolog. Te fakty psychologiczne mają charakter narodowy. Byłoby nietrudno udowodnić to wykazaniem zdarzeń społecznych i historycznych epoki spółczesnéj; ujawniają się one mianowicie w politycznéj nieudolności ludu robotniczego; w obniżeniu umysłowém klas posiadających; w romantyzmie mniéj lub więcéj wydatnym całéj spółczesnéj literatury francuskiéj"...

Tom studyów z literatury francuskiéj zawiéra drukowane poprzednio w *Revue indépendante*, *Revue contemporaine* i in. portrety i szkice, dotyczące: Flauberta, Zoli, W. Hugo, Edmunda Goncourta, Huysmansa. Szczególniéj Flaubert jest opracowany starannie, aczkolwiek jeszcze nie według pełnego wzoru wymagań estopsychologicznych. Inne studya mają więcéj szkicowy charakter i pisane były w trakcie formowania się w umyśle autora jego systemu krytycznego. Tom ten wyszedł już po śmierci Hennequin'a.

Bardziéj skończoną całość przedstawia, przygotowany jeszcze za życia nieodżałowanego krytyka tom, zatytułowany: *Ecrivains francisés*. Zawartość téj książki stanowią: Dickens, Heine, Tourguénef, Poe, Dostoïewski i Tolstoï [2]). Zbierając te studya w jedną całość autor chciał dowieść niemi pewnéj tezy i dlatego książkę opatrzył przedmową i bardzo szczegółowemi końcowemi wnioskami. Mówi on naprzód, że wpływ obcych literatur na francuską nie jest zjawiskiem nowém i że w historyi jéj zaznaczyć już można: wpływy klasyków w w. XV, Włochów i Hiszpanów w XVI, znowu klasyków

[1]) Studyum o tym pisarzu znajduje się w „Quelques Ecrivains français".
[2]) Pozostawiam pisownię francuską, ponieważ mowa o autorach sfrancużonych (*francisés*) t. j. przyswojonych całkowicie literaturze francuskiéj.

w XVII, kilku filozofów i powieściopisarzy angielskich w XVIII, w epoce zaś romantyzmu potężny wpływ wywarli na Francyę wielcy geniusze rasy germańskiéj: Szekspir, Goethe i Byron. „Dokonali oni tym razem, mówi autor, ewolucyi stanowczéj. Sztuka nasza dzisiejsza winna im swój smutek, swój ogień, swe poczucie wielkości i powagę prawie północną, oraz utratę dawnéj wesołości i łatwego gawędziarstwa“ [1]). Co przytém szczególnego, wpływy te zaznaczały się nie w epokach upadku, lecz w czasach pełnéj pomyślności artystycznéj. Mniemać więc należy, mówi autor, wobec tych rewolucyi literackich, posiłkowanych z zewnątrz, że w pewnych epokach dzieła zagraniczne zaspakajały lepiéj pewną ilość czytelników francuskich, niż utwory pisarzy wyrosłych na własnym gruncie, z czego widać, że takie sympatye z wyboru bywają silniejsze, niż wspólność gleby, krwi i języka... Należy dodać, że jest to wpływ nowych idei i nowych form artystycznych, które pojawiwszy się w danym kraju, zyskują rozpręźność, przechodzącą jego granice. W objawach tych wpływów zagranicznych widzi Hennequin coś wręcz przeciwnego metodzie historycznéj Taine'a, która tłómaczyła literaturę tylko wpływami dziedziczności, rasy i otoczenia. Krytyk nasz pozostawia na stronie badanie trudnych do wyjaśnienia początków, zajmuje się tylko „przewagą, jaką wywierają duchowi przodownicy narodów, losem ich idei, słów i pociągu, jaki wywierają“, a na téj drodze fakty wpływów zwyrodnionych znajdą łatwe objaśnienie. Wpływy wielkich ludzi i wielkich artystów, podniesione przez nich idee i pragnienia sięgają daleko po za granice rasy, dziedziczności i otoczenia.

Studya powyższe opracowane zostały z wielką umiejętnością krytyczną i syntetycznym talentem. Najsilniejsze są w estetycznéj i psychologicznéj części rozbioru, mniéj w socyologicznéj, aczkolwiek i tu wypowiada Hennequin nader cenne uwagi. Szczególną przytém pełnością odznaczają się studya o Dickensie, Heinem i Poe. Pisarzy pozostałych trudniéj krytykowi było zrozumiéć w całéj rozciągłości i tu jednak spostrzegamy mnóstwo uwag i postrzeżeń nader trafnych, zrobionych przez pisarza, zaprawionego na literaturze zachodniéj.

Końcowe wnioski ogólne, dotyczące rozbiéranych w tomie tym obcych pisarzy, autor podzielił, zgodnie z swą metodą na trzy części: wnioski estetyczne, psychologiczne i socyologiczne.

Pomijamy w wywodach estetycznych zajmujące spostrzeżenia

---

[1]) „Ecrivains francisés“. Przedmowa.

o idealistycznym charakterze słów, wyrazów, o sztuce nieosobistéj artystów (*passionnans non passionnés*), których wzorem być może Poe, o przyszłéj formie powieści i. t. d., zatrzymamy się tylko dłużéj nad szczegółowém określeniem, jakie daje autor trzem najwybitniejszym kierunkom literatury i sztuki: idealizmowi, romantyzmowi i naturalizmowi. Fałszywém jest mniemanie, mówi Hennequin, według którego realizm odróżnia się tém od idealizmu, że daje o naturze i człowieku bardziéj zbliżone do prawdy wyobrażenia. Już Milsaud w swéj *Esthétique anglaise* wytłómaczył dowodnie, że prawda nie może być celem sztuki. Zarówno więc idealiści jak i realiści muszą się posługiwać wyobraźnią i usiłować zmienić, „zdeformować", „zdenaturować" rzeczywistość. Różnica między temi dwiema wielkiemi szkołami leży nie w wierności, w dokładności widzenia, lecz w sposobie zmiany (*manière d'altérer*) tego co im okazuje natura i oparciu na niéj dzieł, które nie mają nic z sobą wspólnego [1]). Dzieła klasycznych idealistów starają się obdarzyć swych bohaterów takiemi rysami cielesnemi i moralnemi, które autor radby widziéć u wszystkich członków swéj rasy. Stara się on wzbudzić uczucie podniosłe, uczynić typ ludzki wyższym i odziać go w różne powaby zewnętrzne. Idealizm romantyczny we Francyi — w Niemczech bowiem i Anglii było inaczéj — miał inne zupełnie widoki. Starał się on stworzyć dzieła raczéj zadziwiające niż piękne. Artyści tego kierunku malują z zamiłowaniem dziką naturę i rozczochrane charaktery, namiętności gwałtowne, rozpasane: zrozpaczoną miłość, gryzące wyrzuty sumienia, szał, zaślepienie, zbrodnie, wszelkie bóle i okropności lub znowu orgie upojenia, zachwytu, uniesienia. Romantyzm wykoślawia naturę i człowieka zarówno w kierunku idealizmu jak i realizmu, starając się przesadzać we wszystkiém, co prowadzi do efektów sztucznych, fałszywych, dekoracyjnych, co nieprawdopodobieństwem swém ochładza wreszcie czytelnika. Zupełnie inaczéj postępują realiści; biorą oni rzeczy bardziéj seryo, są zgorzkniali i starają się nietyle podobać lub zadziwiać, co wzruszać. Mają oni upodobanie w opisie miejsc brudnych i biédnych, analizują téż z zamiłowaniem namiętności niskie: lubieżność, skąpstwo, nikczemność. Człowieka malują oni złym i nieszczęśliwym — to jest obdarzają go znowu takiemi rysami fizycznemi i moralnemi, które są niepożądanemi dla rasy ludzkiéj. Wywołują oni z jednéj strony uczucia wstrętu, z drugiéj współczucia i litości dla cierpiącego i srodze dręczonego człowieczeństwa. Realizm oddala

---

[1]) „Ecrivains francisés", str. 258.

się od rzeczywistości o tyle prawie co idealizm, który wszystko widzieć się starał w barwach różowych.

Widzimy tedy, że idealizm stara się świat upięknić, realizm zaś uczynić go jaknajszkaradniejszym — w obu zaś leży wspólne dążenie do poprawy, do zmiany rzeczywistości, postępują w tém tylko odmiennemi drogami. Szkoły te różnią się nie większém lub mniejszém zbliżeniem do rzeczywistości, aczkolwiek realiści są jéj niewątpliwie bliżsi, lecz zgoła niepodobnemi do siebie obrazami, które osnuwają na téj rzeczywistości. Dickens i Dostojewski są realistami, ponieważ wzruszają i budzą oburzenie. Turgeniew i Tołstoj są w połowie idealistami.

Nie możemy podawać nader szczegółowéj charakterystyki psychologicznéj każdego z powyższych autorów, obfitującéj w spostrzeżenia głębokie i trafne. Nie zatrzymamy się więc ni nad temperamentem nawskroś umysłowym Edgara Poe, ani nad przelotnością uczuć i ich osłabieniem przez rozum u Heinego, ani nad wrażliwością Dickensa i mistycyzmem Dostojewskiego. Zanotować możemy natomiast kilka spólnych uwag o artystach. W systemie krytycznym Hennequin'a odegrywają oni rolę nader wybitną, z bliska jednak, jako ludzi, krytyk przedstawia ich wcale niepochlebnie. „Jak róża lub orchidea podwójna, mówi on, człowiek wyższy, artysta, literat, jest to potwór (*un monstre*), istota sztuczna i delikatna, niezupełnie rozwinięta w jednych częściach, w innych nadmiernie“ [1]). Jest to człowiek, którego działalność mózgowa przewyższa o wiele zwykłe granice i narusza normalną równowagę organiczną. Świat daje mu wizye przeważnie przykre i bolesne, sama jednostronność myślowa cięży mu tak, że pragnie niejednokrotnie pogrążyć się w odrętwienie i nicość, jak tego dają przykład asceci indyjscy i katoliccy. Cierpią oni z konieczności na nadczułość, przybierającą chorobliwy charakter. Wola ich przez nadmierny rozrost refleksyi i wyobraźni jest sparaliżowana, skąd bolesne nieraz kolizye z życiem zwykłém, którego pozostają zazwyczaj postronnemi widzami, nie kosztując przyjemności dostępnych ludziom zwykłym. Stan taki przyczynia się do wytworzenia mizantropii i hipokondryi... Końcaby nie było, gdyby przyszło wyliczać plagi, trapiące te słońca i gwiazdy ludzkości. Działalność ich przynosi zbawienne dla człowieczeństwa owoce, ich jednak własna czująca i myśląca istota tworzy w dotkliwych bólach porodowych i od tworzenia tego ginie. Hennequin osnuł na tém tle całe

---

[1]) „Ecrivaint francisés“, str. 270.

pasmo głębokich rozumowań, których powtarzać, z braku miejsca, nie możemy.

Pozostają nam jeszcze konkluzye społeczne, które krytyk pod koniec swych studyów wyprowadza. O wpływie obcych pisarzów we Francyi szczegółowo rozwodzić się nie będziemy. Poe nigdy popularnym nie był, miał atoli gorących zwolenników i naśladowców w świecie literackim. Heine był bardzo czytany i nie przeszedł bez wpływu na poezyę francuską. Turgeniew czytany był również. Hennequin utrzymuje, że wpłynął on na Guy de Maupassant'a, zresztą na wskroś francuskiego autora odnowionych *contes*. Tylko opowiadania te dawniéj we Francyi miały inne zabarwienia. Dickens stał się bardzo popularnym we Francyi; jednakże podobieństwo jego z Daudetem jest tylko pozorne. Dostojewski i Tołstoj znaleźli także licznych czytelników, szczególniéj w świecie literackim i nie przejdą bez wpływu.

Ogólną cechą wszystkich dzieł obcych, które od lat stu wpływały kolejno na literaturę francuską, mówi Hennequin, i zmieniły zupełnie jéj naturę (*au point de la dénaturer*) jest wielka czułość. Podobną rewolucyę zainaugurował już Rousseau, wspierany przez powieściopisarzy angielskich. W ślad za pisarzami Anglii i Niemiec, romantycy francuscy przestali patrzéć na człowieka na sposób Descartes'a, jako na istotę rozumną a przynajmniéj rezonującą, któréj czułość objawia się nader łagodnie, lecz jako na istotę obdarzoną gwałtownemi namiętnościami przedewszystkiém. Cały pogląd na świat i na społeczeństwo musiał uledz zmianie ze zmianą poglądu na człowieka. Literatura francuska od początku tego wieku należy właściwie do literatur północnych, nie zaś południowych. Wszystkie wybitniejsze dzieła z tego okresu są bardziéj wzruszające niż racyonalne, usiłujące wyegzaltować czułość w człowieku z uszczerbkiem rozumu... Być może, iż jest to reakcyą przeciwko suchemu racyonalizmowi. Powieściopisarze realistyczni, Zola i Daudet, grają na strunie uczuć i namiętności. Michelet wprowadził czułość do historyi, Sainte-Beuve i Taine do krytyki, Georges Sand do powieści, Delacroix do malarstwa, Berlioz napoił nią swą muzykę. Pisarze francuscy nie zdołali wreszcie zaspokoić téj wzbierającéj w społeczeństwie czułości, zwrócono się więc do autorów obcych. Śród publiczności francuskiéj naszego stulecia — głównie wśród klas zamożniejszych, klasy bowiem biédne uchylają się od poszukiwań estopsychologicznych — wbrew przeciwnie temu co przeważało we Francyi do połowy XVIII w., poczytném jest to tylko, co porusza współczucie i litość dla cierpienia ludzkiego.

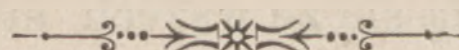
„Niespokojne zajęcie się masą naszych bliźnich, mówi pod koniec krytyk, zawładnęło ogółem inteligentnym, który wié, lub który odczuwa, że jest rzeczą nieodzowną, iżby wszyscy ludzie czuli się solidarnymi i który przeraża dziwna obojętność wzajemna, dzieląca coraz bardziéj jednych od drugich, ów brak serca, spólności, współdziałania, co czyni ludzi coraz bardziéj niezależnymi i samotnymi. Niektórzy wyobrażają sobie, że twarda zasada walki, co wyczerpuje silnych, a zabija słabych, może stworzyć coś innego, jak rywalizacyę, nienawiść i bezmierne zmęczenie. Socyologia spółczesna myli się, mniemając, że należy żyć wciąż w tym stanie wojennym, gdy tymczasem wszyscy mogliby miéć byt zapewniony i połączyć swe siły dla wspólnego szczęścia, nie zaś dręczyć się nierównomiernym podziałem bogactw. Należałoby pragnąć więcéj zgody, współdziałania, wzajemnych poświęceń. Błędy dzisiejszego ustroju zaczynają być coraz szerzéj rozumiane. Czynią się ze wszech stron zabiegi, ażeby walka o byt nie doszła do ostatecznych granic bratobójstwa. Należy życzyć sobie, iżby ogólném stało się przeświadczeniem o tém, że my wszyscy jesteśmy przynoszeni na ofiarę, nie dla naszego dobra, lecz dla abstrakcyjnego przemysłowego postępu, dla nagromadzenia martwego kapitału, który opłacamy zbyt drogo, poświęcając mu spokój i odpoczynek, swobodę myślenia i używania. Z dołu do góry cywilizacya spółczesna cierpi coraz bardziéj. Jeżeli biédni i poniżeni ulegają takiemu porządkowi, to dlatego, że nie umieją się skarżyć dość skutecznie; jeżeli wybrani szczęśliwcy ulegają mu także, to dlatego, że nie nauczono ich rozpoznawać swoje własne cierpienia w drugich. Współczucie, litość, chęć dopomożenia, altruizm jedném słowem, który w duszy każdego odbija cierpienia i radość drugich, są to uczucia, które sprowadzą nieodzownie reformę życia społecznego. Należy wiedziéć, że są to wrażenia, które obudzić się starają wszystkie prawie dzieła geniuszów ludów północnych, we Francyi zaś wszystkie dzieła romantyzmu i realizmu, narodowe i przyswojone i które liczą coraz szersze koła czytelników“.

Edward Przewóski.





JEDEN Z WIELU.



W gorącém powietrzu letniego zmierzchu wrzał ruch uliczny wielkiego miasta. Noc nadchodząca zgasiła słońce, ścierając troskliwie resztki świetlnego pyłu, który wlókł się na zachodzie, niby delikatny, purpurowy dymek i znikł wreszcie, zatonął w mroku. Sylwetki pieszych na chodnikach, powozów, tramwai — zwarły się w chaos splątany i gwarny. Coraz częściej słychać tramwajowe dzwonki, przekleństwa woźniców, tupot koński na bruku...

Noc ciemna pewną była zwycięstwa. Sądziła, że uśpi to hałaśliwe mrowisko z taką łatwością, z jaką uśpiła pola, Wisłę i bory. Ale się zawiodła. W chaosie ciemnym, gwarnym i, zda się, bezbrzeżnym, błysnęło mdłe światełko. Fala głów ludzkich, grzbietów końskich — drgnęła w tém miejscu nieznacznie i płynęła w świetle żwawo, z nową, sztuczną energią... Za chwilę zamigotało drugie, potém trzecie... czwarte... Gazowe płomyki popłynęły świetlnymi rzędami, rozwidniając mury kamienic, chodniki, bruk, kontury pojazdów...

Noc groźna, tuż ponad dachami, zwisała ogromem wielkich, nieprzejrzanych ciemności. Wobec jéj potęgi jakże słabiuchnemi wydają się mdłe światełka! Ludziom jednak to wystarcza. Są w stanie rozróżnić o kilka kroków twarz znajomą, przeczytać afisz lub wyminąć dorożkę... Czują się zupełnie dobrze w małym, sztucznym światku, który ożywili sami, a który z nich wysysa życie. Bo wysokie, spiętrzone rzędy murów zgęszczają wyziewy; cegły i kamienie

zieją gorąco duszne, niezdrowe — na każdym kroku niemal czuć pulsowanie ciżby, zmęczonych sztucznem podnieceniem mózgów.

Płomyki gazowe okryły nędzę wielkomiejską warstwą bladego światła, w świetle migają blade twarze... Od czasu do czasu, gdy turkot pojazdów milknie na chwilę, słychać rozmowy, niekiedy śmiechy... Większość jednak tych ludzi idzie śród gwaru milcząc, z pośpiechem. Chwilami błysk latarni rozwidni zasmoloną twarz, zatłuszczoną dymem i potem kurtkę, przejrzy się w pobrzękującéj u boku blaszance... To robotnicy. Ci wracaią tak codzień, szybkim, nerwowym krokiem, rzucając apatyczne spojrzenia na przechodniów i marząc o nadejściu niedzieli, tego dnia upragnionego, kiedy ubiorą się odświętnie i na moment chociaż przestaną być rzeczą, kierowaną świstem fabrycznym.

U bram, gdzie senni drzémią stróże, pusto i przykro. Niekiedy zaledwie w ciemny otwór furtki wpadnie szeleszcząca kobiéca figurka, niekiedy błyśnie lśniący cylinder. O, teraz wyszedł wysoki pan w piękném, jasném palcie. Mierzy doświadczoném okiem fałdy swego okrycia i wkłada rękawiczki... za chwilę wir ulicy porwie go i poniesie...

Hałas wzmaga się coraz bardziéj. Dzwonki tramwajowe dzwonią, jak gdyby na trwogę, turkot ogłusza, tłumiąc i plącząc zbłąkane dźwięki orkiestry z pobliskiego ogródka. Szyby magazynów kładą na chodnik wielkie, jasne plamy, dogorywające widnym odblaskiem na jasnych kostyumach, pustym uśmiechem na twarzach, zmęczonych gorączką myśli, pracy lub użycia...

A ciemne otwory bram, wciąż przyjmują lub wyrzucają ze swego wnętrza ludzi. Ot, znów, z głębi ozdobnego korytarza wypłynęła wysoka postać, okryta długą, cieżką burką. Człowiek w burce stanął, wsłuchał się w szczęk drzwi, które zamknięto za nim, drzwi pięknie rzeźbionych, spojrzał ogłupiałym wzrokiem na stróża, chrapiącego w bramie... i, z rezygnacyą powlókł swą długą postać w powódź światła i zgiełku ulicy. Dolna szczęka, porosła twardym, zaniedbanym włosem drżała mu lekko.

— Znowu nic! Człowiek łazi co dnia, jak pies i nic... Nic, nic — zdawały się mówić ciężkie fałdy burki, nic — tupotały ciężkie wieśniacze buty. To „nic“ zgięło mu barki, pobróździło policzki, wtłoczyło w mózg mnóstwo myśli dziwacznych i okropnych, których dawniéj nie znał wcale.

— Czworo ludzi wyżywić... to żarty! wszystko na jego głowie, wszyscy nań patrzą... a tu nic... Dziwna rzecz, ma już lat czterdzieści, a do niedawna nigdy jeszcze nie pomyślał, że wyżywić czworo

ludzi—to wielka sztuka. Wychowywał się na wsi od małego dziecka. Młodym już chłopcem zaczął pracować ciężko, ratując z ojcem resztki szlacheckiéj fortuny. Nie uratował, został ekonomem i pracował daléj. Potém się ożenił, dochował dzieci i pracował ze zdwojoną energią... Przyzwyczaił się do pracy ciężkiéj od świtu do nocy, chwalono go, jak się chwali wołu, dobrze chodzącego w jarzmie, praca wydawała mu się rzeczą tak niezbędną, jak powietrze... Czyż więc mógł przypuszczać, że kiedykolwiek zbraknie mu pracy?

A jednak nadeszła ta chwila, kiedy potęga jakaś ukryta krzyknęła nań, niby oracz na woły: stój! Od dnia dzisiejszego nie będziesz chodził w jarzmie, ale jeść téż nie dostaniesz... zresztą jesteś wolny, możesz iść, dokąd ci się podoba! Łatwo powiedzieć: idź... Ale dokąd? Wół, puszczony samopas, byłby w szczęśliwszém położeniu, znalazłby bez trudności innego pana, któryby go znów uprzągł do jarzma... Wolny, żeby to cholera taką wolność!

Owinął się burką i szedł bezmyślnie, wiedziony szeregiem ogników gazowych, które w tém piekle zdawały się olbrzymim sznurem ognistych paciorków jakiegoś potwornego, dyabelskiego różańca.

Daléj, daléj w to piekło!

Wir wielkiego miasta huczał wciąż swą wielką, monotonną kantatę. Człowiek w burce szedł bez wytchnienia miarowym, ciężkim krokiem chłopa. Potrącano go, nadeptywano na grube, połatane buty, przepraszano co krok. Nie zważał na to czas jakiś, w końcu zniecierpliwił się.

— Po co oni wszyscy tak się tłoczą... nie mogliby szerzéj budować?...

To „szerzéj“ poniosło jego myśli do wsi dalekiéj, gdzie mieszkał tak długo, gdzie miał nadzieję dożyć do końca. Widział, jak we śnie, duże, murowane czworaki, gdzie zajmował dwa pokoje od frontu... dwa pokoje i kuchnię!... Za domem szeregi stodół, potém staw duży... włoskie topole... ogród pański, zlewający się na widnokręgu z lasem... Wstrząsnął nim dreszcze lekki... Przysiągłby, że... (Boże, co za głupstwa człowiekowi się roją) że czuje, jakby zapach świeżo skoszonego siana... słyszy świerszcza... Boże...

— Boże kochany, co za niezdara! — pisnął mu nagle nad uchem gniewny głosik kobiécy. Jednocześnie poczuł energiczne szturchnięcie w bok i, z zamierającém na ustach: „pani dobrodziejko“, usunął się pod latarnię. Spojrzał po za siebie, na zbity, wirujący chaos ludzkich postaci... i mrucząc: „kto tu dojdzie ładu!“ ruszył daléj. Wir miasta znów go porwał, otumanił. Ciężka, gorąca burka zawadzała mu. Rozpiął ją na piersiach i wlókł się daléj zgłodniały, czer-

piąc wyschłemi usty duszne, przesiąkłe wyziewami powietrze. Ulica rozszerzyła się nagle.

— A, to już Krakowskie-Przedmieście!... Zdjął czapkę i stał przez chwilę pod kościołem. Z kościelnego ganku wyzierał biały, kamienny Chrystus, uginający się pod krzyżem.

— Nie, nie raźno tu jakoś pod ogromnym gmachem kamiennym. On chciałby się pomodlić w swoim ubogim kościołku, który zalewa go morzem wspomnień... tu czuje się obcym zupełnie, niepotrzebnym... Zresztą i Chrystus tu inny; w blasku gazowych latarni wygląda obco, po miejsku... z kamiennym chłodem wyciągnął swą rękę, daje mu znak, aby stąd odszedł daleko... tam za Wisłę, skąd przyszedł.

Włożył czapkę i szedł znów obojętny, zapatrzony w swe myśli. Dwóch posługaczy niosło zmarłego na tragach, w dużéj trumnie, pokrytéj czarném suknem — widocznie do kościoła... Za trumną szła garstka ludzi czarno ubranych. Zapatrzył się na jedną z dam, która płakała rzewnie i zdjął czapkę. W tém... potrącono go znów w rynsztok. Obejrzał się... ani śladu trumny. Za nim szło gronko wesołych panów z kwiatami w klapach tużurków, z uśmiechem na ustach... Jakiś ulicznik zatrąbił mu w kułak, tuż pod uchem... Człowiek w burce drgnął i ruszył znów w ślad za szeregiem niknących w oddali ogników. Urywki rozmów obijały mu się o uszy, dorożki turkotały po bruku, dzwonki tramwajowe szczękały dokuczliwie — wir miasta huczał nieprzepartym, monotonnym rytmem.

— Nie, nie przyzwyczai się nigdy do tego piekła! Jest tu przecież już kilka miesięcy i nie może się z tém oswoić... Ludzie tu podejrzliwi, nieufni, jak wilki; każdy żyje dla siebie tylko, zamknięty w „swojém“ mieszkaniu na rygle i łańcuchy... Mimowoli usłyszał w myśli szczęk drzwi rzeźbionych, które zamknięto za nim niedawno. Na nic wszystkie bieganiny, na nic. Jego protektor myśli tylko o sobie. Człowiek bardzo bogaty — cóż go obchodzi biédny ekonom? Krewny jego żony — cóż go obchodzi żona ekonoma, który stracił miejsce. Gniew głuchy i uraza do żony wzrastały i potężniały, co chwila, w tym cichym, łagodnym człowieku. Głupia, licząc na wątpliwą protekcyę, sprowadziła go do tego piekła, w którém umrzéć można z głodu, nie zwróciwszy nawet niczyjéj uwagi! Zresztą, cóżby pomogło nawet zwrócenie uwagi, kiedy tu ludzie, jak wilki. Wilki, prawdziwe wilki, kryjące wilcze łby w pięknych cilindrach, wilcze miny w łagodnych, dystyngowanych uśmiechach. Fala ludzkich postaci na chodnikach wydała mu się nagle bandą zwierząt zgłodniałych, które wyszły na żér.

— Czają się, psie wiary, nie pogardzą nawet ubogą burką... —

Dlaczego nie został na wsi? Zgodziłby się za parobka i zarabiał na chléb... Ale żona zawsze wzdychała do wielkiego miasta... masz tobie wielkie miasto!

W „żérowaniu“ miejskich ludzi domyślał się wielu rzeczy okropnych i podłych... a jednak musiałby tak żérować, gdyby umiał. Ale nie umiał. Jest przecie silny, zdrów — a taki słaby. Z łatwością zadusiłby pierwszego lepszego z tych wymokłych panów w cylindrach, zdarł palto, odebrał zégarek...

W chwilach rozpaczy i gniewu snuły mu się po głowie podobne projekty... Ale cóżby zyskał? Skalałby tylko na wieki swą uczciwość... nic więcéj... Nie, tu trzeba „żérować“ inaczéj, tu piją krew tak, że dziurki nie zostawią. Do swoich nor znoszą żér na pozór bardzo lekki, w eleganckich pugilaresach... A on, pełen sił, zdrowia, siedzi w swéj norze bezczynnie z żoną i trojgiem małych dzieci, rzuca na łup przeklętemu miastu resztki dobytku, bez którego nie umiałby się obejść dawniéj, skazany na śmierć głodową wśród ludzi, z którymi go nic nie wiąże... Tyle ludzi. Podobne tłumy widywał dawniéj niekiedy tylko na odpustach lub jarmarkach... Tyle ludzi! Ociera się o nich nieustannie, czuje niemal bicie ich serc, słyszy ich rozmowy, śmiechy... a jest po za nimi gdzieś daleko, daleko... daléj, niż na odludnéj wyspie... Tam nawet byłoby mu lepiéj; nie zabraniałby nikt polować, łowić ryby... Masz tobie wielkie miasto!

I znów wzbierał w nim gniew głuchy na myśl o żonie, téj pustéj kobiécie, myślącéj tylko o strojach i wielkiém mieście. Znajomi odradzali mu ten związek. Córka obywatela, który stracił majątek w karty—to nie dla niego. Ale nie mógł się oprzéć... tak ją kochał... ona, zresztą, kochała go także, chociaż była kobiétą innéj sfery. Jaka ona teraz jeszcze piękna... a jak tańczyła, jak grała na fortepianie... tak na fortepianie, który on wybrał z pośród jéj rzeczy, sprzedawanych na licytacyi po śmierci ojca i zrobił prezent swojéj pannie młodéj... Mój Boże, jaki to człowiek wtedy był głupi! Wydać na sprzęt bezużyteczny 80 rubli... Z tą sumą można byłoby postarać się teraz o jakie miejsce...

— Zdechniesz z głodu, zdechniesz z głodu -- kiwały nań melancholijnie latarniane płomyki, niby się litując.

— Co do lombardu dasz, co do lombardu dasz? — pytał turkot dorożek.

— Nicc... nicc... — śmiały się cicho tramwajowe kółka, sunąc po szynach.

Stara, zgarbiona kobiéta w łachmanach zatrzymała go za rękaw.

— Panulku złoty... z Częstochowy idę, siérota biédna... trzy dni chleba kawałka w gębie nie miałam...

Człowiek w burce ocknął i rozejrzał się.

Szeregi ogników schodziły ku Wiśle, tworząc wieniec ognisty. Z powodzi mroku płynął ku niemu ciężki, niezgrabny korpus zamku. Plac zamkowy... dom niedaleki...

Myśl natrętna, że zmarnował jeszcze jeden dzień w bezowocnéj pogoni za miejscem, ujęła znów jego głowę w kleszcze potworne. Wychodząc z domu rano, o szklance zimnéj herbaty z kawałkiem chleba suchego, aby „ich nie obiadać“, wracał dopiéro wieczorem, z wesołym uśmiechem, z garścią zmyślonych naprędce historyi o dawnych znajomych, z którymi się spotkał, o „fundach“ sutych, jakiemi go raczono. Z pokorą znosił zniechęcony lub gniewny wzrok żony, który pytać się zdawał:

— Długoż tego będzie?...

Wir miasta huczał wciąż natrętnym, monotonnym rytmem, słabnącym w miarę tego, jak człowiek w burce zbliżał się do swojéj ubogiéj dzielnicy. Gaz palił się ciemniéj w uliczkach wąziutkich, ludzie snuli się powolniéj po wązkich chodnikach, bardziéj wychudli, zniechęceni...

— Co powiedziéć żonie, co powiedziéć? A cóż? powiedziéć, prawdę! — Ogarniało go zniechęcenie, determinacya apatyi... Chodzić tyle tygodni o głodzie, wałęsać się po têm piekle... dość tego... Niech się dowié, niech zobaczy, jak to smakuje... Kobiéta innéj sfery! On téż przecie szlachcic... potomek magnatów... Wyraźnie stanął mu w pamięci cały szereg opowieści cudownych o dawnéj, wielkiéj przeszłości, opowieści, któremi stary czlachcic karmił wyobraźnię swego syna. Wnuk kasztelanów żebrze w chłopskiéj burce i butach podartych o lichą posadkę ekonoma! Dziwne, doprawdy, ale ta posadka, która zadawalniała dawniéj wszystkie jego potrzeby, teraz, kiedy lada chwila stoczyć się miał w otchłań nędzy bez wyjścia, wydała mu się nieodpowiednią jego zdolnościom, pochodzeniu... Synowie chłopów są panami, dlaczegóż on ma być żebrakiem? A czy może być cóś bardziéj upokarzającego, niesprawiedliwego, jak żebrać o pracę? Gdyby szło o niego tylko, zostałby parobkiem... ale rodzina? Nagle wyobraził sobie ludzkość całą w postaci niezliczonéj ciżby rodzin wrogich sobie, walczących o kawałek chleba. Kto przewróci się w walce, tego odtrącają, pozwalają mu umrzéć z głodu...

Zniechęcony wszedł do sieni ciemnéj, wąskiéj, sklepionéj niby wilgotna trumna.

— Ciekawa rzecz, czy téż zastanie Szczepkowskiego? Był to

znajomy żony jeszcze z czasów panieńskich, pisarz gminny, który „puścił się“ w Warszawie na jakiś interes... dobrze mu się powodzi...

Człowiek w burce nienawidził Szczepkowskiego, jak nienawidził wszystkich tych elegantów, którym dobrze było w zgniłéj atmosferze miasta.

— Po co tu przyłazi tak często? — myślał, wlokąc się po oślizgłych błotem wschodach. — Nie bez tego, żeby nie chciał coś urwać... ale co? Wszystko już prawie zwleczone do lombardu... nie łaszczyłby się na starą poduszkę... Tfu, głupstwo, zagalopował się... Gnijąc od kilku miesięcy w téj „norze“, niby wśród ludzi, a daleko od nich, zwątpił o świecie. Zdaje mu się, że od czasu, jak upadł w zażartéj bójce o kawałek chleba, wszystkim wolno go tratować, nikomu zbliżyć się z dobrém słowem... Tak, to była bójka nie lada!

Stanął na chwiejnym, drewnianym krużganku.

W tych drzwiach jego „nora“. Wejść?.. coś go odpychało... W ciemni podwórka migotała słabo latarnia u drzwi stróża.

Wir miasta huczał w oddali cichym, monotonnym rytmem.

— Tak, to była bójka! Teraz, już po wszystkiém, kiedy leżał stratowany, ujrzał całą grozę téj walki. Dawniéj był ślepy i głupi... Pracował lata całe, nie myśląc o tém, że na jego lichą posadkę, czatuje, co chwila, tłuszcza cała zgłodniałych ludzi bez miejsca. Ci ludzie powalili go nakoniec. Zmusili, aby stanął w ich szeregach... Powinien baczyć teraz pilnie, czy nie poślizgnie się noga któremu z walczących, aby zająć jego miejsce. On tego nie umié, nie ma serca... i stoi ogłupiały, potrącany przez wszystkich, zapomniany...

— Nie wypada stać dłużéj na ganku... wejść do nory? E, wejdę.—Mruknął jakieś przekleństwo i wszedł do niziutkiéj kuchenki. Mała lampka pstrzyła nagie ściany chropowate fantastycznym półmrokiem. Z pod komina wyglądało kilka brudnych talerzy, garnków... Przeze drzwi słyszał wesoły śmiéch żony... Ten śmiéch odciął mu resztę sił.

— Nie wejdę!

Wzrok jego padł na piękny cylinder, połyskujący czarną plamą wśród brudnych gratów kuchennych.

— Jest, psia wiara, przyszedł... co dzień przychodzi. Wietrzy poganin żer jakiś, ale jaki? A może...

Po raz pierwszy w życiu opanowało go dziwnie przykre uczucie. Było to coś, jakby zdziwienie, strach, jakiegobyśmy doznali na widok śpiewających kwiatów, śmiejących się krzeseł, rozmawiających koni... On, ten chłystek, śmiałby czychać już nie na sprzęty, ale na żonę, rzecz świętą, nietykalną, matkę dzieciom?... Brednie, rozumuje zu-

pełnie, jak dzieciak. Ludzie go odtrącili, pozwalają zdychać z głodu, niech pozwolą zdychać spokojnie... Któżby śmiał... A cóżby się stało z rodziną bez matki? Rodzina przecież doń należy, wolno mu umierać z rodziną, bożyszczem, dla którego pracował do ostatniéj chwili... Czyż wszystko na świecie ma przewracać się do góry nogami?

Tok rozmyślań przerwał mu nagle pan Szczepkowski, który wdarł się z izby sąsiedniéj wraz z potokiem światła.

— Panie Sumiński, dobrodzieju, czekamy jedną ręką!...

Zaledwie człowiek w burce zdołał przyprowadzić nieco do ładu opłakaną tualetę, już go objęły białe, delikatne ręce, twarz rozpromieniona dotykała wychudzonych policzków, szepleniący głosik pytał natarczywie:

— Gdzież pan u licha włóczy się po nocy, panie Sumiński? Czekamy jakie dwie godziny... jakże można, panie Sumiński!

I pan Sumiński zły, zgłodniały—wobec téj serdeczności szczeréj, czy udanéj — uległ w uściskach młodego, dobrze odżywianego ciała, odurzony oparem alkoholu, który płynął wraz z szepleniącym głosem, olśniony pięknem ubraniem, pierścionkami, migocącymi na palcach... uległ, udobruchał się... podejrzenia jego pierzchły w jednéj chwili. Jakże nie miał uledz w tym wybuchu serdecznym, nie widząc już tak dawno na twarzach ludzkich życzliwszego błysku, przyjaznego uśmiechu, karmiąc się od kilku miesięcy ludzką wzgardą, zniechęceniem, obojętnością... Wprawdzie jego rozrzewnienie mroziła jeszcze pewna wątpliwość: dlaczego Szczepkowski dziś taki serdeczny?... dawniéj był grzeczny, nigdy taki serdeczny...

Ale kiedy pan Szczepkowski wprowadził go do pokoju — i ta wątpliwość uleciała bezpowrotnie. Na stole: piwo, wódka, koniaki, przekąski... za stołem żona rozczerwieniona, uśmiechnięta... Nie spazmuje, jak zwykle, że mąż powraca z niczém, nie będzie kłótni codziennéj, nieznośnéj, która toczy mu serce, jak robak przebrzydły... Pan Sumiński zapomina w jednéj chwili o téj strasznéj zaporze, która stanęła pomiędzy nim a żoną od czasu, kiedy stracił miejsce, o murze nieprzebytym, na który każda świeża kłótnia znosiła nową cegiełkę... Dość już tego, są szczęśliwi, jak dawniéj. Ona—zapomina o tém, że jest „z innéj sfery“, on—przebacza jéj, że jest głupią, pustą kobiétą, zdaje mu się, że to w kilka dni po ślubie. Jeszcze raz powraca mu myśl uparta: dlaczego Szczepkowski taki serdeczny? Ale pan Szczepkowski ma tak rozczuloną minę!... mój Boże, poczciwy człowiek... zresztą odkorkowywa właśnie świeżą butelkę z piwem... Ach, jak to dobrze wypić kufelek piwa... od kilku miesięcy nie miał go w ustach,

a czuje takie pragnienie... To żarty włóczyć się dzień cały o głodzie? A jak smakuje ten kawałek szynki!... Wstyd wyznać, ale dziś nic nie jadł... wypił tylko zrana trochę herbaty...

Żona śmieje się, całuje go w brodę. Przy obcych... może nie wypada? E, taki dobry znajomy, poczciwy człowiek... jak on się cieszy ich szczęściem! Całują się raz jeszcze, popijając piwo. Żona stroi minki, niczém panienka... i mówi pieszczotliwie:

— Czy wiész, bałamucie, dziś moje imieniny! Tyś zapomniał, obrzydliwcze, a pan Szczepkowski nie zapomniał, nie opuścił dawnych znajomych... No, pocałujcie się!

Pan Sumiński postawił szklankę na stole i całuje tego pana... ręce mu drżą nieco.—Czy tylko nie zanadto ten pan pamięta o tobie?— myśli skołatana, ekonomska głowa. Ale Szczepkowski taki prawdziwy, serdeczny—wypytuje troskliwie:

— Co panu jest, drży pan, czy nie chory?

Żona odpowiada za niego. Przechylona na poręczy krzesełka, przygląda się piwu w podniesionéj szklance i krzywi drobną, prawie dziecinną twarzyczkę, o czystych, nie tkniętych, zda się, życiem rysach, w pustym, zalotnym uśmiechu.

— Wié pan, to z głodu--doprawdy...

Mąż daje jéj znaki ręką: przy obcym, jaki brak taktu!

Nie zważa na to, śmieje się jeszcze głośniéj.

— To z głodu, panie Stanisławie — doprawdy to śmieszne... nieraz dni całe żyjemy tylko herbatą i suchym chlebem, aby dzieci napaść...

Pan Sumiński przełknął kawałek szynki i odchrząknął, aby przerwać śmiéch żony, który wdarł mu się do myśli weselszych, niby niemiły dysonans. W głowie szumiało kilka kufelków, nie był jednak taki pijany, jak przed chwilą. Posmutniał, zamyślił się...

— Potrzebnie paple, głupia papuga... za dużo poufałości... przy obcych.

Chciał powstrzymać Szczepkowskiego, który nalewał mu szklankę, ale nie miał siły. Zresztą...

— Zdrowie pani gospodyni—-zaśmiał się przyjaciel.

Wypił zdrowie i pogrążył się w zadumie. Piwo szumiało w głowie i dziwnie nie harmonizowały z tym szumem nagie ściany, brudne łóżko, porzucony na ziemi siennik, z którego dolatywało ciche sapanie śpiącego dziecka. Któż tak sapie... Bronka, ukochana matki... Toż go, panie, odurzyli... o dzieciach zupełnie zapomniał. Wprawdzie widział już na drugim końcu stołu najmłodszego Władka, który z miną poważną rozszarpywał na drobne kawałki kąsek szynki, ale

na tego nie zwracał uwagi, tego najmniéj kocha. W kogo się wdało takie bestyjstwo? Jak coś powié czasem, to człowiekowi niemiło, niby nożem po sercu, zupełnie, jakby się naigrawał... przytém brzydki... Ale, dlaczego nie widać jego ulubieńca Janka, najstarszego... chyba nie śpi...

— Janku!

Na brudném łóżku coś poruszyło się...

— Janek... no, chodźże do mnie, dam ci trochę piwa...

— Nie wołaj go — zaszczebiotała matka — uparciuch niegrzeczny. Krzyczę już od godziny, żeby szedł do stołu, ani drgnie...

— Ależ, moja droga, ojca posłucha...

— Tak, użyj pan ojcowskiéj władzy — wtrącił pan Szczepkowski, prowadzący z panią domu rozmowę półgłosem.

Ojciec wołał zachęcająco:

— Janku, chodźże... wstydziłbyś się, do licha...

Na brudném łóżku poruszyło się już wyraźniéj drobne ciałko chłopięce, jakby pasując się z kimś.

— Chodź, chodź, biédaku, zjesz trochę szynki!

Janek podniósł się, zawahał i siadł znów na łóżku, porwany przypływem nagłego płaczu. Łkał głośno, małemi piąstkami ściskał krawędź łóżka, aby powstrzymać drżenie chudego ciałka, zanosił się od płaczu.

Mała, pięcioletnia Bronia, pulchna blondynka, zerwała się wystraszona z siennika i biegła do matki, krzywiąc zaspaną buzię do płaczu. Tylko najmłodszy Władek nie przestawał przypatrywać się wszystkiemu uważnie, bawiąc się kawałkiem szynki, spokojny, niewzruszony.

Pan Sumiński zmarszczył brwi, niezgrabnym krokiem zbliżył się do łóżka i wziął Janka na kolana, chcąc go utulić. Nadaremno. Chłopiec drżał cały w rozpiętéj koszulinie, klatka piersiowa wydymała się i kurczyła konwulsyjnie, jakby miała rozsadzić wątłe piersi, powleczone cienką, przezroczystą prawie skórką, przez którą przeświecały żeberka. Boże kochany, aż przykro patrzéć! Człowiek w burce zbladł z żałości i oburzenia.

— Coście mu zrobili, u licha, tyś go wybiła?

Żona spuściła oczy na talérz i milczała rozdąsana. Pan Szczepkowski wyprostował się na krześle, zachowując dyskretne, obojętne milczenie. Wprawdzie żółtawe wąsiki poruszały mu się lekko, a na twarz wystąpiły różowawe plamy. Ale w izbie było duszno, przytém... pił sporo.

— Pytam się, co mu jest?—pytał natarczywie człowiek w burce.

Żona zarumieniła się oburzeniem.

— Czego hałasujesz? miejże wzgląd na gościa... Mordujesz mnie codzień, dobrze!... ale nie rób tego tak bezczelnie, przy obcych, nie targaj się, jak dzikie zwierzę na łańcuchu.

— Pytam się, coście mu zrobili? — ciągnął pan Sumiński nieubłaganym tonem. Po ciemnéj, zarosłéj twarzy błąkały się naprzemiany gniew i zniechęcenie; potargane włosy i rozpięta burka, z pod któréj wyglądała brudna bielizna, tchnęły stanowczością nędzy, opuszczenia...

— Co mu jest?

Pan Szczepkowski silił się na milczenie jeszcze dyskretniejsze, żona zacięła usta, namyślając się, co robić: czy wybuchnąć płaczem, czy potokiem słów obelżywych... mała Bronia zawijała się w fartuch matczyny, szepcąc trwożnym, płaczliwym głosem: mamo, mamo, Bronia się boi... boi...

Nagle z za stołu odezwał się stanowczy, spokojny głosik dziecięcy.

— Janek placze... Janek tego placze...

— Czego płacze? — spytał z gorączkowym pośpiechem człowiek w burce.

— Tego placze...

Oczy wszystkich pobiegły na róg stołu, skąd wyglądała duża, niezgrabna główka dziecka.

To mały Władek! Zmięszany chwilowo tém, że wszyscy nań patrzą, ciągnął daléj spokojny, poważny.

— Tego, że pan Szek..poski da go sewcowi.

— Jakiemu szewcowi, co bajesz?

— Takiemu co buty sije... Pan Szek..poski mówil, że tatuś nie zarobi, to Janek zarobi...

Czerwonawe plamy na twarzy pana Szczepkowskiego przybrały barwę granatu. Włożył na nos binokle, zdjął, począł przecierać szkiełka, bąkając nierozumiale.

— Ach, mały kłamca... widzisz, Władziu, jak ty kłamiesz... nic podobnego nie mówiłem... Powiedziałem tylko, że jeżeli ojciec zgodzi się (tu głos jego począł nabierać pewności), to wyrobię dla Janka miejsce w terminie na bardzo dobrych warunkach... Proszę pana, troje łatwiéj wyżywić, niż czworo, nieprawdaż, panie Sumiński?

Człowiek w burce milczał, zdając się myśléć o czémś zupełnie innem.

Pan Szczepkowski, niezrażony milczeniem, ciągnął daléj:

— W dzisiejszém położeniu państwa oddać chłopca do terminu,

wydaje mi się rzeczą najodpowiedniejszą... później będzie można inaczéj nim pokierować...

— Słysząc ciągłe biadania pańskiéj żony, chciałem przyjść z jakąkolwiek pomocą, jako dawny znajomy. Sądzę, że nie weźmie mi pan tego za złe? Zresztą zgodzić się, zależy w zupełności od woli pańskiéj.

Żona odzyskała pewność siebie.

— Na co tu się uniewinniać, panie Szczepkowski, nie ma przed kim... Człowiek rozsądny nogiby za to panu ucałował... Rozumié się, niech troje z głodu zdycha, niech jedno chociaż będzie ocalone... O, to jest czuły ojciec, proszę pana... rości sobie pretensye do czułości, a w garnek nie ma co wsypać... Oj, czuły... będziesz ty się przy trupach naszych czulił...

Pan Sumiński siedział milcząc, z głową zwieszoną i ściskał swego ulubieńca, który po nagłém wyczerpaniu się, leżał na kolanach ojcowskich prawie bezwładny. Obojętny na szyderstwa żony, otwierał szeroko oczy bezmyślne, prawie martwe... A w głowie wrzał tymczasem chaos myśli bezładnych, śmiesznych, okropnych, doprowadzających do szaleństwa...

Wśród tego bezładu spadały, niby olbrzymie, miażdżące wszystko kamienie — naiwne słowa dziecka: ojciec nie zarobi, to Janek zarobi... W cóż się obróciły ambitne marzenia o gimnazyum? Jakże myśléć o szkołach, kiedy ojciec „nie zarobi", nie jest w stanie zarobić na kawałek suchego chleba, nie ma o czém wyjechać nawet z piekielnego miasta... W téj jednéj chwili, w błysku przelotnym, poczuł nagle, że „coś" zaczyna rozdrapywać mu rodzinę... I nie jest-to „coś" panem Szczepkowskim, nie... ten chłystek nic nie winien... Może to człowiek poczciwy, z dobremi chęciami, może łotr ostatni — wszystko jedno. Nie, to „coś" jest siłą jakąś potworną, niezależną od woli ludzkiéj... koniecznością—obojętną, jednaką dla zbrodniarza, i poczciwca... To „coś" działa wszędzie, na każdém miejscu, w każdym czasie—wszechpotężne, jak Bóg... Dlaczego wyrzucono go z posady? bo stary pan umarł; a dlaczego umarł? bo „musiał" umrzéć. Dlaczego Janek „musi" iść do terminu? dlatego że ojciec nie jest w stanie go wyżywić... Chce go wyżywić, a nie może... Dlaczego żona zobojętniała, znienawidziła go prawie? dlatego że „musiał" stracić miejsce. Kto wié (co za dzikie przypuszczenie), że może nawet Szczepkowski oświadcza się z gotowością umieszczenia chłopca, zgnębiony tą siłą straszną, nieodgadnioną... Co to jest, mój Boże, co to jest ta siła?

Pan Sumiński gubił się w domysłach, napróżno... Chaos, chaos... wszędzie chaos...

Janek, zmęczony płaczem, zasypiał na kolanach, Bronia sapała na sienniku, żona i pan Szczepkowski przyszli do siebie i rozmawiali półgłosem... może o nim? nic nie rozumiał. Niekiedy tylko podnosił oczy na Władka, jakby od niego dobijając się wyjaśnienia zagadki. Malec, nie myśląc bynajmniéj o spaniu, układał coś z widelców skupiony w sobie, zadumany...

— Mój Boże, mój Boże — łkał w duchu pan Sumiński. Ta siła potworna, nienasycona—nie zadawalnia się têm, że mienie całe rzucił na jéj pastwę... Rzeczy prawie wszystkie, cały stos gracików i sprzętów, z którymi zżył się tak bardzo, które skupował w przeciągu lat całych... wszystko poszło na marne, rozchwytane po lombardach... I tego mało... potrzeba jeszcze dzieci!... A może to lepiéj?... Nie, raczéj niechby wszyscy zginęli z głodu... razem...

Uprzytomnił sobie cały szereg scen brutalnych, jakie czekają jego ulubieńca... biédne, wątłe dziecko poniewierane, męczone przez obcych, ordynarnych ludzi... A może lepiéj? Nie, nie myśléć o têm! Chaos myśli odurzył go bardziéj, niż najmocniejsze piwo. Uczuł się słabym, rozszlochanym, jak małe, obite niesprawiedliwie, dziecko. Hart i moc, które nie opuszczały go na chwilę przez te kilka długich miesięcy, prysnęły, jak słaba gliniana skorupa, potrącona nogą... Po co żyć, po co żyć... lepiéj umrzéć!... Śpiący, wątły Janek gniótł mu kolana, niby ciężar olbrzymi... Wziął go ostrożnie oburącz i złożył na łóżku. Potém, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, siadł znów przy stole.

— Po co żyć, mój Boże... po co żyć?... Chaos w głowie potężniał i wzbierał rojem wspomnień przykrych o têm, co przeżył w piekielném mieście... Głód ciągły, aby „oni“ mieli co jeść, bezcelowe, rozpaczne, włóczęgi po mieście, tysiące poniżeń w rozmowach z protektorem, chłód obojętny, z którym patrzyły nań tysiące obcych twarzy; ciągłe kłótnie z tą, którą niegdyś kochał tak mocno, a która z dniem każdym stawała się coraz bardziéj obcą, bez serca kobiétą... naiwna wiara dzieci w to, że nigdy nie będą głodne...

Czuł się tak zgnębionym, wyczerpanym, iż przez chwilę wydało mu się, że wcale nie cierpiał, że wszystko idzie jak najlepiéj... Uważał to za bardzo właściwe, że pan Szczepkowski rozmawia z żoną półgłosem, że zajęci są sobą, sprawiało mu to nawet pewną przyjemność. W kącie nie ma orzechowéj szafy, którą sprzedano wczoraj... jak to dobrze, że nie ma orzechowéj szafy...

Sięgnął ręką po szklankę z piwem—była pusta.

Pan Szczepkowski zerwał się i w okamgnieniu odkorkował świeżą butelkę, — ach, jaki grzeczny pan Szczepkowski! porządny czło-

wiek. Pan taki, zarabia dużo... a nie wstydzi się nalać piwa biédnemu ekonomowi, który stracił miejsce... A jak on dużo zarabia, pan Szczepkowski! ma miejsce przy kanalizacyi, robi dobre interesy... i nie wstydzi się! Ach, jak to dobrze...

Żona, podchmielona już nieco, odważyła się uśmiechnąć doń przyjaźnie.

— Ładna bestyjka—pomyślał pan Sumiński, jakby o kimś obcym.—Prawda, panie Szczepkowski, że ładna moja kobiéta?

— O, tak, trzeba panu gust przyznać, panie Sumiński.

Żona śmiała się, przelewając piwo na stół. W końcu poczęła tarmosić męża za rękaw.

— Zgoda, stary?

— Upiłaś się, czy co? Wcale się nie gniéwam...

— Wié pan, panie Szczepkowski, ten mój stary byłby niezły... tylko muchy straszne w nosie; czasem ni z tego, ni z owego wpadnie na mnie, niby zwierzę...

Mąż kiwał głową pobłażliwie, z uśmiechem.

— Co tam, trąćmy się raz jeszcze.

— Trąćmy...

Pan Szczepkowski odzyskał humor i rozpoczął nowy jakiś okres kwiecisty, ale pani Sumińska przerwała mu.

— No cóż, stary, zgadzasz się oddać Janka?

— Zgadzam się, kochanie, zgadzam... „Koniecznie“ trzeba oddać...

— Widzisz, paskudniku, potrzebne te sceny, przy obcych, nie wstyd ci to? — Umilkła nagle i za chwilę łkać poczęła rozżalona, bawiąc się, płynącą po stole strugą piwa. — Wi... dzisz... widzisz... myślisz... że... ja bez ser... ca? Czy to... i... i... mnie nie przykro, że Janek idzie... do... terminu... Zordynarnieje biédak... Pan... Stanisław radził, żeb...y mu włosy obciąć; miał śliczne kędziorki... do ramiączek... prawie — krę... co... ne... obcięłam... jak on biédak wy... wygląda... jak... rek... krut...

Nie skończyła, słowa zatonęły w głośnym płaczn...

Pan Szczepkowski począł uspokajać gorączkowo.

— Proszę pani, na litość boską... do czego to podobne... błagam panią o spokój, chwileczkę spokoju...

Na mężu płacz żony nie zrobił najmniejszego wrażenia. Przyjął pobłażliwie ten wylew czułości, pijąc piwo powoli, haust za haustem... Zdawało mu się, że wchodzi krok za krokiem na jakieś wyżyny, skąd wszyscy ludzie wyglądają, niby biédne, godne litości karły... Wszyscy gdzieś na dole, stłoczona ciżba olbrzymia... a on patrzy na tłumy

z góry, przejęty rozrzewnieniem... Nawet jego rodzina ginie stopniowo w téj tłuszczy: mały Janek idzie chwiejnym, niepewnym krokiem pomiędzy tłumy zasmolonych, skurczonych na małych zydelkach ludzi; żonę, chwiejącą się, z kufelkiem w ręku prowadzi w podskokach pan Szczepkowski tam, gdzie lśnią cylindry, skrzypią piękne buty, pachną cudowne kwiaty i płyną rzeki wina...

Piwo huczy w głowie, mąci myśli, olśniewa całe to widzenie światłem zaziemskiém... Boże drogi, jakie to piękne!

Pan Szczepkowski rozpoczyna nowy okres. Mówi o tém, jak mu dobrze przy kanalizacyi, ile wynoszą dochody... robi nadzieję, że można będzie wcisnąć i pana Sumińskiego do tych niebios... Jemu to przyjdzie dosyć łatwo... znajomości, stosunki, śniadanko z jakim inżynierem... o, bo on ma stosunki!

Ale pan Sumiński nie słyszy nic, chociaż się uśmiecha, potakuje. Nie poznaje już żony, Janka... On, sam jeden tylko na wielkiéj górze ognistéj... a na dole, w ciemnościach—zwarty, nieprzejrzany tłum ludzi, duszących się wzajemnie, mordujących się o chleba okruchy, pracujących, ginących z głodu...

Ach, Boże, jakie to okropne! Pan Sumiński płacze. Pijany Szczepkowski puszcza rękę gospodyni, którą pieścił pod stołem i nie wié, jaką przybrać minę? Nieprzytomna prawie gospodyni kładzie na stół pałającą główkę i zasypia pomiędzy talérzem, a przewróconą szklanką. Jeden tylko Władzio siedzi za stołem nieruchomy, podniecony odorem alkoholu, i mierzy ojca badawczym wzrokiem.

Nagle... ojciec wstaje, składa ręce, jak do modlitwy, i mówi niezwykłym, przerywanym czkawką głosem.

— Ludzie moi kochani, bracia moi najmilejsi... dlaczego się tak męczycie? Męczycie się, bo zła nie widzicie, a ja widzę! I nie myślcie, żebym się tém chwalił... nie ma czém... Nie żaden mędrzec jestem, człowiek prosty, który dwie klasy ukończył... Ale inni uniwersytety kończą, — a tego nigdy nie zobaczą i ciemni będą przez życie całe... A ja wam powiadam, bracia moi, że jedyne zło — rodzina!

— Co panu do głowy strzela?—bełkoce Szczepkowski.

— Tak, bracie mój, rodzina! Bo zważcie tylko: ty człeku żonę swoją kochasz i dzieci... wszystko do domu zwłóczysz, żeby oni mieli co jeść; i napracujesz się dla nich, i nie dośpisz... A kiedy oni z głodu umiérają, tobyś przyjaciela najlepszego zabił, okradł, żeby ich nakarmić... I obcy człowiek tobie nie brat, bo swoich braci masz... I obce dzieci tobie niemiłe, bo masz swoje... I każdy ma swoje, i każdy dla

swoich zwłóczy... A jak rodzin nie będzie... wszyscy ludzie jedną wielką rodziną zostaną i wszyscy będą bracia...

— A cóż pan z dziećmi zrobi? — bełkoce znów Szczepkowski, wytrzeźwiony nieco tą dziką myślą.

— Dzieci, dzieci... — mówi zcicha, jakby do siebie, człowiek w burce, siadając znów na krześle, wyczerpany—dzieci niech się chowają razem... nauczą się kochać jedno drugie... Ot, jak my na stancyi, w szkołach... Pamiętam, dwudziestu nas było i wszyscy między sobą, jak brat z bratem... w piekło razem! wszędzie razem...

— Dom podrzutków! — mruczy już niezrozumiale pan Szczepkowski...

Żona śpi, rozparta na stole, Bronia sapie na sienniku... dogorywająca lampa rzuca w duszną przestrzeń izby czerwonawe, groźne błyski...

Nagie ściany i sprzęty ubogie drapują się w półmrok, aby osłonić swą nędzę...

A z oddali wpada przez otwarte okno słabnący oddech miasta, które huczy wciąż nieubłaganym, monotonnym rytmem.

* * *

Pogodny wieczór letni roztaczał na zachodzie piękną, różowawą zasłonę. Duszne, zacieśnione podwórko pławiło się w łagodnych, złotawych oparach—ciche i smutne... W oddali turkotały wozy, od czasu do czasu dolatywały zcicha kolejowe świsty. Niekiedy przerywał ciszę wrzaskliwy głos: kości kupuję, kości! Lub zabrzęczała harfa i płynął w górę sentymentalny motyw podwórzowéj piosnki:

Edwin wrócił do altany,
Gdzie płynęły Wandy łzy...

Pan Sumiński leżał w swojéj „norze“ na garści słomy, okrytéj brudną płachtą jaskrawą. Rzeczy już nie było żadnych, prócz małego, nadtłuczonego lusterka, i dziwne wrażenie robiła ta pustka w gorących promieniach zachodu. W kącie siedział mały Władek milczący, niewzruszony, jak zwykle.

— Jak téż wygląda ulica?—myślał pan Sumiński. — Tak dawno już nie widział ulicy... Wychodził tylko zrana, na dół, do sklepiku, kupował trochę mléka, kawałek chleba... mięszał to wszystko razem i dzielił się z Władkiem... A, prawda, raz nawet pomyślał o obiedzie... miał kawałek mięsa na rosół... Ale, kiedy krzątał się przy

kuchni, ten dzieciak obrzydliwy popsuł mu wszystkie szyki. Swoim głosem poważnym, który zdaje się szydzić ze wszystkiego, spytał.

— Tatusiu... tatuś tela jest mama...

— Jaka mama, głupcze?

— No, mama, bo tatuś gotuje...

Wytargał go za uszy i nie gotował obiadu... Jak też wygląda ulica? Tłumy ludzi, pojazdy... wesoło, gwarno... niedługo zapalą gaz... Po co myśli o tém? postanowił przecie umrzéć z głodu... A Władek? głupi bachor, niech robi sobie, co chce... Najbardziéj mu żal Janka... biédny Janek! Zachodził „tam" kilka razy... wychudzone, obdarte... błaga, żeby go wziąć stamtąd... Boże drogi... już „tam" nie pójdzie, lepiéj umiérać spokojnie... Ale myśl uparcie wracała do tego wiru, piekła, które ogołociło go ze wszystkiego, powaliło na ziemię i każe zdychać...

Jak też wygląda ulica? Może właśnie w téj chwili żona jedzie dorożką z panem Szczepkowskim... Ona teraz wielka pani... od czasu, jak Szczepkowski wyrobił jéj miejsce w tym magazynie... zaraz... kiedy to było? (zdaje się, że całe lata, a jednak tak niedawno... trzy, cztery tygodnie) nie poznaje go wcale, jak obca... Z początku przychodziła nocować... Ale raz pkłócili się strasznie... tak, o bagatelkę... ale strasznie; chciał ją bić, może zabić nawet... nie pamięta... Odtąd nie przychodzi wcale...

Ależ... jak on zapomina; była przecież niedawno z Bronką... Mówiła coś o przeprosinach, o tém, że stara się dla niego o miejsce... Zbył ich niczém, obojętny, jak dla obcych. Jakie-bo też one obce, gorzéj, jak obce... Nawet ten smarkacz Bronka—odęte takie, puszy się w nowéj sukience, patrzy na ojca, jak na parobka... Na ojca! alboż on ma prawo być ich ojcem? Samemu umrzéć spokojnie i dosyć! co mu po nich... Ach, to piekło, wielkie, przeklęte piekło, co ono robi z człowieka!... Silił się odgadnąć, co łączy obcych, wrogich sobie ludzi, co spaja ten chaos w jedną zwartą całość?... Pieniądze, prosta rzecz, pieniądze! Za pieniądze kupić można przyjaźń ludzką, miłość, rodzinę, pracę, aby nie pracować samemu... wszystko, wszystko... Tak, pieniądze — to wielkie dobro... i wielka sprawiedliwość: ci pracują, mają pieniądze... on nie pracuje — nie ma nic. Dobrze, ale dlaczego są tacy, którzy nie pracują i mają pieniądze? Przywołał na pomoc wszystkie myśli jaśniejsze, które tułały się po skołatanéj głowie, aby urok rozwidnić... ale nie znajdował odpowiedzi zadawalającéj... Tak być „musi", tak być „musi".

Ktoś zapukał do drzwi. Pewnie gospodarz o komorne? już od kilku dni grozi mu skargą... Dam ja ci komorne!

Podniósł się ociężale i otworzył drzwi. Któż, u licha, a... pan Szczepkowski!...

— Bardzo proszę, bardzo proszę... prawdziwa niespodzianka; po całych dniach nie widzę ludzkiéj twarzy... Prosiłbym pana siedzieć... ale, widzi pan, nie ma na czém...

Wskazywał drwiącym giestem rozesłaną szmatę, wlepiwszy w przybyłego badawcze spojrzenie, które zdawało się pytać: jakże moja żona? wiem na pewno, że pan zastępujesz mnie przy niéj; co opowiada o dawnym mężu, kpi ze starego, co?... I pan Szczepkowski, zrozumiawszy to nieme pytanie, ściskał gorąco podaną sobie rękę i szeptał z wyrzutem, pocąc się ze wzruszenia.

— Ach, panie Sumiński, jakże można tak zwątpić o wszystkiém? Tak najgorzéj... licho wié, co za myśli człowieka napastują...

Pan Sumiński myślał przez chwilę, co robić z tym eleganckim, woniejącym cylindrowiczem... W tém zbladł; zatoczył się nieco, porwany dziką myślą: zabić go, zadusić, zadeptać nogami!

Ale pan Szczepkowski i to zrozumiał. Jąkając się, drżąc, rozpoczął kwiecisty okres. Śpieszył się, niby tonący, który widzi brzeg przed sobą; połykał słowa, nie kończył zdań... Posada już jest; nikt nie uwierzy, ile go to kosztowało starań... niewielka wprawdzie... stróża nocnego przy kanalizacyi!... Ale można z tego żyć! Pięć złotych dziennie... tymczasowo, póki nie trafi się coś lepszego... Ach, ile to kosztowało trudów, zabiegów... Doprawdy, po raz pierwszy w życiu jest prawdziwie szczęśliwy, spełniwszy tę przysługę... Robił to tylko, co uważa za swój obowiązek; ach, jaki on szczęśliwy!

Pan Sumiński ochłonął już zupełnie. Stał czas jakiś, milcząc, potém zwlókł się na słomę i siadł znużony. Przez chwilę panowała przykra cisza.

Pan Szczepkowski zdjął binokle i przecierał szkiełka, rozglądając się ukradkiem po pokoju. Na podwórzu szurgotała po kamieniach stróżowska miotła przykro, brutalnie: szuu... szuu... W tém, z barłogu zabrzmiał obojętny, spokojny głos.

— Bóg zapłać za dobre chęci, mam już posadę.

— Zapewne lepszą? Nigdybym nie śmiał oświadczać się panu ze swoją propozycyą, wiedząc coś o zmianie na lepsze. Daruje pan, sądziłem, że wszystko po dawnemu...

— Do widzenia panu!

— Moje uszanowanie; przepraszam najmocniéj. Jeżeli kiedy interes jaki... potrzeba... tego... proszę do mnie śmiało.

— Do widzenia panu!

— Moje uszanowanie...

Coś potknęło się we drzwiach i za chwilę ktoś zbiegał szybko po oślizgłych wschodach. Władek, milczący dotąd, wstał i podreptał chwiejnym kroczkiem do ojca.

— Tatu?

— Co ci?

— Dlaciego pan Szekposki tela nie psichodzi?

— Bo przychodził do mamusi... Teraz mamusię sobie wziął, dlatego nie przychodzi...

— Dlaciego mamę wziął?

— Bo on teraz twój tatuś!

— A ten tatuś?

— Nie nudź mnie, głupcze!

Dziecko przez chwilę czekało na odpowiedź... potém siadło spokojnie w kącie, bawiąc się słomą...

— Dziwny dzieciak — myślał pan Sumiński — nikt go nie lubi, a on oto nie dba. Nawet ze swego płaczu nic sobie nie robi. Płacze, płacze czego... potém jaką nutę w tym płaczu upatrzy i beczy daléj, dla przyjemności... zabawia się własnym bekiem, jak lalką... A może on ma racyę! Najlepiéj nic sobie nie robić ze wszystkiego... Po raz pierwszy poczuł do tego chłopca żywszą sympatyę...

Leżał bezczynnie na barłogu długo, długo, starając się nie myśléć o niczém... Ale odwiedziny Szczepkowskiego zaczęły nań działać, niby rozczyn tajemniczy... Czy z niego już nic nie będzie? Po co marnuje życie samochcąc... powinien żyć, choćby dla tego chłopca, którym pogardzają wszyscy. Po co umiérać! Czy chce sprawić uciechę panu Szczepkowskiemu lub żonie, zasmucić Janka, któremu, kto wié, będzie mógł jeszcze dopomódz... Musi żyć na złość tym, którzy go zdeptali, na złość przeklętemu miastu, które ograbiło go ze wszystkiego... Żyć... ale jak? Jak? co za tępa głowa! Uciekać stąd... i to zaraz w téj chwili... Jutro może nie miałby już siły... Czy pożegna Janka? Nie, nie... toby go dobiło; przecież zobaczy się z nim późniéj, musi zobaczyć... Jakby w obawie, aby to nagłe postanowienie nie opuściło go, zerwał się pośpiesznie z barłogu, jakby wypatrując, co może zabrać z sobą?... Ale w izbie nic nie było, prócz Władka. Owinął mu główkę w resztki podartéj chustki i wyprowadził ze sobą, pozostawiwszy mieszkanie otworem. Za resztę miedziaków kupił kawał chleba, schował w kieszeń i wyszedł na ulicę...

Idzie i nie poznaje sam siebie, chociaż nic się nie zmieniło w jego położeniu. Głodny, jak dawniéj, nieszczęśliwszy może, bo ze wszystkiego odarty... ale dumny jakiś, pewny siebie. Dawniéj jego potrą-

cano... teraz on potrąca, nie ustępuje z drogi ani na krok... Co mu tam, wszystko jedno; taki pan, jak inny... Niedługo opuści to miasto, które nie wydaje mu się wcale strasznèm... Ot, głupstwo... miasto, jak miasto; ludzie potulni, słabi, sami z drogi ustępują. Minął właśnie niewielki placyk i schodzi ulicą ku Wiśle. Chodnik wąziutki... Idzie wprost przed siebie, ludzi potrąca coraz częściéj... Nagle, pod latarnią wpada na tłustego pana w cylindrze... Trudno wyminąć! Pan podnosi rękę rozkazująco.

— Nie stójże na drodze, gapiu!

Panu Sumińskiemu wszystka krew zbiegła do głowy. Rzucił rozwścieczone spojrzenie na cylinder, pięknie lśniący w gazowém świetle... i wydało mu się nagle, że cała podłość miasta, które mordowało go tak bez litości, śmieje się doń szyderczo z téj błyszczącéj powierzchni... Odsunął Władka na stronę i krzyknął groźnie.

— A ja ci mówię, zdejm cylinder!

Tłusty pan zsiniał z oburzenia i podniósł laskę... Ale za chwilę leżał w rynsztoku,—a pan Sumiński z zaciekłością tarmosił cylinder, rzucał w błoto, tratował obcasami... Wreszcie, zaspokoiwszy zemstę, porwał dziecko i skręcił w boczną uliczkę. Za sobą słyszał słabe krzyki, potém inny głos wołał głośno: stójkowy, stójkowy! Potém tupot prędkich kroków po bruku... Począł biedz prędko i zdyszany, zziajany, stanął nakoniec pod nowym mostem. Postawił Władka na ziemi i szedł znów powoli spokojny, pewny siebie. Ponad głową przebiegł mu pociąg z hurkotem i zgrzytem, niby ostatnia groźba, którą wysyłało miasto, aby go nastraszyć... Nie bał się... Szereg ogni, spadających do wody rzędem słupów świetlanych, wskazywał drugi most. A za nim spiętrzone, ciemne masy domów, usiane żółtawemi ognikami, które wabiły go bezczelném, migotliwém światłem, jakby nie wiedząc, co wycierpiał...

Oddala się coraz bardziéj i bardziéj... nie wróci tu nigdy... Latarnia mostowa rzuca niekiedy drżące błyski na rozwiewającą się burkę, która płynie w powietrzu, wahając się niezgrabnie za każdym krokiem... Coraz daléj, daléj, daléj...

A wir miasta huczy wciąż nieprzepartym, monotonnym rytmem.





BIBLIOTEKI I CZYTELNIE PUBLICZNE
W ANGLII.

Nie ma dokładniejszego, wyrazistszego symptomatu cywilizacyjnego postępu, odbywającego się w łonie nowoczesnego świata, jak wszystkie podejmowane przezeń usiłowania ku szerzeniu oświaty pomiędzy najszerszemi warstwami społeczeństwa. Pierwszą potrzebą mas wyemancypowanych i równouprawnionych jest rozejrzenie się wśród otaczających okoliczności i zdanie sobie sprawy z jego warunków. Oświata publiczna uznana już została w jednych krajach za obowiązkową; w innych zabezpieczono jéj przynajmniéj jaknajszerszą bezpłatność. Samo pojęcie szkoły rozszerzyło się niezmiernie i uległo radykalnym zmianom. Nietylko, że utworzoną została wieloramienna organizacya szkolnicza, zastosowana do wszelkich możliwych potrzeb, udzielająca obok ogólnego wykształcenia i specyalne, techniczne, ale oprócz tego, wszystkie instytucye, któremi społeczeństwo rozporządzać mogło, jako to galerye, zbiory, muzea, biblioteki i t. d. zużytkowanemi zostały, jako narzędzia pedagogiczne, a przestawszy służyć za rozrywkę dla sybarytów intelektualnych, przeszły na usługi masy narodowéj.

Jeżeli ruch powyższy może być sprawiedliwie uważany za powszechny i niedopuszczający wyjątków, to u każdego odrębnego społeczeństwa ukształtował się odpowiednio do jego państwowo-społecznego ustroju. W krajach, gdzie demokracya po zerwaniu wszelkich tam i grobli, toczy się tryumfująco po szerokiém łożysku, jak między innemi w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, albo

Francyi, nie ma powodu dziwić się, że instytucye, bezpośrednio i pośrednio szerzenie oświaty mające na celu, z każdym dniem się mnożą w postępie geometrycznym. Ale nawet tam, gdzie społeczeństwo nie postradało jeszcze swego arystokratycznego charakteru a oligarchia posiada niejeden przywiléj, nie ma już mowy o tamowaniu oświaty. Mamy tu w szczególności Anglię na oku. Nie należy zapominać, że społeczeństwo angielskie aż do ostatnich czasów nie uważało oświaty publicznéj za należącą do atrybucyi państwa, ale, że obowiązek nauczania włożyło na Kościół, że aż do chwili obecnéj nie posiada ani odrębnego wydziału oświaty, ani jéj ministra, i że *Board of Schools*, zostający w ręku państwa, utrzymywany kosztem skarbu, stawia dopiéro pierwsze kroki na nowéj drodze, że wątła to jeszcze roślina. Wprawdzie *Elementary Education Act* sięga roku 1870-go, ale pierwsza z dopełniających go organizacyi, bil o bezpłatności szkółek elemantarnych, uchwalony został przez parlament dopiéro w jesieni roku zeszłego i liczy zaledwie kilka miesięcy istnienia. Jest widoczném, że i angielskie społeczeństwo, mimo właściwego sobie historycznego rozwoju, mimo wstrętu do gruntownego przewrotu dokonywać się mającego przez władzę prawodawczą, musi postawić zadanie wychowawcze na szerokiéj ludowéj podstawie, a to znacznie wcześniéj aniżeli się to niedawno jeszcze przewidywać dawało. Do wniosku tego dochodzimy, stwierdzając postępy, jakie uczyniły biblioteki i czytelnie publiczne, stanowiące, jak to z natury rzeczy wynika, drobną i że tak powiemy dodatkową jedynie część pracy około oświaty publicznéj. Postępy te, ruch, jaki się około nich utworzył i sposób, w jaki biblioteki publiczne uorganizowane zostały, rzucić są w stanie na stan umysłowy społeczeństwa angielskiego i ożywiające je dążenia nie mało światła, i sądzimy, że wzbudzić mogą pewien interes w czytelnikach, choćby ze względu na wskazówki, jakieby się tam dla własnych stosunków zaczerpnąć dało.

Samo z siebie wynika, że w kraju znajdującym się już od kilku stuleci na wysokim stopniu oświaty, w kraju posiadającym obfitą, oryginalną i znakomitą literaturę, istniały już z dawien dawna wielkie biblioteki. Posiadały je nietylko miasta uniwersyteckie, jak Cambridge i Oxford, ale i wiele innych; Bristol i Manchester, spierają się do dziś dnia, które z nich posiadało pierwszą bibliotekę publiczną. Rozgłos biblioteki bodlejańskiéj w Oxfordzie, ufundowanéj w końcu XVI wieku przez sir Tomasza Bodleya, nie potrzebuje być przypominany. Ktokolwiek do niéj zajrzał i w niéj pracował, a nawet kto-

kolwiek zna ją tylko z rozgłosu i usług, jakie oddała oświacie, nie może mówić o niéj obojętnie. Tryumf protestantyzmu i zwycięstwo rewolucyi przyczyniły się w Anglii, co żadnemu wątpieniu ulegać nie może, do rozwoju piśmienniczego i do wczesnego nazwyczajenia społeczeństwa do czytania, zrazu ksiąg duchownych, pisma świętego, następnie pamfletów politycznych i dzieł poważniejszych. Chociaż o nieomylną statystykę pod tym względem trudno, Anglicy uważani być mogą za naród czytający więcéj, aniżeli jakikolwiek inny. Warunki klimatyczne, temperament indywidualny, cała organizacy życia rodzinnego, domowego, wyrabiają w nich zamiłowanie czytania i czynią z niego dla każdéj jednostki nieodzowną potrzebę. Jeżeli nie ma na całéj przestrzeni kraju jednego, najuboższego domku, bez kilku, a w każdym razie bez jednéj książki, jeżeli prywatne księgozbiory są często znaczne, a u magnackich rodzin liczne, wyborowe i wspaniałe, jeżeli najrozmaitsze stowarzyszenia dostarczają bez ustanku swym uczestnikom książek do ich specyalności się odnoszących, albo poprostu nowości piśmienniczych, jeżeli każdy proboszcz wiejski ma księgozbiór dla swych parafian, jeżeli wszystkie rodziny do klas średnich należące, abonują w dodatku książki w obiegowych czytelniach, to oprócz tych wszystkich kanałów, któremi strawa umysłowa dostarczana jest regularnie społeczności, nie braknie jeszcze miejsca dla bibliotek i czytelni publicznych. Przeciwnie: im więcéj społeczeństwo nawyka do czytania, tém więcéj czytać potrzebuje. Są tacy, co nie czytali w życiu żadnéj książki — taka sromota szpeci jeszcze świat ucywilizowany — ale nie ma nikogo, ktoby na jednéj chciał poprzestać. Nietylko opium lub morfina, ale i książki, na szczęście, stają się tyranizującym nałogiem.

Najznakomitsze biblioteki posiada naturalnie stolica kraju, a pierwsze miejsce wśród nich zajmuje ta, która stanowi część składową Muzeum brytańskiego. Nie ma nikogo, ktoby o nagromadzonych w tém muzeum skarbach artystycznych nie zasłyszał [1]). Jest to najznakomitszy przybytek sztuki, najpierwsza skarbnica zabytków archeologicznych, klejnot, którym się pyszni najdumniejszy z narodów. Na setki tomów liczą się opisy zbiorów, które się w gmachach tego muzeum mieszczą, i nie mamy zamiaru szczegółowo rozbiérać tego przedmiotu. Za długo nawet byłoby opowiadać, jak powstała biblioteka w *British Museum*, jakiemi kolejami prywatny księgozbiór i archiwa sir Roberta Cotton'a stały się własnością na-

---

[1]) W r. 1888 „Ateneum" podało artykuł o Muzeum brytańskiém, pióra p. Lutosławskiego, w t. IV, str. 203.

rodową, jak wędrowały z Westminsteru do Strandu i znowu do Westminsteru, jak uniknęły w XVIII wieku pożaru, jak major Artur Edwards ofiarowuje fundusz na budowę specyalnego gmachu, jak lord Arundel i Curten zbogacają instytucyę swemi darami i jak nakoniec dr. Hans Sloane organizuje ją zasadniczo. Przez jego testament w 1749 r. *British Museum* zostało ufundowane i przeniesione z dzielnicy Chelsea do Bloomsbury a w 1759 r. zostaje otwarte w Montaigu House. Pierwszy bibliotekarz mianowany był wówczas prezesem całego muzeum, co wskazywało, że księgozbiór i archiwa, uważane były za ważniejsze czynniki składowe, aniżeli zabytki sztuki klasycznéj, albo zbiory z dziedziny przyrody. Istotnie dopiéro po zakupieniu starożytności egipskich po kapitulacyi Aleksandryi w 1801, po nabyciu kolekcyi pompejańskich od lorda Hamiltona, i galeryi starożytniczéj Karola Townley a nakoniec partenońskich marmurów od lorda Elgina w 1816 r., dział artystyczno-archeologiczny tego muzeum mógł rywalizować z biblioteką. Ta ostatnia wzrastać i zbogacać się nie przestawała, a po włączeniu do niéj za króla Jerzego IV, księgozbioru, należącego do jego ojca, Jerzego III, stanęła na czele wszystkich europejskich. Otwarta dla użytku publiczności w 1808 r., liczyła w pierwszych latach zaledwie dwa tysiące czytelników. W 1825 r. posiadając 150,000 dzieł, liczyła już jednak 22,000 czytelników. I oni i zbiory nie mogli się już pomieścić w ciasnym obrębie Montaigu House. Zburzono go téż w 1830 r. i wybudowano na tém samém miejscu, podług planów Roberta i Sydneya Smirke gmach obecny, ukończony w 1852 r. o wspaniałym, na olbrzymich jońskich kolumnach, wspierającym się frontonie. Ale chociaż pałac jest ogromny, chociaż całe zbiory historyi naturalnéj przeniesione już zostały do odrębnego muzeum, zbudowanego w dzielnicy South-Kensington, chociaż nie przestano do dziś dnia budować coraz nowych skrzydeł i pawilonów, to zbiory i jednocześnie napływ publiczności tak się powiększać nie przestawały, że niebawem okazała się potrzeba przebudowania téj części gmachu, w któréj się mieści księgozbiór i wzniesienia sali na czytelnię powszechną. Parlament udzielił na ten cel sumę 150,000 funtów szt. i po trzechletniéj budowie obecna czytelnia otwartą została dla publiczności w 1857 r. Plan do niéj dany był przez p. Panizzi, Modeńczyka, będącego naprzód jednym z urzędników, a następnie głównym bibliotekarzem. Wpadł on na myśl szczęśliwą wzniesienia na dziedzińcu środkowym, pomiędzy czworobokiem galeryi zapełnionych książkami, sali okrągłéj. Jest ona jednym z cudów nowoczesnego świata, a kopuła jéj na 32 metry wy-

soka, a licząca 43 m. średnicy, jest większa od kopuły Ś-go Piotra w Rzymie. Wszystkie dogodności, ułatwienia dla pracujących w poszukiwaniach naukowych zaprowadzone są w téj czytelni do takiego stopnia, że rąz ich zakosztowawszy, nie można się późniéj oswoić z barbarzyństwem innych bibliotek. Katalog o 2,000 tomach *in folio* znajduje się w środku sali, na około biura bibliotekarzy, z których każdy gotów jest w każdéj chwili z radą i wskazówką dla czytelników; 80,000 tomów ustawionych w otwartych szafach na okół sali, zawiéra wszelkie podręczniki, encyklopedye i dzieła najczęściéj potrzebowane w każdéj specyalności i czytelnik posługuje się niemi bez żadnéj kontroli. Blisko 2,000,000 tomów, umieszczonych w 6,000 ruchomych szaf, dostarczane są czytelnikom przez armię gorliwych posługaczy. Księgozbiór zbogaca się bezustanku i zawiéra w obcych językach i literaturach kolekcye, jakich nigdzie pod słońcem spotkać się nie daje. Dziwić się temu nie można, biorąc na uwagę, że suma 100,000 funt. szt. poświęcana jest corocznie na zakupno książek nieangielskich; wszystkie krajowe są składane bezpłatnie obowiązkowo przez wydawców. O bogactwach bibliograficznych téj biblioteki znajdzie czytelnik dokładne informacye w dziele J. P. Anderson'a: *Estimate of the contents of the British Museum Library.* Ale nie martwego opisu, lecz żywego słowa bibliotekarzy zarządzających różnemi wydziałami biblioteki potrzeba, by wniknąć w naturę téj instytucyi i cały jéj ogrom, całe jéj znaczenie zrozumiéć. Na czele działu słowiańskiego stoi od trzydziestu dwóch lat p. Jan Naake-Nakęski, warszawianin. Ani jego uprzejmości dla rodaków, ani gorliwości, z jaką się stara liczbę naszych ksiąg powiększyć, dopełnić i utrzymać, niepodobna dość wysławić. Ten strażnik polszczyzny na dalekim zachodzie, jest dla nas wszystkich igraszką losu na te wybrzeża rzuconych, żywym przykładem, jak się obowiązki dla swojego gniazda wypełniać dają na obczyźnie.

Chociaż liczba czytelników, jakich okrągła sala i tak zwana długa galerya pomieści 500 osób jednorazowo, to o miejsce jest tam nieraz trudno. W ubiegłym roku uczęszczało do czytelni przeciętciowo 700 osób dziennie, a ogólna ich liczba w ciągu roku dochodzi już 200,000. Lubo formalności do otrzymania stałego biletu wejścia są bardzo małe, nie ulega wątpliwości, że byłoby jeszcze więcéj pracujących, gdyby one całkowicie zniesione zostały. I tak jednak przewidziéć już łatwo można, że zbudowanie nowych sal stanie się w niedalekiéj przyszłości koniecznem. Ognisko takie jak *Bitish Museum* centralizować zawsze będzie ruch naukowy i przyciągać do siebie

żądnych nauki ze wszystkich krańców świata. Ale przy przepełnieniu sal, przy coraz bardziéj wzrastającéj liczbie czytających, oddawna potrzeba innych księgozbiorów i innych czytelni w Londynie stała się widoczną.

I nie brakuje téż ich bynajmniéj. Nie podobna wymieniać ich wszystkich. Każde towarzystwo naukowe, a wiadomo jak wielkimi one w Anglii rozporządzają funduszami, ma swoje. Biblioteki towarzystwa geologicznego, medycznego, akademii sztuk pięknych, używają zasłużonego rozgłosu. Niedawno urządzona publiczna czytelnia przy bibliotece w nieocenionêm muzeum South-Kensingtonu oddaje już wielkie usługi kształcącéj się młodzieży i czytającéj publiczności. Na szczegółową wzmiankę zasługują daléj dwie wielkie biblioteki publiczne w Guildhall i w biurze patentów na Chancery Lane.

Biblioteka w Guildhall, będąca własnością wszechpotężnéj korporacyi londyńskiéj City, sięga założeniem swém XV-go wieku, ale nie była ani dobrze w książki zaopatrzona, ani otwarta do użytku publicznego aż do połowy bieżącego stulecia. Jeszcze w r. 1855-ym sławetne i wykarmione złotem korporacye odmówiły funduszów na wybudowanie sal dla biblioteki, istniejącéj przy Guildhallu. Gdy się nareszcie na ten wydatek zdecydowały, wzniesiono piękną budowlę godną serca Londynu. Nie potrzeba żadnych formalności do czytania i sale stoją otworem, w całém słowa tego znaczeniu, dla wszystkich. Są one zawsze od 8 godziny zrana do 9 wieczorem przepełnione czytającymi, których liczba dochodzi już do 400,000 rocznie. Obecnie jest mowa o wybudowaniu nowych sal i utworzeniu oddziału wypożyczającego książki do domów.

Najdostępniéj urządzoną biblioteką publiczną, zupełnie podług systemu istniejącego w Australii, jest istniejąca przy Biurze patentów. Ogromne, a najkompletniejsze zbiory piśmiennicze z gałęzi technicznych, stoją zupełnie swobodnie dla czytelników. Każdy z nich, poradziwszy się katalogu, szuka sam dzieł i aktów, których potrzebuje na pułkach i w szafach, gdzie się znajdują, i sam powraca je następnie na właściwe miejsce. Chociaż 90,000 czytelników pracowało tam i robiło poszukiwania techniczne w ciągu ubiegłego roku, ani jedno dzieło, ani jedna broszura zatraconą nie została. Jest-to wskazówką, że formalności i nadzór, jaki rozciągają w tylu bibliotekach nad czytającymi, nie są konieczne. Obcowanie wśród książek wyrabia, jak się spodziéwać należy, wyższe poczucie już nie prywatnéj, ale publicznéj moralności.

Oddawna wpływ ten dobroczynny oceniony był przez filantropów, myślicieli i polityków. Dostarczając książek masie narodowéj,

zachęcając ją do czytania, stawia się nadużyciom, nałogom i występkom najskuteczniejszą tamę. Jak powiedziano słusznie, wraz z rozpowszechnieniem *Public Libraries* (bibliotek publicznych), zmniejszy się liczba *Public Houses* (szynków). Im więcéj klasy niższe narodu wystawione są na pokusę spędzania w tych ostatnich, wolnych od obowiązkowéj pracy godzin, tém konieczniejszém jest ułatwić im czytanie. W każdéj prawie administracyi państwowéj angielskiéj są księgozbiory dla urzędników, oficyalistów i posługaczy. Najlepiéj urządzone są czytelnie dla listonoszów i urzędników pocztowych. Jest ich trzydzieści w samym Londynie, utworzonych przez lorda Johna Manner, gdy był dyrektorem poczt. P. Munroe, szef policyi londyńskiéj, uorganizował także wzorowe czytelnie dla policyantów w każdém z biur policyi stołecznéj.

Ale chociaż są to usiłowania uznania godne, chociaż wpływ tych rozmaitych bibliotek i czytelni nie może być dość wysoko oceniony, to mimo tego brakowało całemu ruchowi w tym kierunku popularnéj, powszechnéj podstawy, brakowało także jednolitości, systematycznego porządku. Jakkolwiek cenne mogą być przedsięwzięcia filantropijnych jednostek lub zamożnych korporacyi, nie można się spodziéwać, ażeby ich działalność i wytworzone przez nie instytucye posłużyły wszystkim warstwom społeczeństwa. Pozostaną zawsze mniéj uprzywilejowane jednostki albo odosobnione po prostu, które nie posiadają możności czytania, zostawiają odłogiem leżące wyższe strony swéj osobistości. Mogłoby wprawdzie dzieło to podjąć państwo. Ale jak wiadomo, sfera jego działalności w Anglii jest wielce ograniczona. Nie czuje zresztą ono do niéj wielkiego pochopu. Przypomnieliśmy już, że nie posiada dotąd ministeryum oświaty i że organizacya szkolna wytworzyła się całkowicie po za jego egidą. W budżecie państwowym, wynoszącym 90 milionów funtów szt., zaledwie 6,000,000 idzie na szkoły, muzea, biblioteki; te dwa ostatnie otrzymują od niego zaledwie 200,000 funtów szt. rocznie. Nie można się tedy było spodziewać żadnéj ze strony państwa ofiarności, odpowiadającéj wymogom społeczeństwa. Inne, rozliczne potrzeby, zarówno jak zadawniona rutyna, lekceważąca oświatę, pochłaniać będą budżet.

Nie należy także zapominać, że w Anglii, więcéj aniżeli w jakiémkolwiek społeczeństwie stałego lądu, utrzymał się wstręt do działalności publicznéj, scentralizowanéj w rękach państwa. Doktryny Herberta Spencera, przeciwstawiające machinie urzędowéj—żywotne, niezależne początkowanie osobników społecznych, mają wielu gorliwych zwolenników, a wszystkie manifestacye socyalizmu państwowego wywołują energiczne protestacye ze strony tych klas, które się

dotąd bez wszelkiéj interwencyi władzy obywały i zrozumiéć nawet ich potrzeby nie mogą.

Przy bezwładności państwa z jednéj strony i przy niewystarczającéj działalności jednostek, korporacyi i towarzystw z drugiéj, sprawa publicznych bibliotek i czytelni, tak samo jak wiele innych pierwszorzędnych reform, nie zostałaby nigdy przeprowadzoną, albo długo jeszcze czekać na to musiała, gdyby, szczęściem dla siebie, społeczeństwo angielskie nie posiadało właśnie owego pośredniego ogniwa, które pozwoliło jego życiu publicznemu rozwinąć się w tak wyjątkowy i w tak potężny sposób. Mówimy o municypalnościach i wytwarzanych przez nie instytucyach. Życie municypalne, obejmujące wszystkich mieszkańców parafii, gminy, dzielnicy miejskiéj w jeden wspólny organizm, rozwijające się pod kierownictwem wybranych delegatów i reprezentantów, jest najdoskonalszą szkołą obywatelskiego ducha i patryotyzmu, i w niém to najdokładniéj manifestuje się ów *self-government* brytański, będący opoką, na któréj wznosi się cała budowa wszechpotężnego mocarstwa. Posiadające całkowitą niezależność administracyjną i fiskalną, municypalności zajmowały się od wieków zabezpieczeniem swych członków od napaści i rabunku — przez policyę, od chorób i epidemii—przez szpitale i służbę zdrowia, dobrobyt—przez drogi, bruk, kanalizacyę, mosty, oświetlenie i t. d., organizowały instytucye dobroczynne, domy przytułku, ochrony, utrzymywały swych podupadłych i nędzarzy w *work-house*'ach, i nakoniec poświęcały znaczne i coraz znaczniejsze sumy na szkółki elementarne, szkoły średnie i różne techniczne. Było naturalném, że municypalności powinny były z czasem dojść do zrozumienia wyższych potrzeb umysłowych i moralnych swych członków i zaspokoić je przez biblioteki i czytelnie publiczne. Nie dziwota, że na to szerokie i że tak powiemy, wyrafinowane pojęcie swych obowiązków trzeba było czekać długo i że nawet obecnie częściowo się dopiéro ono ujawniło. Ale wystarcza, że się ruch w tym kierunku rozpoczął; nie ma prawdopodobieństwa, aby się zatrzymał przed spełnieniem przedsięwziętego dzieła.

Kwestya bibliotek publicznych po municypiach, gminach i parafiach jest, jak każda inna kwestya praktyczna, zależną od warunków pieniężnych. Zasadą, na jakiéj się opiéra życie publiczne angielskie, jest, że skarb państwowy zabiera z dochodów krajowych tylko tyle, ile jest potrzeba na wydatki powszechne, ogólne, a za to wszystkie miejscowe — opędzane są ze specyalnych podatków, jakie każda municypalność u siebie rozpisuje i pobiéra. Są municypalności bogate, ale są i ubogie, są dobrze i są źle administrowane, ale każda bez wyjątku

musi utrzymywać swych biednych, swe cmentarze, szpitale, szkółki, łaźnie, pralnie, policyę, bruki, czystość ulic, oświetlenie i t. d. z podatków, jakie w tym celu pobiera. Ponieważ zaś podatki nie są rozłożone w jednym i tym samym stosunku na wszystkich mieszkańców, ale przeciwnie, właściciele gruntów i domów są uprzywilejowanymi i płacą stosunkowo daleko mniéj podatków, aniżeli lokatorowie, i wszyscy mniéj zamożni, zatém dochody municypalne są daleko mniejsze nawet w zamożnych miejscowościach, aniżeliby to być mogło i musiało przy równym rozkładzie ciężarów i zniesieniu przywilejów. Rady municypalne, tak zwane *vestry counsels* albo *parish counsels*, walczą nieraz z trudnościami finansowemi, aby wszystkim obowiązkom podołać, wszystkie potrzeby zaspokoić a nie wywołać protestacyi mieszkańców przez zbyt wygórowane podatki na nich nałożone. Rata ich rzadko jest niższą od 2 szylingów 6 pensów od każdego funta szt. dochodu a czasami wznosi się aż do 7 szylingów. Łatwo zrozumiéć, że opodatkowani, gdy im przedstawiono potrzebę wzniesienia kosztem gminy biblioteki i czytelni publicznéj, zaopatrzenia jéj w książki i utrzymywania bibliotekarzy i służby, nie kwapili się z wprowadzeniem w czyn takich projektów. Teoretycznie nie przeczyli korzyściom przedsięwzięcia, ale gdy przychodziło do rzeczy, odkładali je *ad feliciora tempora*. Trzeba było silnéj agitacyi za rozszerzeniem oświaty i tego niezwalczonego prądu humanitarnego, który owładnął społecznością w ostatnich kilkudziesięciu latach, ażeby zwyciężyć te przeszkody finansowe i zmusić municypalność do szczególnego uwzględnienia potrzeb ich ubogich i wyjątkowo upośledzonych mieszkańców.

Nawet o sankcyę parlamentu było zrazu trudno. Przez wiele lat kołatał o nią i agitował deputowany Liverpoolu, William Ewart. On to jest ojcem publicznych bibliotek angielskich i jego niestrudzonemu orędownictwu byt swój one zawdzięczają. Imię jego wspominane być winno z wdzięcznością przez wszystkich przyjaciół oświaty. Był on zaprzyjaźniony z rodziną Gladstona i dowódca liberalnéj Anglii, otrzymał na chrzcie imiona jego Williama Ewarta. P. Ewart, wraz z p. Brothertonem i kilku innymi deputowanymi rok po roku przekładali izbie gmin bill upoważniający municypalności do nałożenia specyalnego podatku na biblioteki publiczne i nakoniec mimo jéj obojętności i złéj woli, w 1850 r. małą większością 35 głosów, udało im się przeprowadzić go przez wszystkie arkany parlamentarne i pozyskać dlań w dniu 14 sierpnia 1850 sankcyę korony. Dzień ten pozostanie niezapomnianą datą w kronice oświaty publicznéj angielskiéj. Pierwiastkowy bil ten posiadał rozmaite ograniczające klauzule. Tylko gminy liczące 10,000 mieszkańców zostły upoważnione do

przedłożenia swym mieszkańcom pytania, czy chcą założyć bibliotekę publiczną i w razie przychylnéj odpowiedzi wysokość specyalnego podotku *ad hoc* ograniczoną została do pół pensa, t. j. pięciu centymów od każdego funta szterlinga płaconych podatków gminnych. Następnie, w latach 1855, 1866, 1871, 1877, 1884, 1887 i 1889 a zatém po siedm razy parlament powracał do tego samego przedmiotu i uczynił do pierwotnej ustawy rozmaite dodatki. Jako główne zmiany wystarczy wskazać, że nie tylko gminy miejskie o 10,000 mieszkańcach ale i mniéj ludne, oraz gminy i parafie wiejskie są upoważnione do zakładania bibliotek publicznych a rata podatkowa, czas jakiś podniesiona do jednego pensa od funta szt., zostawiona została ich własnemu uznaniu.

Legalne przeszkody zostały tedy złamane już przed czterema dziesiątkami lat, ale byłoby wielką omyłką sądzić, że ich tylko kraj czekał aby biblioteki publiczne fundować i otwierać. Nawet obecnie jeszcze niechęć albo apatya wielu municypalności miejskich nie jest złamana, a chociaż agitacya w ostatnich kilku latach czyni wielkie, dotykalne postępy, szczególniéj dzięki przymusowéj a nareszcie i bezpłatnéj szkole elementarnéj, to potrzeba jeszcze będzie lat kilkudziesięciu, zanim się weźmie szturmem jedną po drugiéj każdą z tych fortec egoizmu i ciemnoty i zanim instytucye te rozwiną się krzepko na gruncie angielskim.

Pierwszém miastem, które otwarło u siebie bibliotekę publiczną na podstawie aktu Ewarta, był Manchester. Liberalna ta inicyatywa nie dziwi ze strony Cottonopilis, gniazda nie tylko szkoły manchesterskiéj, która zrewolucyonizowała świat ekonomiczny, ale i ligi anty-zbożowéj i wielu innych agitacyi w duchu postępowym. W niespełna dwa lata po ogłoszeniu Aktu, w 1852, otwarta tu została biblioteka w uroczysty sposób. Jak wielkie znaczenie przywiązywały do téj instytucyi najznakomitsze umysły krajowe, dowodzą mowy wypowiadane przy téj sposobności przez hrabiego Shaftesbury, wielkiego filantropa, którego imię niezliczone fundacye przekażą oddalonéj przyszłości, Johna Bright, Lytton-Bulvera, Dickensa, Thackeraya i wielu, wielu innych. W dzień otwarcia swego, biblioteka posiadała już 20,000 tomów i natychmiast funkcyonować zaczęła.

Ale ten pośpiech i ten dobry przykład nie podziałał bynajmniéj zaraźliwie na inne miasta. W ciągu 36 lat pierwszych utworzyło się wszystkiego 133 bibliotek i czytelni bezpłatnych, i dopiéro w ciągu ostatnich lat pięciu ruch przybrał wydatniejsze rozmiary, gdyż powstało ich 105. Razem posiadała ich tedy Anglia 238 aż do zeszłego roku. Ponieważ jednak organizuje się już z 50 nowych a 30 jest już bliskich ukończenia i otwarcia, zatém można powiedzieć, że istnieje ich

obecnie 300. Jak we wszystkich postępowych agitacyach angielskich, hrabstwa północne biorą inicyatywę, za niemi idą środkowe, a potrzeba długiego czasu nim się poruszy ospalsze i bardziéj zachowawcze południe. Najbardziéj zacofany jest zawsze Londyn, w którego ogromie zdają się ginąć i być długo zduszonemi wszelkie aspiracye postępowe. Aż do 1886 r. było otwartych w 67 parafiach czyli okręgach municypalnych Londynu nie więcéj jak d w i e publiczne biblioteki na zasadzie aktu Ewarta. Obecnie jest ich już 30, i przed końcem roku będzie otwartych kilka nowych. Ten zwiększony ruch w czterech ostatnich latach przypisać należy utworzeniu centralnego ciała municypalnego dla hrabstwa Londyńskiego: *County Counsel*. Nowe życie wstąpiło w organizm stolicy i w każdym oddziale administracyi miejskiéj dają się już spostrzedz liczne ulepszenia. Wadą tego ciała wyborczego, znajdującego się dopiéro w pierwszym zarodzie, jest to, iż ma za szerokie atrybucye, a znajdując przed sobą nawał zadawnionych nadużyć, pragnie odrazu wszystkim zapobiedz. Gdy poręby wycięte będą w tym lesie, a metoda zaprowadzona w działalności rady, szczególniéj zaś gdy obok centralnéj, utworzone będą rady okrążkowe,ześrodkowujące atrybucye kilku lub kilkunastu sąsiadujących z sobą dzielnic, nie ma wątpienia, że i dzieło bibliotek publicznych nowy otrzyma bodziec. Londyn nie będzie chciał pozostać długo w tyle za Berlinem, posiadającym już 25 bibliotek, z których każda liczy z górą 100,000 tomów, a szczególniéj za Paryżem, gdzie w ciągu siedmiu lat, pomiędzy 1871 a 78 rokiem otwarto nie mniéj jak 64 bibliotek publicznych, wypożyczających rocznie blisko 2,000,000 tomów.

Organizacya bibliotek i czytelni publicznych przechodzi zazwyczaj kilka stadyów kolejnych. Myśl, podniesiona przez opinię i sformułowana w prasie, napotyka naprzód zaciętych nieprzyjaciół w szynkarzach. Słusznie oni przeczuwają, że każdy z ich klientów stracony dla nich będzie raz na zawsze, skoro przywyknie do spędzania wieczorów nie w ich zatruwalniach ale w salach czytelni. Nie małą opozycyę znajduje także projekt biblioteki ze strony zamożnych mieszkańców, którzy płacąc już wysokie podatki, nie widzą potrzeby zwiększania ich choćby drobną sumką jednego pensa od każdego płaconego funta szterlinga. Ale gdy mimo téj opozycyi liczba adeptów wzrasta, zarząd municypalny rozsyła do wszystkich płacących podatki zapytanie piśmienne o ich zdanie co do utworzenia biblioteki miejscowéj. Na plebiscyt ten odpowiedzieć trzeba przez t a k lub n i e. Nieraz się zdarzyło, że przeczące odpowiedzi przeważyły i że sprawa, na najlepszéj drodze do urzeczywistnienia będąca, na kilka lat odłożona być musiała. Istnieje teraz dążenie, ażeby plebiscyt ten zastąpić ogólnem

zebraniem, gdzie nikt nie poważy się *coram populo* oświadczyć się za ciemnotą. Skoro żaden z opodatkowanych nie jest zapytywany czy żąda ustanowienia policyi, brukowania albo oświetlania ulic, i t. d., to témbardziéj nie powinien być zapytywany, czy chce lub nie chce zabijać umysłowy rozwój swych bliźnich.

Skoro decyzyę raz już powzięto, wykonanie nie przedstawia żadnych praktycznych trudności. Utworzoną bywa specyalna komisya, dla wprowadzenia jéj w wykonanie. Pierwszém jéj zadaniem — znaleść fundusze nadzwyczajne na budowę gmachu. Dopóki ich nie ma, biblioteka umieszczana bywa w ratuszu, czyli jak się w Anglii nazywa, w *vestry-hall.* Ale jest to stan krótkotrwały i pierwszém usiłowaniem komitetu jest znaleść dla biblioteki własny dach i zagrodę. Akt upoważnia radę gminną do zaciągnięcia pożyczki umarzalnéj w ciągu lat trzydziestu na koszta budowy. Zazwyczaj jednak obyć się można bez takiéj ostateczności. Nie ma prawie przykładu, aby mieszkańcy bogaci cyrkułu nie pospieszyli z ofiarami, ten gruntu, ów materyałów budowlanych. Przeciętnie budowa w Londynie kosztuje od 10 do 12,000 funtów szt. Często całość téj sumy wraz z gruntem zebrała się w ciągu dni kilku. Są magnaci, jak słynny Andrzej Carneggie, który sypnął dziesiątkami tysięcy szt. na biblioteki; w samym Glasgowie ufundował ich pięć kosztem 50,000 szt. Budowle są zazwyczaj piękne i artystycznėm swém wykończeniem przyczyniają się do ozdoby dzielnicy, w któréj się wznoszą. Czasami są to nawet wspaniałe pałace. Zwykły rozkład gmachów obejmuje na dole przestronne atrium, pokój oddzielny dla dam i oddzielny dla chłopców szkolnych i wielkie sale, gdzie się mieszczą dzienniki, tygodniki, pisma illustrowane, miesięczniki i przeglądy. Na piętrze lub na piętrach mieszczą się czytelnie, gdzie każdy znajduje w dobrze ogrzanych, oświetlonych elektrycznością, wytwornie a nieraz zbytkownie urządzonych salach, przybory piśmiennicze, karty geograficzne, encyklopedye, słowniki i zapas dzieł, które bardzo często przenoszą 100,000 tomów. Można w tych salach pracować od godziny 10 rano do 10 wieczorem a bibliotekarz wraz z pomocnikami czuwa nad ułatwieniem pracy, dostarczeniem książek i informacyi. Nie potrzeba żadnéj formalności, żadnéj legitymacyi, żadnych podpisów, ani nadmienienia, że się w obrębie gminy zamieszkuje. Panuje pod tym względem największe ułatwienie. Jedyném wymaganiem stawianém przez zarząd jest zachowanie milczenia i czystość rąk. Nawet zdjęcie kapelusza, obowiązujące w bibliotekach amerykańskich, nie zostało narzucone czytającym. Ostatni wydział biblioteki poświęcony jest wypożyczaniu książek. Każdy zgłaszający się otrzymuje list imienny, na który

wydawane mu są wszelkie znajdujące się w zbiorze dzieła, nawet najkosztowniejsze. Wolno zabrać je do domu a trzymać najdłużéj dni piętnaście; nowości zazwyczaj wypożyczane bywają tylko na tydzień. Żadnych nadużyć ani strat nie wskazują roczne sprawozdania. Są biblioteki w miastach prowincyonalnych, które wypożyczają nadzwyczajną liczbę książek. W Manchester, gdzie wypożyczono 1,564,000 tomów w ciągu ostatniego roku, zaginęło jedynie 15 tomów; w Bradford na wypożyczonych 2,327,000 tomów stracono 23; przykładów tego rodzaju jest tyle, że nie można wątpić, iż czytająca publiczność zdaje sobie sprawę ze znaczenia instytucyi i umié uszanować ogólną własność. Przeciętnie każdy mieszkaniec wypożycza 5 książek rocznie, a każdy uczęszczający do czytelni czyta ich rocznie 20. Samo się przez się rozumié, że cyfry te niebawem daleko większe przybiorą rozmiary. Oprócz książek powszechnego interesu i znaczenia, każda biblioteka stara się wyrobić sobie specyalność jaką, uwzględniając historyę, archeologię i etnografię miejscowości, miasta, hrabstwa, w których się znajduje i dostarczając czytelnikom dzieł szczególnie ich interesujących zawodowych przedmiotów. W okręgach metalurgicznych, w miastach przeważnie oddanych téj lub owéj rękodzielniczéj albo artystycznéj wytwórczości, znajdują oni w bibliotece publicznéj możność dopełnienia zbyt często im brakującego wykształcenia technicznego. Przez rozumną dyrekcyę biblioteki często wyrabia się wśród czytającéj masy widoczny pociąg do pewnych poważnych studyów. Zauważono między innemi, że czytelnicy w hrabstwach Lancashire i Yorkshire żywią wielkie zamiłowanie do dzieł z dziedziny nauk przyrodniczych.

Zasadniczą kwestyą, któréj organizatorowie tych zakładów nigdy nie spuszczają z oka, jest, że nie mają one wyłącznie służyć tylko do rozrywki ale i do nauki; w każdym razie do obu. Nie spoglądają na poezye, romanse i dział beletrystyczny jak na nieprzyjaciela; bynajmniéj. Wszystkie biblioteki zaopatrzone są obficie w powieści i miewają po kilkanaście, po kilkadziesiąt nieraz egzemplarzy najpoczytniejszych. Etyczne i edukacyjne znaczenie powieści jest w Anglii całkowicie uznane. Rozumié się, że młodzież, że kobiety i że cała przeciętna publiczność od nich czytać zaczyna i długo przy nich pozostaje. Obliczają, że od 35 do 80% czytelników wyłącznie się tą strawą karmić zwykło. Ale stopniowo liczba ich się zmniejsza i naprzód obok powieści zaczynają pragnąć realniejszéj strawy, a potem całkowicie do téj ostatniéj przywykają. Biografia i podróżopisarstwo stają już w wielu dawniéj ufundowaaych bibliotekach pomiędzy książkami tak samo poszukiwanemi jak dzieła czystéj wyobraźni. Są one zazwy-

czaj dobrze w poważniejsze dzieła zaopatrzone przez dary całych księgozbiorów zamożnych obywateli miejscowych; a i własne fundusze do zakupywania ich wystarczają. Niektóre z nich mogą już poświęcać na nie do 4,000 f. szt. rocznie. Handel księgarski, który się z początku tych bibliotek publicznych obawiał, obecnie zaczyna już na nie spoglądać jako na cenną klientelę. Nie tylko, że kupują wydawane dzieła, ale przez szerzenie oświaty, przez rozbudzanie zamiłowania do czytania przygotowują nowe pokolenia, które będą w książce widzieć niezbędną przynależność życia.

Zaledwo otwarta biblioteka publiczna staje się niebawem taką potrzebą dla mieszkańców, że chwilowe jéj zamknięcie dla reparacyi i t. p. uważane jest za rodzaj klęski. Gdy słynny krytyk i poeta Matthew Arnold zdawał sprawę ze swéj podróży po Stanach Zjednoczonych, nie omieszkiwał mówić, że rysem miejscowym, który go tam najbardziéj zdziwił, był widok bosego chłopaka studyującego w bibliotece. Obecnie i w Anglii nie jest to rzadkością. Ale nie dla samego tylko proletaryatu są one użyteczne. Coraz częściéj widać karety z upudrowanymi lokajami zatrzymujące się przed ich drzwiami. Widocznem jest, że przesądy arystokracyi i snobizm rozbrajają swą opozycyę i że utrzymując bibliotekę ze swych podatków, nie wstydzą się już z nich korzystać.

Ważnym bardzo warunkiem, przyczyniającym się do rozwoju bibliotek i czytelni publicznych i do wzmożenia ich umoralniającego wpływu, jest otwieranie ich w niedziele i święta. Wiadomo, że w dniach tych masa ludowa skazana jest na bezczynność, a że szynki są otwarte w godzinach pomiędzy nabożeństwami i po nich, zatém w nich tylko szukała rozrywki. Mimo całego nacisku wywieranego przez stronictwo postępowe, muzea i galerye są jeszcze szczelnie zamknięte w niedziele, ale w obec doskonałych rezultatów, jakie okazują biblioteki publiczne, przepełnione w tym dniu, wolno się spodziewać, że i tamte pójdą za tym zbawczym przykładem. Przedewszystkiém jednak idzie organizatorom bibliotek popularnych o przyciągnienie do nich młodzieży klasy ludowéj. W samym Londynie, nie trzeba zapominać, 80,000 chłopaków i dziewcząt opuszcza corocznie szkoły elementarne i przy braku środków materyalnych, dalszego kształcenia się zaniedbują. Taką dobrowolną szkołą, dostarczającą książek i pozwalającą studyować w spokoju po za ciasném i niewygodném zazwyczaj mieszkaniem rodziny robotniczéj, są te instytucye. Znaczenie ich powiększy się nakoniec przez połączenie bibliotek ze szkołami technicznemi, wieczornemi i szczególniéj z zakładami, które Anglicy nazywają *Politechnicon.* Prawie w każdém municypium londyńskiem dwie te in-

stytucye wzajemnie podają sobie ręce. Jako przykład przytoczyć możemy bibliotekę w dzielnicy Chelsea. Lord Cadogan, który ofiarował ziemię, na któréj wzniesiony został powabny jéj budynek, ofiarował teraz przyległą na zakład politechniczny, który budować zaczęto. Biblioteka stanie się składową częścią instytucyi, która gromadzić będzie całą młodzież téj dzielnicy miasta. Odczyty publiczne, wykłady, konferencye naukowe, które się tam odbywać będą, staną się nowém ogniskiem umysłowém i utrzymają reputacyę oświaty i artyzmu, z którego Chelsea słynie oddawna. Demokratyczne masy nie mają już prawa skarżyć się, że ich wykształcenie zostawione zostało odłogiem. W miastach prowincyonalnych angielskich biblioteki municypalne stały się już od samego ich początku naturalném siedliskiem odczytów publicznych; Londyn także iść zaczyna w tym kierunku i chce około nich stworzyć prywatne, miejscowe akademie.

Widocznie biblioteki publiczne zdają sobie sprawę ze swego społecznego zadania, skoro nie przestając na wzbogacaniu i dopełnianiu swych własnych zbiorów, starają się już o propagowanie nowéj ich gałęzi, a mianowicie bibliotek szkolnych. Zarys nasz nie byłby kompletnym, gdybyśmy tę stronę kwestyi pominęli. Jak wiadomo z cyfr statystycznych za rok 1889, ogłoszonych przez wydział wychowawczy, 3,614,967 dzieci pomiędzy 6 a 14 rokiem życia uczęszczało do szkółek w ciągu roku. Jest to cyfra pokaźna, ale ktokolwiek się bliżéj kwestyami pedagogicznemi zajmował, nie daje się nią oślepić. Rezultaty oświaty pobieranéj w szkołach elementarnych są małe, dla tego, że organizacya ich aż do ostatnich czasów niezmiernie wiele zostawia do życzenia. Pomiędzy najnaglejszemi reformami jest zaopatrzenie każdéj bez wyjątku szkółki w bibliotekę, w któréj by uczniowie czytać mogli w godzinach po za klasowych. Dotąd prawie zupełnie brakuje ich w Angli. Gdy się pomyśli, że w Stanach Zjednoczonych jest 23,000 bibliotek szkolnych, zawierających 45,000,000 książek, to jest o 12 milionów więcéj aniżeli we wszystkich razem bibliotekach staréj Europy, to rumienić się za tę ostatnią wypadnie. Na czele państw europejskich w dziale bibliotek szkolnych stoi Francya. *Bibliothèques populaires des Ecoles publiques* uorganizowało ich już nie mniéj jak 35,000 i znajduje się w nich 4,000,000 książek, a minister oświaty przesyła już do nich w ostatnich latach książki wartujące przeszło 600,000 franków. Nie tylko dzieci ale i ich rodzice mogą z nich czerpać. Anglicy chcą obecnie to samo u siebie zaprowadzić i biblioteki publiczne municypalne wzięły się do tego użytecznego dzieła jako pośredniczki. Ustanowiwszy oddział specyalny książek odpowiednich dla młodego wieku, przesyłają je w darze szkółkom ele-

mentarnym, w swym okręgu się znajdującym i stopniowo zakładowy ten zbiór zbogacają książkami zużytemi, uszkodzonemi albo posiadanemi w wielkiéj liczbie egzemplarzy. Istnieje także inna organizacya w Plymouth, Leeds i innych prowincyonalnych miastach, gdzie specyalny księgozbiór dla młodzieży szkolnéj wypożyczany jest przez bibliotekę jednéj szkółce z warunkiem, aby po kilkomiesięczném z niego użytkowaniu przesłany został do sąsiedniéj. Jest to dopiéro początek ruchu, który zapowiada się płodnym w dobre następstwa.

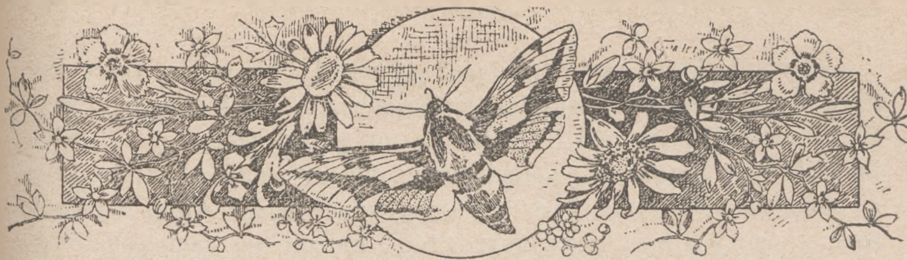
Ale agitacya postępowa szerzy się obecnie daléj jeszcze. Uważając instytucyę bibliotek publicznych za ostatecznie rozwiązaną po miastach i mogącą być tam zostawioną samą sobie, zajmuje się sposobami przez jakie uorganizować by się one dały po wsiach. Zadanie jest tam nie tylko rozleglejsze ale najeżone rozmaitemi trudnościami miejscowemi, których spuścić z uwagi nie podobna. Nie można powiedzieć, ażeby ludność wieśniacza angielska była całkowicie czytelni i książek pozbawiona. Wzmiankowaliśmy już wyżéj, że prawie zawsze proboszcz uorganizował ją przy plebanii, często także jest w dworze squira księgozbiór, oddawany na użytek miejscowych włościan. Lecz łatwo zrozumiéć, że biblioteka pastora, o tendencyach przeważnie, jeżeli nie wyłącznie kościelnych, jest zamkniętą dla tych, którzy do innych wyznań i sekt należą; co zaś do squira, to dzięki jego wysoce zachowawczym zasadom nie sprzyja on takim „nowinkom“ jak czytanie pod strzechą wieśniaczą. Są także stowarzyszenia filantropijne, które całkiem bezpłatnie albo za bardzo małą opłatą dostarczają wsiom książek do czytania. Najlepiéj uorganizowana jest pod tym względem *Yorkshire Union*, znajdująca się pod dyrekcyą p. Franka Curzon. Utworzył on bibliotekę z 30,000 tomów dla wsi, i po 200 tomów wypożyczanych bywa na trzy miesiące. Dwieście wsi z górą w hrabstwie York korzysta z téj instytucyi. Jest wiele innych na jéj wzór utworzonych, ale nie ulega wątpliwości, że dopóki gminy wiejskie nie uorganizują u siebie bibliotek publicznych stałych na podstawie aktu Ewarta, kwestya rozwiązaną nie zostanie. Główną przeszkodą jest naturalnie brak funduszu w budżecie gminy. Chociaż istnieją nadzwyczajne różnice w dochodach, jakimi rozporządzają, a które od 5,000 f. szt. rocznie schodzą w niektórych miejscowościach do sumy 300 funtów, to w ogóle nie są one zamożne. Strącając po pensie od funta na bibliotekę, wyjątkowo tylko doszłoby się do 20 funtów rocznie. Tam, gdzie wielki właściciel ziemski wzniesie dom i ufunduje bibliotekę dla wieśniaków, jak tego jest kilkanaście przykładów, a między innemi często opisywane w szkockiéj wiosce Longforgan albo wzorowa biblioteka w Bebington, tam ludność miejska korzysta z niéj z niespodzie-

waną skwapliwością. W wielu wsiach zamieszkiwanych przez robotników górniczych rozpoczęła się już wielostronna działalność za jéj utworzeniem. Kwestya agituje się i stopniowo dojrzewa. Nie będzie prawdopodobnie w początku innego sposobu rozwiązania jéj jak przez ugrupowanie kilku sąsiadujących wiosek w jedną całość. Ale właśnie obecnie na porządku dziennym prac parlamentarnych staje sprawa wyemancypowania ludności wiejskiéj, stopniowego jéj uwłaszczania, i oddania w jéj własne ręce samorządu gminnego przez utworzenie rad okręgowych, na które zgadzają się już torysi, albo nawet rad parafialnych żądanych przez whigów. Czy w téj szerszéj, czy téż tylko w ściślejszéj organizacyi, samorząd wiejski zaprowadzonym zostanie, nie ma wątpliwości, że przy wzbudzonym interesie do oświaty, zakładanie bibliotek publicznych i czytelni po wsiach nie da długo na siebie czekać.

P. Tomasz Greenwood, którego popularnéj książce *Public Libraries* wiele wyżéj wymienionych szczegółów zawdzięczamy i który może być uważany za jednego z najczynniejszych orędowników sprawy bibliotek publicznych, przepowiada, że jeszcze przed końcem naszego stólecia będzie ich 500 w Anglii. Nie można cyfry téj uważać za przesadzoną, gdy się pomyśli, że są już prowincyonalne miasta jak Nottingham, gdzie już jest ośm bibliotek publicznych i że uczęszcza tam do nich rocznie 1,250,000 czytelników, albo jak Leeds, którego municypalność się chlubi, że żaden z mieszkańców nie jest oddalony o więcéj jak sześć minut od najbliższéj biblioteki publicznéj. Przykład działać będzie wszechwładnie i miejscowości zacofane tém łatwiéj się ruszą, że oba stronnictwa polityczne, torysi i whigowie, mimo różnicy swego programatu, są w zgodzie na tym przynajmniéj punkcie. Nad drzwiami słynnéj biblioteki w Alexandryi, starożytni Egipcyanie położyli byli napis: K a r m i c i e l k a d u s z y. Coraz więcéj współcześni Anglicy uznają słuszność tego pojęcia, i coraz energiczniéj w myśl jego działać zaczynają. Nie trzeba będzie długo czekać na żniwo z téj siejby. Zamiast społeczeństwa prowadzonego na pasku przez klasy uprzewilejowane, arystokratyczne, wytworzy się potężna demokracya tém silniejsza, że jéj żadnego światła nie braknie.

Dr. M. E. Trepka.





O RYTMICE.

Uwagi o wersyfikacyi polskiéj jako przyczynek do metryki porównawczéj, skreślił Michał Rowiński. Warszawa, 1891, str. 152. Odbitka z „Prac filologicznych“.

Wymieniona tutaj praca, która nam daje powód do wypowiedzenia słów kilku o rytmice, nie jest bez zalet. Autor, filolog z zawodu, zdaje się mieć zamiłowanie do przedmiotu, do greki mianowicie, z czego się bardzo cieszymy. Zdaniem naszém, umiłować przedmiot, to niezbędny warunek, aby go dobrze zrozumieć, aby w nim postąpić do samodzielności i skutecznie pracować, takich zaś pracowników właśnie grecka filologia może najwięcéj u nas potrzebuje. Pracując nad starożytną metryką, chciał się rozpatrzyć także w teoryi wierszowania polskiego a zabrał się do tego z należytém przygotowaniem, jak widzimy bowiem z aparatu naukowego, który podaje, starał się szczerze o poznanie stanowiska, jakie ta gałąź naukowa w najnowszych czasach zajęła, podał pogląd na prace dotychczasowe z dziedziny wersyfikacyi polskiéj, klasyfikując je ze zmysłem prawdziwie systematycznym. Żałujemy, że tego właśnie rozdziału nie przedstawił nieco obszerniéj. Podaje daléj w krótkości zasady metryki greckiéj, rzymskiéj, romańskiéj, germańskiéj, ze słowiańskiéj sfery mówi o wierszowaniu rosyjskiém, małoruskiém, czeskiém; w dodatku kilka słów nawet o madziarskiém. Chwalebne, widzimy, usiłowania, aby poznać różne postaci tego samego zjawiska. Mamy tu jakoby pierwszy krok ku historyi wierszowania w poszczególnych literaturach słowiańskich i wyznajemy, że gdyby autor był ten właśnie temat stawił sobie wyłącznie i opracował z taką dokładnością, do jakiéj widocznie zdąża, byłby nam dał pracę ciekawą i pożyteczną, co, mamy nadzieję, w przyszłości jeszcze stać się może

Pytanie, które autor rozwiązać się starał, było to, czy teoretycy nasi, dążący do zreformowania wierszowania polskiego, czy więc Królikowski, Ostrowski Kr., Jenike mają słuszność, czy nie, albo inaczéj, czy wierszowanie polskie ma znamiona osobne i jakie? Dałże nam na te pytania rozstrzygającą odpowiedź? Autor wyznaje sam, że nowych wyników zdobył mniéj, aniżeli się sam spodziewał i mybyśmy temu nie przeczyli. Jeżeli zaś pociesza się tém, że tu o nowość wcale nie chodziło, to zapytalibyśmy go, o co właściwie chodziło? Autor nie jest zwolennikiem zreformowanego, czyli metrycznego wierszowania, i być może, że ma słuszność, mimo to każdy zwolennik takiego wierszowania może i nadal, jak przedtém, utrzymać, że prawda po jego stronie. Autor oparł zdanie swoje, częścią znowu na dzisiejszych zasadach rytmicznych, które także ani są historyczne, ani naturalne.

Czy p. Rowiński zna muzykę? Otóż bez znajomości muzyki, a przedewszystkiém historyi muzyki, trudno rozbiérać skutecznie sprawy rytmiczne. Melodya i poezya w tak ścisłém ze sobą związku stały u swego początku, że jednéj bez drugiéj nigdy dobrze nie zrozumiemy. Prawda, że dzisiaj rozdział między muzyką a poezyą jest zupełny, na czém ani jedna, ani druga dobrze nie wychodzi, ależ za naszych już czasów Ryszard Wagner instynktownie przynależność jednéj do drugiéj uczuwając, starał się je do dawnego przywieść zjednoczenia.

P. Rowiński trzyma się stale zasad rytmicznych, jak je dotychczasowa filologia głosi. Otóż, aby się przekonać, że na téj podstawie do celu nie dojdziemy, przypatrzmy się na przykładach, jakiemi drogami kroczy dotąd ta nauka.

Jeden z najwybitniejszych starożytnych teoretyków, których pisma nas doszły, Arystydes Quintilianus, podając następny wiersz grecki *entha tâs elafoktónou*, dzieli go w następny sposób na równe stopy iloczasowe: — ⏑ | — ⏑ | ⏑ — | ⏑ — ¦ . Przeczytajmy teraz, co o tém mówi profesor monachijski W. Christ, w dziele *Metrik der Griechen und Römer* p. 373, które używa niezamąconéj powagi w całym świecie naukowym: „starożytni metrycy, a nawet muzyk Arystydes popełniali niepojęte głupstwo, dzieląc ten wiersz i podobne na same stopy dwuzgłoskowe i wykraczając przez to przeciw najwyższéj zasadzie rytmicznéj, że wszystkie stopy szeregu rytmicznego powinny się zaczynać od równie silnéj części taktu. Nie może więc być wątpliwości pomiędzy rozsądnymi ludźmi, że analizę starożytnéj rytmiki odrzucić, a wiersz ów na stopy następne podzielić należy: — ⏑ ¦ — ⏑ ⏑ | — ⏑ | —“. Coby powiedział Arystydes na sąd

tak szorstki i zuchwały? Czy godzi się tak odrzucać wyraźne świadectwo starożytnych, gdy mówimy o ich własnéj rytmice, utworze ich ducha, a stawiać w to miejsce nowoczesne pomysły? Wykazałem to gdzie indziéj, [1]) że Arystydes jest tutaj w zgodzie ze wszystkimi teoretykami starożytności, którzy przecież od dzieciństwa uczyli się poezyi i śpiewu, późniéj zaś sami tych przedmiotów nauczali. Żeby Grecy byli głupcami z urodzenia, twierdzić bardzo trudno, więc owego „niepojętego głupstwa“ chyba gdzieindziéj szukać należy. Dla czego Arystydes dzieli ów wiersz na cztery różne stopy? Widocznie dla tego, że podług niego każda stopa rytmiczna ma miéć tutaj trzy mory, czyli trzy krótkie czasy. Arystydes dzielił grecki wiersz podług zasad greckiéj rytmiki, dla czego zaś Christ dzielić go tak nie chce? Ponieważ idzie ściśle za Gotfriedem Hermannem, który greckie metra czytać chciał tak, jak się czytały np. hexametry Klopstocka, Vossa, Goethego, Schillera, podług akcentu, odnośnie: iktu. Niemcy wytworzyli sobie w wieku ubiegłym wierszowanie jakoby metryczne, przedewszystkiém hexametry, w których umieszczali zgłoskę akcentowaną na początku każdéj stopy. Ponieważ taką sobie postawili regułę, więc akcenty zastosowali do reguły. Gdyby Grecy mieli, z tego punktu widzenia się zapatrując, język rozsądny, akcent ich byłby także pobiegł na początek każdéj stopy, niestety, tak nie było. Akcent ich był niesforny, biegał wszędzie gdzie mu się podobało. Okazało się tedy potrzebą położyć koniec téj niekarności i uczynił to ówże Gotfried Hermann.

Sławny ten uczony, Goliat rytmiczny zaiste, w swych *Elementa doctrinae metricae* (1816, p. 9) mówi tak: „w każdéj rzeczy, potrzeba jakiejś siły zewnętrznéj, któraby naznaczała jéj początek, a więc i w rytmach jéj trzeba. Ta siła zewnętrzna w rytmach nazywa się *iktem*.“ Dobrze tak Grekom. Nie umieli okiełzać swego płochego akcentu, dostali natomiast *iktus*, który na polskie można przełożyć jako uderzenie, albo poszturchnięcie, albo téż, wyrażając się bardzo popularnie, kułak, rzecz, któraby się mogła okazać dla deklamatorów wielce nieprzyjemną, gdyby im jaka „siła zewnętrzna“ miała w ten sposób naznaczać początek każdéj stopy rytmicznéj. Zatosujmy ów uczony sylogizm do innych przedmiotów: mamy ulicę, ulica jest także rzeczą, a że w każdéj rzeczy potrzeba jakiejś siły zewnętrznéj, któraby naznaczała jéj początek, więc i ulica jéj potrzebuje. Wiédzmy

[1]) zob. „Badania nad rytmem i rytmami“ I, II, III: oraz *Essai comparatif sur l'origine et l'histoire des rythmes 1889*, dokąd téż po wszystkie inne szczegóły odsyłam.

więc, że potrzeba wystrzału armatniego, któryby nam naznaczył, gdzie jest początek ulicy, inaczéj o nim wiedzieć nie będziemy. Grecy i Rzymianie nazywali nas północnymi barbarzyńcami, czy nie uczynili tego przeczuwając jak ich rytmikę pogwałcimy? Prawdą jest, że ów *iktus* narzucony starożytnym uczynił hexametry greckie dziwnie podobnemi do niemieckich, ale z drugiéj strony także jest prawdą, że Grecy ani Rzymianie o ikcie głosowym w rytmice nic nie wiedzą.

Widzieliśmy, jak nieudolnie niemiecki uczony uzasadnił ten wymysł, który mimo to stał się filarem nowoczesnéj teoryi rytmicznéj. Filar ten, zdaniem naszém, chwieje się, a żal nam p. Rowińskiego, że go podtrzymywać usiłuje.

Przytoczmy jeszcze jeden przykład nowoczesnéj dowolności naukowéj. Otfried, benedyktyn z Weissenburga z wieku dziewiątego, postanowił dla honoru Franków pisać wiersze niemieckie, których dotąd, jak świadczy, nie było. Mają Grecy i Romanie poezye dla czegóżby Frankowie mieć ich nie mieli? Czyż my nie mamy roli, soli, złota, jak oni? i t. d. W liście do arcybiskupa Moguńckiego wyznaje jednak, że mu to było bardzo trudno. Nie wiedział, jakiemi głoskami oznaczać niemieckie brzmienia, jak dzielić wyrazy. To téż wyraźnie mówi, że jego wiersze żadną nie są skrępowane subtelnością miarową, tylko starannie szuka rymu. Żadną, więc żadną, to znaczy, że nie szuka ani równości zgłosek, ani równości stóp, ani nie ustawia akcentów, albo iktu, tylko zawsze rymem wiąże końce wierszy, albo półwierszy. Mimo to Lachmann narzucił mu akcent jako zasadę rytmiczną i w każdym półwierszu naznaczył mu ich cztery. Są jednakże półwiersze, które mają tylko cztery zgłoski, a więc akcenta na każdéj zgłosce. Daje to powód do reguł, podreguł, wyjątków, do najdziwaczniejszego akcentowania, do całego rusztowania prawideł, o których Otfried podług własnego zeznania nie wiedział. Za jego przykładem cała prawie średniowieczna literatura niemiecka rymuje z równą swobodą, dając w wierszach zgłosek od 6 do 10, akcenty zostawiając, jak się same ułożyły.

Domyślimy się łatwo, że jeżeli przedstawione tu prawidła nie są prawdziwe, to zastosowanie ich do rytmiki greckiéj, łacińskiéj, germańskiéj, nie mogło innych mieć skutków, jak zamęt i bałamuctwo. Ztąd pochodzi, że utworów starożytnych czytać dobrze nie umiemy, że zacięty spor toczą filologowie o to, czy starożytni akcent na iktowe zgłoski kłaść lubili, czy odwrotnie, że dowolnie przesuwamy akcent wyrazów łacińskich lub greckich, aby go z iktem zgodzić, że germaniści nie są w zgodzie jak czytać staroniemieckie wiersze, że dla tych reguł często teksty przeinaczają. Nauka zamiast się rozwijać, grzęźnie

w bałamuctwie. Jéj zadaniem nie może być podstawianie nowoczesnych wymysłów w miejsce dawnych świadectw, które powinny mieć dla nas pewien rodzaj świętości. Usiłowania nasze mają być skierowane ku temu, aby je dobrze zrozumieć, przy ich pomocy w myśl starożytnych wniknąć, ich pojmowanie rzeczy odtworzyć, ożywić, ale nie wykrzywiać, przeinaczać. Nigdy najlepszy pomysł nowożytny nie zastąpi dawnego świadectwa.

Rozważając, co mogło nowożytnych przejąć takiém zuchwalstwem w obec historycznych świadectw, takim brakiem zrozumienia istoty dziejowości, dochodzimy do wieku ośmnastego, któremu się zdawało, że wszystko najlepiéj zrozumiał, w rzeczy saméj jednakże zmysłu historycznego nie miał. Dochodzimy do Herdera, który proklamował powszechność i samorodność poezyi i muzyki u wszystkich narodów i ras na ziemi, kanibalów nie wyłączając. Pomysł świetny, do pewnego stopnia nawet prawdziwy, jeżeli tę powszechność przyjmiemy w możliwości, nie zaś w rzeczywistości. Nie idźmy do Hotentotów, zatrzymajmy się pomiędzy współobywatelami naszymi, przypatrzmy się im dobrze, a znajdziemy miliony, u których nie tylko owa samorodność nie doszła do produkcyi poetycznéj lub muzykalnéj, ale u których nawet nie obudziło się poetyczne, albo muzykalne uczucie. Kto zna dzieci, ten wié, że poetyczności najmniejszego nie mają zrozumienia i że dopiéro na powiastkach, wierszykach, pieśniach zwolna w nich uczucie się to budzi i rozwija. Trudniéj jeszcze muzykalne.

A jednak na téj podstawie urosła teorya o wspólności odwieczméj poezyi aryjskiéj, dla któréj trzeba było znaleść formę odpowiednią. Więc wymyślono odwieczną rytmikę na akcencie opartą, któréj nigdy nie było i być nie mogło. Tę rytmikę rozciągnięto nawet na Semitów i na cały ród ludzki. Niemcy wiersze Otfrieda wprost do aryjskiéj kolebki odnoszą, a za ich przykładem wszystkie narody europejskie szukają swéj samodzielności — w urojeniach.

W jaki sposób niehistoryczne pojęcie iktu i akcentu, pojmowanego jako czynnik rytmiczny popsuło metrykę starożytną naznaczyłem wyżéj; podobnie owo przekonanie o powszechności poezyi popsuło historyę wszystkich literatur europejskich. Historycy tych literatur starali się przedewszystkiém o to, aby kolebkę swéj poezyi umieścić w raju samym, albo przynajmniéj w jego pobliżu. Tak Hiszpanie długi wiersz poematu o Cydzie odnoszą do najdalszéj starożytności, kiedy on jest wyraźnym francuskim alexandrynem. Włosi swój endecasillabo wiążą wprost z klasycznym wierszem saficznym, z którym się jednak bezpośrednio związać nie daje. Francuzi z nieistniejącéj ludowéj poezyi wywodzą swe wiersze i formy liryczne, których nieludowe,

choć poważne pochodzenie jest wyraźne i jasne. Podobnie i my marzymy o odwieczném epopei, nawet dramacie polskim, kiedy najstarsze nasze zabytki językowe przedstawiają mowę naszą o stanie zbyt mało wyrobionym, aby mogła była być wyrazem pieśni i dramatów. Jeżeli mimo to także p. Rowiński szuka w wierszowaniu naszém rodzimych, a ile możności odwiecznych zasad, nie możemy przyznać, aby mu się je udało znaleść, têm bardziéj, gdy te, jakie znalazł, są te same, o których powiedzieliśmy, że trzymają się ich niektórzy nowsi rymotwórcy francuscy. Mówimy o dzieleniu wierszy na pewne grupy i umieszczaniu w nich stałych akcentów. (zob. Badania III, 35, 39, 43—46).

Przekonanie, o którém mówimy, jeden przynajmniéj dobry wydało owoc. Zaciekawiło nas do poznania wyobrażeń ludowych, zwyczajów ich i wierzeń, do skrzętnego ich zbierania. Gromadzi się w ten sposób bardzo cenny materyał historyczny. Tyle jednakże już dzisiaj widzieć możemy, że w tych zabytkach lud przedstawia się jako wielkie dziecko, i że przyszłość literatury naszéj z téj krynicy nie wypłynie. Nawet wielki poeta nie wydobędzie ztąd arcydzieła, albo chybabyśmy „Lilie“ za arcydzieło uważać chcieli?

Przekonania te, zdaniem naszém, ani literaturze saméj ani nauce pożytku nie przyniosły i nie przyniosą. Cóż więc począć w obec takiego stanu rzeczy i skrzywionéj drogi na przyszłość? Postąpić po kartezyańsku odrzucić zwodnicze, choć naszéj miłości własnéj schlebiające zasady, które nam w niczém nie pomagają, natomiast groźną dla przyszłości literatury tworzą zaporę. Powiedzmy sobie, że stan kultury, w jakim historya zastaje Germanów i Słowian nie pozwala przypuszczać, aby mogli mieć wówczas rodzimą poezyą i muzykę. Rozbierzmy tę sprawę rzeczowo, technicznie niejako. Otóż w owym czasie pieśni bez melodyi nie było. Melodya zaś, czyli muzyka opiéra się wprawdzie na dźwiękach, na tworzywie danym z natury, ale uporządkowanym następnie przez umysł ludzki. Ów porządek tonów, ich oddzielenie, nie są dane z natury, lecz wypracowane pomału, stopniowo. Muzyka opiéra się na gamach, które są sztuczne, nigdzie w naturze, ani w głosie naszym nie dane. Mogłyby nawet być inne, aniżeli są, takie zaś jakie są, pochodzą od Greków. W całéj Europie znane są dzisiaj tylko dwie gamy, dur i mol, obie zaś są pochodzenia greckiego. W melodyach ludowych także innych gam nie ma, tylko te dwie. Sądzimy nawet, że lud melodyi swoich utworzyć nie mógł, gdyż aby utworzyć melodyą trzeba wiedzieć właśnie, jak ją tworzyć, jak zacząć, prowadzić i kończyć, trzeba znać co najmniéj gamę. Otóż lud nie zna téj umności, nie zna nawet gamy. Można bez znajomości gam, samym

słuchem, spamiętać jedną, drugą, dziesiątą nawet melodyę, można je przechowywać z pokolenia w pokolenie, ale utworzyć żadnéj.

Przechodząc do słów pieśni, przyznajemy chętnie, że pamięć nasza zdolną jest objąć pieśń, choćby najdłuższą, ale ułożyć bez pisma dłuższą pieśń, w któréj każdy wiersz ma mieć budowę wymierzoną, zgodną z innemi wierszami, to rzecz inna, według nas, zbyt trudna. Taka pieśń, ułożona gdzieś w zakątku przez nieznanego autora, może się ustnie rozchodzić daleko i utrzymywać długo w pamięci, ale Muza, która natchnęła autora, była z pewnością świadkiem, jak ją pisząc układał. Tę przesłankę przyjąwszy, rozważmy następną okoliczność: sanskrycka poezya uchodzi za jednę z najstarszych na świecie: otóż pismo sanskryckie jest pochodzenia semickiego, najstarszym zaś zabytkiem tego pisma jest kamienna inskrypcya z czasów króla Asoka, żyjącego coś 300 lat przed Chrystusem. Wszystkie zaś rękopisy sanskryckie, nawet Rigvedy są zadziwiająco późne. Wszystko to nie dowodzi niczego stanowczo, nie twierdzę téż bynajmniéj, aby pieśni Rigvedy były tak późne jak najstarsze ich rękopisy, ale ta niepewność dat daje do myślenia i przynajmniéj pozwala, a nawet nakazuje owo pojęcie odwieczności i wspólności aryjskiéj poezyi usunąć gdzieś na bok, aż do lepszego stwierdzenia.

Nie na lepszych podstawach opiéra się twierdzenie o powszechności uczucia poetycznego, muzycznego, o powszechności kultury. Pan Row. tryumfuje nam kulturą meksykańską, jak tryumfował na inném miejscu bylinami. Otóż czy nie wié, że uczeni amerykańscy, najczęściéj nad tą sprawą pracujący, ową kulturę z buddyzmu wywodzą? Albo i tego, że niektórzy przynajmniéj krytycy rosyjscy bylinom wcale późny dają początek? Że zaś mógłby się ktoś powołać na kulturę chińską, to wyznajemy, że nie możemy się nadziwić łatwowierności uczonych w obec fantastycznych, a widocznie kłamliwych dat historyi i literatury chińskiéj, dodajemy zarazem, że i chińskie pismo zdaje się być pochodzenia semickiego, jak przypuszczają znawcy. Kultura chińska jest na wskroś budystyczną a więc prawdopodobnie od buddyzmu młodszą. Jeżeli dobrze pomnę, to p. R. argumentuje nawet adliteracyą znalezioną u murzynów w Kamerunie. Zaprawdę, należałoby być szorstkim, gdy się ma odpiérać podobne argumenta. Więc zachowując krew zimną, jeżeli już ową adliteracyę mamy brać na seryo, powiédzmy, że większa część Afryki przesiąknięta jest dzisiaj wpływem muzułmańskim, inaczéj arabskim, że kultura arabska opiéra się na greckiéj, któréj adliteracya tak dobrze była znaną jak rzymskiéj. Wreszcie zaś, czy nie wiadomo p. R., że wiatr zanosi nasiona w odle-

głe strony, albo że ptaki wypuszczają je z żołądka nawet na miejsce takie, gdzieby się ich nikt nie spodziewał?

To wszystko, com dotąd powiedział, nie dowodzi niczego, powtarzam, ale przynajmniéj pozwala wątpić o prawdziwości tych pojęć, pozwala usunąć je na bok, choćby prowizorycznie, pozwala wreszcie lekceważyć dowodzeniem na tych wyobrażeniach opartem i żądać od przeciwników lepszych argumentów. Dziwna rzecz bowiem, że ilu nam się zdarzyło spotkać szermierzów powszechności muzyki i poezyi, wszyscy mieli bardzo tępe poczucie poezyi, a pod względem muzyczności gamę ledwie do trzeciego tonu doprowadzić umieli i to jeszcze krzywo. Czyli inaczéj, że nie umieją wcale zdać sobie sprawy z tych trudności, jakie się ich przypuszczeniu przeciwstawiają. Żywe dowody niepowszechności.

Wiemy, że, w przybliżeniu, można oznaczyć wiek każdego zabytku architektonicznego, choćby data jego nigdzie podana nie była. Czyni się to na podstawie stylu, który się w biegu czasów zmienia. Podobnie w literaturze i zupełnie tak samo w muzyce. Otóż styl melodyi ludowych jest stosunkowo późny, znacznie bliższy naszych czasów aniżeli tych, z których by go marzyciele wywieść chcieli.

Chcę powiedzieć przez to wszystko, że toniemy we mgle, wywodząc rytm ze wspólności aryjskiéj, albo z prasłowiańskiéj, odnośnie pragermańskiéj samorodności, inaczéj mówiąc, z poezyi ludowéj.

Powiédzmy sobie tak: we wszystkich językach europejskich nazwy odnoszące się do poezyi i muzyki są pochodzenia greckiego lub łacińskiego i to od czasów najdawniejszych: wiersz, stych, rym, rytm, takt i t. d. Spróbujmy tedy, czy zagmatwana sprawa rytmiki nie da się wyjaśnić na greckiéj i łacińskiéj podstawie. Starałem się to wykonać w Badaniach i *Essai*, tutaj zaś pozwolę sobie podać w krótkości wyniki, do jakich doszedłem. Okazało się przytem

1) że nowoczesna filologia spaczyła naukę rytmiki, rozdzielając zasadniczo metrykę od rytmiki. Podług nauki greckich i łacińskich gramatyków i muzyków, a nawet filozofów jak Arystydes i Platon, téj różnicy nie ma. Podług nich rytm opiéra się na długości i krótkości zgłosek i wyłącznie na nich, a więc na iloczasie, metrum zaś niczém innèm nie jest, jak pewnym, stałym kawałkiem, pewną miarą, dowolnie długiéj wstęgi tego samego rytmu. A więc stopy trochaiczne, daktyliczne, jambiczne, anapestyczne, to rytm, który możemy powtarzać, ile razy chcemy, który może płynąć bez końca; gdy zaś z téj wstęgi rytmicznéj odetniemy trzy, cztery, pięć, sześć lub siedm stóp, to będzie metrum.

2. Nauka o akcencie u starożytnych jest ciekawą, pouczającą

i nader trafną. Uczą nie tak jak my, że każdy wyraz ma akcent, lecz że każda sylaba go posiada, czyli inaczéj, że każda wymawia się pewnym tonem. Jeden akcent w wyrazie jest zawsze najwyższy, inne są niższe, różnicę zaś pomiędzy najwyższym a najniższym w zwyczajnéj mowie trzeba przyjąć na kwartę. Tak więc gravis spadał na tonikę, acutus i circumflexus podnosił się na kwartę, medius zatrzymywał się na sekundzie lub tercyi. Spróbujmy naszéj mowie dać iloczas i słuchajmy w co się zamienią jéj akcenty, gdy je wyciągniemy stosownie do iloczasu. Oto utworzy się melodya. W takiż sposób utworzyła się najstarsza melodya grecka. Że zaś ta melodya grecka zawsze się poruszała w obrębie kwarty, i zawsze zawierała te same cztery tony, więc zawsze była prawie jednaką. Cztery jéj tony utworzyły pierwotną gamę, czyli tetrakord, stosownie zaś do tego lira grecka posiadała cztery struny i tylko cztery tony dać mogła. Taką była początkowa muzyka grecka.

3) Rozumie się, że się nie zatrzymała na tym stopniu, a ciekawą jest rzeczą rozpoznać, jak się rozwinęła. Oto do pierwszego tetrakordu dodano drugi równéj zupełnie budowy i w ten sposób otrzymano oktawę. Proszę się przypatrzyć naszéj oktawie i zważyć, że i ona składa się z dwu tetrakordów zupełnie równéj budowy, np. c, d, e, f, obok tego g, a, h, c. Przez to podwojenie gamy melodye zaczęły się wyzwalać od akcentów, wychodzić po za ich granice, nabierać samodzielności i silniejszego wyrazu. Równolegle z tém instrumenta, na których dodano jeszcze inne tetrakordy od góry i dołu. Że zaś każda struna tylko jeden ton wydać mogła, więc dla tonów coraz wyższych, potrzeba było strun coraz krótszych, dla tonów niższych, strun dłuższych. Tak więc rozwinęła się harfa z pierwotnego tetrakordu, z pierwotnéj liry, którą także kitarą (gitarą) nazywano. Połóżmy teraz harfę płasko, dodajmy jéj mechanikę młotkową, aby nie drzéć palców, dno resonansowe, aby wzmocnić tony, a otrzymamy fortepian. W innym jeszcze kierunku możemy pójść od liry. Zbliżmy jéj struny, wyższe ich końce połóżmy na szyjce, aby można je skracać mniéj lub więcéj, a przez to otrzymywać z każdéj struny po kilka tonów odmiennéj wysokości, a otrzymamy gitarę, lutnię, teorban i wszystkie podobnéj budowy instrumenta. Do tychże instrumentów użyjmy smyczka zamiast palców, a otrzymamy skrzypce, wiolonczelę, kontrabas i t. d. Okazuje się z tego, że nasza muzyka dzisiejsza nawet pod względem instrumentów niczém inném nie jest, jak rozwojem muzyki i pierwotnych instrumentów greckich.

4) Równocześnie gdy melodya zapanowała nad akcentami, zapanowała także nad tekstem. Muzyk mógł, stosownie do swéj artystycz-

néj tendencyi, przedłużyć zgłoski krótkie, skrócić długie, czyli inaczéj, że rytm iloczasowy tekstu stał się dlań zupełnie obojętnym. Można wtedy było układać wiersze bez ustawiania stóp iloczasowych. Dało to powód do rozdziału pomiędzy rytmiką a metryką. Poeta metryczny był i nadal zobowiązany do układania swych stychów ze stóp iloczesnych, poeta rytmiczny był od tego wolny. Ale nie całkowicie. Wolno mu było zaniedbać iloczas, czyli po dawnemu rytm, w całym wierszu, z wyjątkiem stóp końcowych, w których ściśle go zachowywać był winien. Takie więc wiersze, które miały swobodny iloczas w całém wnętrzu, a stopę iloczasową jedynie na końcu, nazywano póżniéj rytmami. Każdy rytm odpowiadał jakiemuś metrum, którego zachowywał ilość sylab i cezurę. Mamy więc rytmy odpowiadające wszelkim metrom starożytnym. Próbowano nawet pisać hexametry rytmiczne, że jednak hexametr nie miał stałéj liczby zgłosek, więc rytm naśladujący to metrum bywał nie równy, bez reguły, barbarzyński i dla tego ich zaniedbano.

5) Wogóle tedy rytmiczne wierszowanie, rytmiczne w późniejszém znaczeniu tego wyrazu, było łatwiejsze, swobodniejsze, mniéj artystyczne od metrycznego, czyli rytmicznego w pierwotném znaczeniu. Temu brakowi starano się zaradzić w ten sposób, że w końcu wiersza umieszczano figurę retoryczną, znaną dobrze Wirgiliuszowi, oraz lirykom klasycznego okresu literatury rzymskiéj, ale używaną przez nich z umiarkowaniem, od czasu do czasu, jak wszelkie inne takież figury, czyli ornamenta. Nazywano ją *similiter desinens*, z grecka *homoioteleuton*, co znaczy podobnie, albo różnobrzmiące końcówki, które w ten sposób stały zawsze tam, gdzie była kadencya rytmiczna we właściwém znaczeniu tego wyrazu, czyli iloczasowa. Główną rzeczą była kadencya, poboczną równobrzmienie, pierwszą zwano *rythmus*, późniéj *rithmus*, jedną i drugą razem także *rithmus*, który był rzeczą główną, a gdy owo równobrzmienie z okolicznościowego stało się z czasem obowiązującém, to zawsze cała kadencya zwała się *rithmus*, z czego po prowensalsku *ritms*, *rims*, czyli *rym*. Taki więc jest początek rymu w wierszowaniu europejskiém, do którego przeszedł z łaciny, inny zaś początek, jakoby odwieczny, samorodny, jest zupełnie wykluczony dla ludzi obeznanych z historyą końcowéj starożytności i wieków średnich.

6) Łatwo zrozumiemy, że taki sposób wierszowania bardzo był pożądany w owych wiekach późniejszych, kiedy już zaginęło poczucie łacińskiego iloczasu, tak zaś było już za Augustyna św., jak on poświadcza. Jakże więc znajdywali ową obowiązkową kadencyą iloczasową, rytmiczną, kiedy nie znali iloczasu? Mieli regułę taką:

wszystkie proparoxytona mają przedostatnią krótką, ponieważ zaś ostatnia uważała się zawsze jako długa w pauzie, przeto każdy taki wyraz z akcentem na trzeciéj od końca dawał spadek jambiczny, każdy paroxyton spadek trochaiczny, albo spondaiczny, czyli inaczéj, że akcenty końcowych wyrazów w wierszach zawsze były równe, albo pro, albo paroxytona, albo téż w strofach artystycznie przeplątywane. Można się tedy było kierować podług akcentu, aby trafić na iloczas i ten zwyczaj przeszedł do wierszowania romańskiego, gdzie już tylko starano się kończyć wiersz równymi akcentami, kiedy iloczasu nie było ni śladu. Z wierszowania romańskiego rozpowszechniła się ta reguła na wierszowanie europejskie.

Streśćmy się: w rytmice starożytnéj nie tyle chodziło o to, aby równe po sobie następowały stopy, lecz aby każda stopa zawierała równą ilość czasów, czyli inaczéj, żeby się opierała wyłącznie na czasie, na podziale czasu. Pojęcie stopy rytmicznéj w starożytności odpowiadało najzupełniéj pojęciu naszego muzycznego taktu. Jak takty są pomiędzy sobą iloczasem równe, tak były i stopy, ale jak muzyk może wartości iloczasowe grupować wewnątrz taktu podług swéj artystycznéj tendencyi, tak postępował muzyk starożytny z iloczasem zgłosek; jak muzyk dzisiejszy może takt zmienić nawet wewnątrz utworu, tak starożytny liryk mógł w środku pieśni zmienić rodzaj stopy. Nasze takty trójdzielne, to starożytne jamby i trocheje, nasze czterodzielne to daktyle, anapesty i amfibrachy. Starożytne akcenta, to nasze melodye, tony. Gdy iloczas znikł z języka, znikły stopy z wierszowania, a równość czasu przeniosła się na cały wiersz, który stało się obowiązkiem kończyć równą kadencyą i zdobić równobrzmieniem. Stosownie do tego wszyscy teoretycy określali ową rytmikę tak przemienioną jako opartą na równości zgłosek w wierszach i na rymie. O akcencie rytmicznym mowy u nich nigdzie nie było i być nie mogło, dopóki wiedzieli, że on tworzy nie rytm, lecz melodyę. Tak też i dzisiaj. Piękność wiersza naszego w znacznéj mierze zależy od ugrupowania akcentów w jego wnętrzu, wiedzmy tylko, że to ugrupowanie ma być i będzie zawsze melodyjne, nie rytmiczne. Nie wątpliwie, że można akcentu użyć jako elementu rytmicznego i przy jego pomocy naśladować stopy starożytne, bo jakże tego zabronić, ale to będzie rytm apokryficzny, naturze akcentu przeciwny. Ztąd to pochodzi, że wiersze w ten sposób naśladujące rytmikę starożytną, układane przez takich wirtuozów jak Klopstock, Voss, Goethe, Schiller, nie przyjęły się w Niemczech, gdzie publiczność czytająca czuła instynktem, że się sprzeciwiają naturze akcentu, choć sobie z tego sprawy zdać nie umia-

ła. Jamby naszych jambistów są niekiedy wielce przyjemne, pod warunkiem, aby ich nie skandować jako jamby, tylko uwydatniać akcenta logiczne, a zarazem melodyjne. W językach nowożytnych stopy naśludujące akcentem rytm starożytny pozostaną zrozumiałemi jedynie dla tych, którym jest znaną starożytna rytmika, jednakże i tacy, gdy zrozumieli, że wygłaszanie starożytnych metrów polegało nie na ikcie, któryby je szpetnemi czynił, lecz na miarowém wyciąganiu długich zgłosek, nawet i tacy, mówię, już mniéj w owych naśladowaniach smakować będą. Nikt też nie zaprzeczy, że najpiękniejszym przekładem, jaki posiadamy ze starożytnéj literatury, jest nie miarowa ale rymowana Odysea Siemieńskiego, przez co jednakże ślicznym przekładom Felicyana, albo Kaszewskiego ubliżać nie chcę. Nie chciałbym też uszczuplać zasług takich pracowników, jak L. Jenike, którzy w każdym razie wartość artystyczną przekładów naszych bardzo podnieśli. Wygłaszając ich jamby, deklamator ma w każdym wierszu cały szereg zgłosek, które podług wyboru melodyjnie uwydatnić może, nie skandując ich ściśle. Podobnie Ifigenii albo Tassa Goethego dobry deklamator w podskokach iktycznych czytać nie będzie, a jednak białe wiersze tych utworów mają znamię staranności, do czego w pewnéj mierze i owe jamby się przyczyniają. Ostatecznie bowiem akcenty jambicznie uporządkowane można uważać jako melodyą falisto podnoszącą się i opadającą.

We wszystkich zasadniczych czynnikach wierszowanie nasze zgadza się z niemieckiém, niemieckie z francuskiém, to znów z rytmiką średniowieczną łacińską, która jest uproszczeniem metrów łacińskich. Z tego wysnuć należy ten wniosek, że młodsze wersyfikacye pochodzą od starszych, że się podług nich wzorowały. Nasze wierszowanie najstarsze, jak je dotąd znamy, opiéra się na rytmice łacińskiéj, obok którego jednakże już w złotym wieku naszéj literatury widzimy wpływ wierszowania włoskiego, a nawet francuskiego, w czasach nowszych niemieckiego. Mimo to wszystko, p. Rowiński stara się wykryć jakąś rytmikę swojską, którąby chętnie chciał odnieść do czasów najdawniejszych, do takich nawet, kiedy u nas prawdopodobnie wierszy wcale nie było. Wnioskuje tak: budowa wierszy naszych jest już w najstarszych naszych zabytkach taką, jaką jest w najnowszych, jest téż w pieśniach ludowych, taką, jak w artystycznych, z czego widzi, że „wersyfikacya polska ma cechę powszechności,“ tém bardziéj, że podobieństwo formy wierszowéj w najdawniejszych naszych przekładach do formy oryginałów łacińskich nie jest, zdaniem jego, zupełne, przy czém ilość zgłosek w wierszach, ilość wierszy

w strofach i rymy uważa za cechy przypadkowe, natomiast umieszczenie akcentów za rzecz zasadniczą.

Wyjaśnijmy to na przykładzie. P. Row. przytacza z ładnéj pracy Bruchnalskiego następne wiersze łacińskiego hymnu:

Vexilla regis prodeunt
Fulget crucis mysterium...

oraz dawne tłomaczenie polskie:

Idą królewskie proporce
Jasne krzyża tajemnice...

i dodaje, że wiersze polskie nie zostały tutaj skopiowane z łacińskiego, gdyż rytm przekładu nie zgadza się z rytmem oryginału, z czego wnosi, że jest osobna rytmika polska, może nawet odwieczna. Polską samodzielność rytmiczną widzi w tém, że gdy łaciński poeta wiersze swe kończy proparoxytonami, polski kończy je paroxytonami. Ależ zkąd miał tłomacz polski wziąć wyrazy z akcencem na trzeciéj od końca, gdy ich język nasz nie posiada? Na takiéj to podstawie opiéra się twierdzenie p. R. o samodzielności rytmiki polskiéj.

Błędność tego zapatrywania jest widoczna, p. R. zasadnicze znamiona spycha na bok, podrzędne na pierwsze stawia miejsce, daje szumną cechę powszechności rzeczy o wiele skromniejszéj. Ponieważ wierszowanie ludowe zgadza się u nas z wierszowaniem artystyczném, to zaś podług zabytków opiéra się na łacińskiém, wynika z tego, że ludowe wzorowało się podług artystycznego, od którego jest młodsze. Wszyscy pisarze, od łacińskich zacząwszy, którzy określali znamiona rytmów przemienionych, kładli nacisk na stałą ilość zgłosek, odpowiadającą takiejże liczbie w metrach i na rym. O akcencie żaden z nich nie mówił, ponieważ wiedzieli że nie jest czynnikiem rytmicznym i zostawiali mu swobodę. Więc jeżeli mógł być swobodny w rytmach łacińskich, francuskich, dla czegóż nie miał nim być w polskich? Ponieważ nasze akcentowanie jest inne niż niemieckie, francuskie lub łacińskie, więc z pewnością akcenty nasze ułożą się w wierszu nieco inaczéj, niż w tamtych językach, czyli inaczéj, melodyjność naszych wierszy będzie nieco odmienna, chyba, że ją umyślnie podług wybranego wzoru ułożymy. P. R. zatrzymał się w pracy swojéj na stanowisku estetyczném, które pod względem naukowym nie wystarcza. Estetyczną wartość wierszowania, w ogóle estetyczne znaczenie literatury, cenię sam bardzo wysoko, wyżéj, aniżeli to czyni dzisiejszy niemiecki alexandrynizm filologiczny; to jednakże nie powinno nas powstrzymywać od przyznania rytmice innéj jeszcze naukowéj doniosłości, od

przeniesienia jéj ze sfery gramatyczno-estetycznéj w dziedzinę historyi literatury, w któréj będzie jedną z najważniejszych części. Dla mnie rytmika jest nauką o formach poetycznych, czyli poetyczną morfologią. Jéj zrozumienie wzmocni w nas ukontentowanie estetyczne, nadto zaś da nam w ręce wątek, przy pomocy którego będziemy mogli zrozumiéć filiacyą utworów literackich w czasach najdawniejszych, będziemy mogli odszukać i początek i kolebkę pierwocin literatury, ich rozwój i rozprzestrzenienie, na podobieństwo naturalistów, którzy umieją na podstawie morfologii znaleść pierwotną ojczyznę i sposób rozprzestrzeniania się gatunków roślin lub zwierząt.

Nie słusznie tedy, sądzę, polemizuje ze mną p. R. (p. 128 n.) o to, „żem na zależność nowszych form metrycznych od metryki starożytnéj zbyt silny położył nacisk.“ Zdaje mi się, żem położył nacisk zbyt słaby, kiedym nie przemówił do jego przekonania. Głównym rzeczowym argumentem jego przeciw mnie jest owo odmienne ułożenie akcentów w wierszowaniu polskiém, o czém już powiedziałem, że temu względowi żadnego krytycznego znaczenia przyznać nie mogę Pozwolę sobie nadto zwrócić uwagę autora na to, że zdaniem mojém (zob. *Essai*) żaden naród nie pozostawia bez zmiany ani form ani treści, przejętéj od innych, tylko je przystosowuje do swego materyału, do sformowanego już poczucia swego i do swoich doówczesnych wyobrażeń. Jeżeli tedy p. R. w tych różnicach widzi samodzielność i rodzimość, to całkowicie przyznaję, że wierszowanie polskie w tymże stopniu jest samodzielne i rodzime, co innych narodów europejskich.

Przedstawię jednę jeszcze stronę sprawy rytmicznéj, aby, jeżeli możebna, przekonać nieuprzedzonych czytelników, że w formach literackich możemy znaleść niezawodne kryteryum historyczne. Wiadomo, że rytmika łacińska pochodzi z greckiéj, w Rzymie jednakże nabrała cech tak odmiennych, że w dalszym ciągu swego rozwoju jedna od drugiéj coraz więcéj odbiegały. Szeroko mówić tutaj o tém nie mogę (zob. *Essai*), powiem tylko tyle, że w Rzymie starano się przedewszystkiém rytmy zamienić na metra, ustalić je raz na zawsze, w Grecyi zaś każdy poeta, zwłaszcza liryczny, tworzył nowe kombinacye rytmiczne do woli. W Rzymie posiadano pewną ograniczoną ilość form lirycznych, w Grecyi stałych form w liryce prawie wcale nie było, natomiast ogromna rozmaitość form indywidualnych. Jaką drogą poszła następnie wersyfikacya w jednéj i drugiéj dziedzinie? Oto na rzymskim obszarze znajdujemy w średnich wiekach rytmikę przemienioną, która trzymała się tych samych co wiek starożytny form wierszowych, odzwierciedlała je ilością sylab, cezurą, zdobiła rymem. Na greckim, czyli byzantyńskim obszarze przemiana inna. I tutaj zarzu-

cono iloczas, licząc tylko sylaby, ale nie upowszechniono rymu. Wiersze w strofach lirycznych są tutaj tak rozmaite, jak za czasów klasycznych, strofy również, tylko że strofy tejże ody, albo hymnu, pomiędzy sobą były równe. Staranności i ugrupowaniu sylab ze względu na jakiś rytm żadnéj, nie z nieudolności, lecz że nie dbali o to. Uwaga ich była skierowana na coś innego, na akcenty. Wyobraźmy więc sobie strofę z siedmiu np. wierszy, z których każdy będzie odmiennéj długości, od 5 do 12 zgłosek. W każdym wierszu rzućmy akcenta podług woli, byle w każdym inaczéj. Tak wygląda strofa byzantyńska. Dodajmy teraz drugą strofę. Ta będzie sobowtórem, czyli kopią pierwszéj: tyleż wierszy, tejże długości, i co dziwniejsza, z tymiż akcentami. To znaczy, że akcenta pierwszego wiersza drugiéj strofy zgadzają się z akcentami pierwszego wiersza pierwszéj strofy, drugiego z drugim, trzeciego z trzecim i tak do końca. Cóż w tych utworach jest rytmicznego? Ponieważ rytmika opiéra się na równych działach czasu, przeto rytmiczną jest tutaj równość strof i równość odpowiadających sobie wierszy w strofach, nic więcéj... Cóż tedy mogą znaczyć owe starannie układane akcenty? Ponieważ akcent jest ziarnem melodyi, przeto akcenta w strofach naznaczają ich śpiew. Naznaczają tembardziéj, że jak wiemy, nasze nuty, czyli znaki muzyczne, pochodzą ze znaków akcentowych. Teraz zrozumiemy, dla czego autorów tych pieśni, a liczy ich literatura byzantyńska około trzystu, nazywano nie rytmikami, jak na zachodzie, lecz melodami, dla tego właśnie, że główna ich uwaga była skierowaną na melodyą. Przypatrzmy się, jaką mogła być ta melodya. Akcenta we wszystkich wierszach téj saméj strofy są ułożone odmiennie, z czego wynika, że w strofie nie powtarzało się żadne zdanie muzyczne, jak to się dzieje w naszych najbardziéj rozpowszechnionych pieśniach, lecz każdy wiersz miał swoje osobne zdanie i strofa dopiéro tworzyła całość. Nie było przedewszystkiém dwu zdań równoległych i zakończenia. Podobną była z tego względu do melodyi najdawniejszych hymnów łacińskich, podobną wreszcie do melodyi Wagnerowskich, czyli inaczéj do melodyi najnowszéj szkoły muzycznéj.

Innych szczegółów uwydatniać nie będę, zwrócę tylko uwagę na to, jak odmienną postać może przybrać rytmika, gdy ma rozwój istotnie samodzielny, rodzimy. Innemi słowy: jeżeli w naszéj rytmice polskiéj znajdujemy taką zgodność zasadniczych czynników z rytmiką zachodnią, jaką rzeczywiście posiada, to ze stanowiska naukowego mówić o prawdziwéj rodzimości nie godzi się, podobnie, jak nie wolno z tegoż powodu mówić o rodzimości rytmiki germańskiéj.

Na zakończenie jedna jeszcze uwaga. P. Rowiński radzi „wier-

szotwórcom“ naszym (p. 150), aby uwzględnili określenie rytmu, jakie podał. Podług niego zaś „rytm jest to pewien ład i porządek, nakładający na mowę rodzaj więzów, lecz zarazem umożliwiający przechowanie jéj w pamięci na dłuższy czas i w wielu umysłach“ (p. 16). Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, domyślić się łatwo, że na takie określenie rytmu zgodzić się nie możemy. Nie zgodzimy się mianowicie na cel, jaki wytyka wierszotwórstwu. Czy wiersz rzeczywiście wypłynął z duszy ludzi w celu mnemonicznym? Prawda, że prawa, maksymy, ubierano w formę wierszową, aby ułatwić ich spamiętanie, ale czyżby taki miał być początek rytmiki? Autor wprawdzie ze mną tutaj nie polemizuje, a jednak stanął w przeciwieństwie względem mego zapatrywania. Podług mnie, najstarszemi zabytkami poezyi są modlitwy, tak przynajmniéj sądzić trzeba z tych dokumentów, jakie mamy. Otóż jeżeli ludzie mowę swoją, zrazu nieudolną, starali się odziać wdziękiem wiersza, rytmu i melodyi, to chyba w tym celu, aby ich pieśń podobała się więcéj ludziom i bogom, aby jednych i drugich głębiéj wzruszyła. To téż nie radziłbym naszym „wierszotwórcom,“ aby rytmy swoje w mnemonicznym układali celu. Jaką treść wybierać mają, radzić im nie będę, jak budować wiersze i strofy sami wiedzą najlepiéj, chodzi tylko o akcenta, jako rzecz sporną. Otóż akcenta należy ustawiać tak, aby wiersz melodyjnym czyniły. Jeżeli wiersze mają nastrój równy, opowiadający, jak w utworach równostychicznych, akcenta mogą stać na równych miejscach, melodya będzie jednostajną. Nastrój odmienny wyrazi się innemi akcentami. Z każdego wiersza, gdy go ogrzejemy gorętszém uczuciem powinna wykwitnąć na prawdę własna jego melodya. Taka była zasada R. Wagnera, który chociaż nauki o akcentach nie badał, ale istotny stosunek melodyi do mowy wieszczą jakoby dywinacyą przeczuł. Gdyby wszyscy poeci byli zarazem muzykami, zniknęłyby, tuszymy, wiersze niemelodyjne z powierzchni ziemi. Czy w tém połączeniu nie leży może przyszłość liryki?

M. Kawczyński.





NOWY ZWROT
WŚRÓD FERMERÓW AMERYKAŃSKICH.

I.

W chwili obecnéj Stany Zjednoczone są widownią ważnych zjawisk społecznych, mogących nam wyjaśnić nie jedną ciemną stronę procesu rozwojowego społeczeństw nowożytnych.

Fermerzy łączą się z potężną partyą roboczą — „rycerzami pracy“, dla wykonania wspólnego ataku na uciążliwy dla nich porządek rzeczy; przeszło 6 milionów zorganizowanéj ludności, niewidziana dotąd siła społeczna, rozpoczyna walkę z „potęgą pieniędzy“, rzuca rękawicę prywatnym monopolom, spekulacyom, kartelom, jedném słowem—całemu nowożytnemu kapitalizmowi.

Jest-to fakt, którego dotąd nie widzieliśmy w dziejach ludzkości. Klasy zajmujące zupełnie odmienne stanowiska ekonomiczne, mające dotąd całkiem różne dążności, pojęcia i ideały, występują w zwartym sojuszu walczących sprzymierzeńców. Średnia i drobna własność, z ciasnym, drobnomieszczańskim poglądem na świat, nie przychylna wielkim kapitalistom tylko z zawiści konkurencyjnéj, ze czcią najwyższą pielęgnująca ideały własności prywatnéj i prywatnego wyzysku, ożywiona jedyną tylko namiętnością—podniesienia swych procentów i renty, naraz objawia dążności nowe; usiłuje podkopać stanowisko swych współzawodników-monopolistów, zagraża jednocześnie własnemu i walcząc o zwiększenie swoich dochodów, widzi się w konieczności przyjąć hasła najemników i stanąć w jednym z nimi szeregu. Indywidualiści do szpiku kości, z umysłem wypiastowanym

w atmosferze purytańskłego dorobkiewiczowstwa, zabarwiają swój sztandar kolektywizmem, znagleni potężnym biczem nowożytnego monopolu.

Ten radykalny zwrot klasy fermerskiéj zaznaczony został urzędownie na kongresie waszyngtońskim 1891 r., a ogłoszony tamże program walki politycznéj, mającéj się odbyć łącznie z „rycerzami pracy" w czasie kampanii wyborczéj 1892 r., zaniepokoił i wzburzył umysły w Stanach Zjednoczonych.

Ażeby zrozumiéć dobrze genezę i znaczenie tego zjawiska, musimy zapoznać się przedewszystkiém z naturą rozwoju gospodarczego Stanów Zjednoczonych.

Nigdzie produkcya kapitalistyczna nie przechodziła tak szybko swych faz rozwojowych i nie doszła do tak zupełnego zawładnięcia całością stosunków gospodarczych — jak w wielkiéj rzeczypospolitéj. Wpłynęły na to przedewszystkiém ogólne warunki właściwe wszystkim koloniom. Pierwsze kapitały, które przybywały tam z Europy w XVI-ym wieku, znajdowały odrazu przyjazny grunt dla szybkiego rozwoju. W koloniach kwitła zupełna wolność ekonomiczna, nie było żadnych pęt feodalnych, monopolów cechowych, ciężarów i ograniczeń państwowych. Kapitał nie potrzebował, jak w Europie, zwalczać przeszkód wynikających ze starych form społecznych, a nie będąc niczém krępowany, mógł z całą swobodą odbywać nieskończony cykl reprodukcyi, rozszerzać zakres działania, doskonalić sposoby fabrykacyi, zajmować najdogodniejsze punkty, przenosić się z łatwością, zmieniać postacie i wszechwładnie panować na rynku miejscowym. To dawało mu ogromną przewagę nad kapitałem europejskim; był śmielszy, energiczniejszy, bardziéj rozzuchwalony. Jeżeli w początkowym okresie produkcya, jaką prowadził, ograniczała się przeważnie do materyałów surowych, dostarczanych przedsiębiorstwom metropolii, był to tylko wynik braku odpowiednich rynków miejscowych.

Nie dość tego; kapitał, mając prawną możność swobodnego rozwoju, miał także z czego czerpać swoje siły żywotne; olbrzymie grunty plantacyjne, kopalnie złota i srebra, cała masa dziewiczych bogactw natury—stały dla niego otworem.

Z drugiéj strony, praca niewolnicza, dziś tak wstrętna dla burżuazyi „humanitarnéj", stanowiła przewyborne narzędzie ciągnienia z robotników nadwartości. Niewolnictwo, którego zniesienie wymagało tyle krwi i deklamacyi filantropijnych, cieszyło się uznaniem ze strony tych samych „humanistów", dopóki zawikłania w produkcyi towarowéj i ciągle rosnący bezład rynkowy nie sprowadził peryodycznych przesileń. Dopiéro wobec tych nowych warunków, niewolnik,

wymagający ciągłéj hodowli, zaczął być ciężarem dla kapitalisty; dopiéro wtenczas rozbudziły się w nim uczucia humanitarne i zamiłowanie do pracy wolnéj, tak łatwo dającéj się przystosować do zmiennéj natury produkcyi.

W początkowych jednak okresach życia kolonialnego, wyciągano z niewolnictwa ogromne zapasy sił żywotnych, dopuszczając się strasznych nadużyć. Tresowanie całych zastępów łapaczy ludzkiego towaru, polowanie nań z psami, gwałty, morderstwa, praca z kajdanami na nogach, wymaganie nadludzkich naprężeń siły roboczéj, wszystko to były środki powszechnie używane w produkcyi nowego świata. W. Howitt, naoczny świadek téj gospodarki, wyraża się o niéj w następujący sposób: „Barbarzyństwa i straszne okrucieństwa, dokonywane przez tak zwane chrześciańskie szczepy we wszystkich częściach świata i ze wszystkimi ludami, które one podbijały, nie mają nic równego sobie w dziejach świata, u żadnéj innéj rasy, chociażby najdzikszéj, najnieokrzesańszéj w najwyższym stopniu niemiłosiernéj i bezwstydnéj“ (*Colonisation and Christanity*).

Taką była jutrzenka kapitału amerykańskiego, jego sielanka młodości; wyszedł on z niéj „cały we krwi od stóp do głowy“, lecz zahartowany, silny, zdatny do potężnego rozwoju.

W miarę tego, jak ginęła tubylcza ludność barbarzyńska, wypierana przez coraz to większe fale emigracyi europejskiéj, tworzył się rynek wewnętrzny, powołując do życia przeróbcze fabrykacye miejscowe, rozwijały się kapitały przemysłowe, już nietylko w zakresie produkcyi surowych materyałów, zależnéj od metropolii, lecz i w samodzielnych przedsiębiorstwach gotowych przedmiotów użytku.

Szybki wzrost techniki wytwórczéj, bogactwo miejscowych materyałów (bawełny, węgla, żelaza i t. d.) sprawiły, że przemysł amerykański nietylko na miejscowym rynku z powodzeniem rugował towary europejskie, lecz i na wszechświatowym zdołał wywalczyć sobie stanowisko poważne.

W okresie od 1825 do 1880 r., kiedy ludność wzrastała w stosunku 1 : 2 : 3 : 4½, bogactwa krajowe rosły w stosunku 1 : 2 : 6 : 11 : 13½ (Stiebeling: *Die wirtschaftliche Entwickelung der Vereinigten Staaten*).

Temu wzrostowi bogactw odpowiadało ciągłe rozszerzanie się przemysłu, liczebny wzrost kapitałów działających w produkcyi. Kiedy jeszcze w r. 1870-ym stosunek pracującéj do całkowitéj ludności kraju przedstawiał się jak 100 : 308, to już w r. 1880-ym był jak 100 : 288. Liczba mężczyzn, zajętych w przemyśle, przez te 10 lat wzrosła o 149%, liczba zaś kobiét o 317%.

Jednocześnie z tém mnożeniem się kapitału i rozszerzaniem zakresu jego działania, odbywał się równie szybko wewnętrzny postęp w organizacyi produkcyi. Rękodzielnicza forma ulegała szybkiemu rozkładowi. Doskonalenie narzędzi pracy, pojawienie się coraz to nowych maszyn i systemów wytwarzania, wywoływały ciągły wzrost produkcyjności pracy; w r. 1870-ym producent wytwarzał przeciętnie wartości za 1,469 dolarów, w r. 1880-ym za 1,798 dolarów, t. j. o 22% więcéj.

Pociągało to za sobą zmiany w organizacyi przemysłu; udoskonalone przedsiębiorstwa, stosujące najnowsze zdobycze wiedzy technicznéj, dążyły do wszechwładztwa na polu produkcyi; maszyna rugowała ręczne warsztaty, nowa maszyna lub nowy system fabrykacyi—rugował stary. Konkurencya między temi różnemi formami produkowania prowadziła z konieczności rzeczy do ciągłego koncentrowania się kapitałów i bogactw. Tylko wielki kapitał mógł posiadać fabryki, maszyny, stosować nowe wynalazki, iść za postępem nauki i wymagań rynkowych; to mu dawało zupełną przewagę nad mniejszymi konkurentami i przywiléj najstosowniejszego. Taniością produktów, reklamą, wielkim zakresem działania, zwyciężały wielkie przedsiębiorstwa, wywołując zjawisko koncentrowania się kapitałów. Biorąc tylko jedno dziesięciolecie, już spostrzegamy ten olbrzymi proces koncentracyi: w r. 1870-ym było warsztatów 252,148 z kapitałem stałym 1,694,567,008 dolarów, t. j. na 1 warsztat — 6,721 dolarów; w r. 1880-ym było warsztatów 253,822, t. j. wzrosło o ½%, z kapitałem stałym 2,790,272,600 dol., t. j. na jeden warsztat — 10,993 dol., czyli o 64% więcéj (Stiebeling). Jeszcze dobitniéj występuje to przy badaniu oddzielnych gałęzi produkcyi. Tak naprzykład, w szewctwie ilość warsztatów zmniejszyła się o 23%, koncentracya kapitałów wzrosła o 81%. W produkcyi narzędzi rolnych, ilość warsztatów zmniejszyła się o 7%, koncentracya kapitałów wzrosła o 138%; w przemyśle stalowym i żelaznym — ilość warsztatów zmniejszyła się o 72%, koncentracya kapitałów wzrosła o 427%. Koncentracya z wielką produkcyą maszynową zagarnęła już prawie wszystkie gałęzie przemysłu; nawet takie, jak szewctwo lub krawiectwo, które w Europie w znacznéj części utrzymują się jeszcze na poziomie drobnego rzemiosła, tam zostały ujęte w systemat fabryczny, są prowadzone przez wielkich przedsiębiorców.

Handel także nie pozostał wolnym od wpływu téj koncentracyi. New-York, Filadelfia, Chicago, posiadają olbrzymie magazyny, obsługiwane przez tysiące subiektów (dom Wanamaker w Filadelfii ma 3,800 urzędników) i po 150 milionów franków rocznego obrotu mające

(jak np. dom Steward w New-Yorku). Nawet piwiarnie, samodzielnie istniejące, są tylko filiami wielkich browarów.

Wyższość scentralizowanego handlu nad drobną rozprzedażą polegająca na potędze reklamy, doborze towarów, wielkich oszczędnościach w kosztach administracyi, personelu, ruchu, grozi bankructwem masie sklepikarzy. Kiedy koszt *brutto* wielkiego handlu wynosi około 5%, drobna rozprzedaż pochłania na koszta przedsiębiorstw 20%, a przytém, koszta te jeszcze wzrastają wskutek braku organizacyi cechującéj wielkie magazyny.

Ciągle wzrastająca przewaga wielkich przedsiębiorstw, postępy techniki wymagające wielkiego zakresu działania, szkodliwe dla przedsiębiorców skutki wzajemnéj konkurencyi i anarchii rynkowéj, wszystko to przyczyniło się do wyłonienia nowych typów gospodarczych — karteli i różnych spekulacyjnych *trustów* handlowych.

Olbrzymie siły społeczno-wytwórcze, które nowsza technika rozwinęła, wymagały nowych odpowiedniejszych form produkcyi, w których by swobodnie poruszać się i wzrastać mogły, wymagały przejścia z indywidualnéj do kooperacyjnéj formy, z pojedyńczych konkurujących ze sobą przedsiębiorstw — do stowarzyszania tych przedsiębiorstw.

Dążności te wystąpiły szczególniéj silnie w ostatnim dziesiątku lat. Najprzód pojawiały się tylko czasowe połączenia kapitalistów w celu utrzymania pewnéj określonéj ceny lub ograniczenia produkcyi. Były to stadya przygotowawcze, wykształcające tylko żywioły téj nowéj rewolucyjnéj siły gospodarczéj. Stopniowo powstawały coraz to bardziéj rozwinięte związki kartelowe, dążące do skupienia w sobie wszystkich procesów produkcyi i obiegu. Kartele surowych materyałów i wyrobów fabrycznych zlewają się w jedną wyższą całość: w rękach jednego zarządu łączy się produkcya dobywająca, przerabiająca i dostarczanie gotowych już przedmiotów użytku bezpośrednio nabywcom. Kartel ruguje klasę pośredników — kupców; zaciera różnicę między wsią a miastem, jednocząc w sobie na podobieństwo starożytnego *oikosu* wszystkie funkcye producentów i pośredników.

Proces kartelizacyi może rozwinąć się jeszcze daléj: prowincyonalne i narodowe związki przedsiębiorców dążą do połączenia się ze związkami innych gałęzi przemysłu; konwencye wewnątrz-państwowe rozszerzają się na między-państwowe; jedném słowem — w procesie kartelizacyjnym nowożytnego kapitalizmu zarysowuje się coraz to wyraźniejsza dążność do zamienienia państwa w jednolity organizm gospodarczy. Jest to dążność czysto techniczna; zobaczymy jednak w dalszym ciągu jak ta techniczna dążność wywołała odpowiednie so-

bie żądania klas społecznych i ze ślepéj siły staje się świadomą, ludzką.

Jak szybko rozwija się forma kartelowa w produkcyi amerykańskiéj sądzić można z ostatnich lat kilku.

W 1888 r. było 21 karteli, w 89 roku — 59, w 90 r. przybywa dwadzieścia kilka nowych. Procesowi temu podlegają coraz to nowsze gałęzie przemysłu. Dzisiaj już takie przedsiębiorstwa jak żelaza, stali, narzędzi i maszyn rolniczych, papieru, soli, nafty, cukru, oleju, wyrobów szklanych, gazu i wiele innych, zostały skartelizowane.

W ostatnich czasach pojawiają się nowsze: kartele kolei żelaznych, żeglugi parowéj (konwencya amerykańsko-europejska komunikacyi oceanowéj), kartele przedsiębiorstw krochmalnianych, skórnych, gumowych, pończoszniczych, granitowych, kartele wielkich młynów, browarów, kopalni węgla, fabryk tytoniowych i t. d.

Ażeby zrozumiéć zasadnicze cechy tych nowych przedsiębiorstw kartelowych i ocenić ich doniosłość rewolucyjną w dzisiejszéj produkcyi, weźmy dla przykładu kartel naftowy. Produkuje on $^3/_4$ nafty amerykańskiéj; kraj cały uważa za swój rynek, którego potrzeby z góry określa i zaspakaja. Prowadząc zorganizowaną i racyonalną produkcyę — usuwa wszelką niepewność sprzedaży, uniemożliwia pojawianie się kryzysów rynkowych dla swoich wytworów. Posiada on olbrzymie grunta ze źródłami nafty, rafinerye i własne magazyny sprzedaży cząstkowéj rozrzucone po całym kraju. Ogólny zarząd prowadzi wszystkie czynności, a wszelkie ulepszenia techniczne zostają natychmiast wprowadzane do zakładów kartelu.

Taka organizacya przedsiębiorstwa podkopuje zasadnicze cechy gospodarki kapitalistycznéj. Na miejsce chaosu rynkowego, walki konkurencyjnéj, bezładnéj produkcyi wpadającéj peryodycznie w przesilenia, przedsiębiorstw podzielonych między różne kategorye nieprzychylnych sobie producentów (właścicieli ziemskich, fabrykantów, kupców), kartele wprowadzają nowe, nieznane dotąd czynniki. Produkcya z góry określona, zastosowaną zostaje do rzeczywistych potrzeb rynku; ceny są określone; wszystkie fazy przedsiębiorstwa (dobywanie materyałów surowych, przeróbka ich i sprzedaż) ześrodkowane w jednym zarządzie. Racyonalizm gospodarczy, zniesienie swobodnéj konkurencyi, wyrugowanie pośredników-kupców, zcentralizowana jednolitość produkcyi narodowéj — oto są dążności występujące coraz silniéj w rozwijającym się ruchu kartelizacyjnym. Dążności te, wprowadzając na miejsce bezmyślnych zapasów indywidualnych — zorganizowaną współdzielczość sił produkcyjnych, têm samém przekształcają życie społeczne i niszczą podstawy kapitalizmu.

Są to, jak zaznaczyliśmy wyżéj, dążności nieświadome, dążności rzeczowéj ewolucyi, wypływającéj z postępów techniki gospodarczéj i niezliczonéj masy różnych antagonizmów i zawikłań, jakie cechują dzisiejsze życie społeczne.

Lecz ta nieświadoma siła niszcząca powołuje do życia inne. Przedsiębiorstwa kartelowe są monopolem wielkich kapitalistów, a istniejąc w téj formie tyranizują swoim uciskiem wszystkie inne klasy społeczne. Za pomocą swéjześrodkowanéj gospodarki, umożliwiającéj stosowanie wszelkich wynalazków technicznych i ulepszeń w systemach fabrykacyi, podnoszą one w niebywałym stosunku wytwórczość pracy ludzkiéj, czyniąc przez to zbyteczną całą masę dotąd zajętych rąk roboczych. Skutkiem tego klasa robotnicza przechodzi okres wielkiéj doniosłości społecznéj. Wyrzucane na bruk masy najmitów zwiększają ciągle zapasową armię proletaryatu — specyalny rodzaj poszukującego pracy włóczęgostwa; zależnie zaś od tego przekształcają się pojęcia i bojowe stanowisko najmitów, pierzchają ich nadzieje osiągnięcia dobrobytu na gruncie istniejącego ustroju, wszczepiają się coraz silniéj ideały nowego porządku. W taki sposób nieświadoma siła, nurtująca w postaci procesu kartelizacyjnego dzisiejszą produkcyę, wywołuje i rozwija siłę świadomą — ludzką [1]).

Oddziaływanie tego nowożytnego kapitalizmu na klasę najemniczą przejawia się jaskrawo w Stanach Zjednoczonych. Wytworzył on d w u - m i l i o n o w y tłum t. z. włóczęgów bez zajęcia, którego jeszcze w 1860 r. nie było ani śladu; przytém, przyczynił się w znacznéj części do rozszerzenia wpływu socyalno-demokratycznych partyi na proletaryat amerykański.

Jaki jest ostateczny wynik ekonomiczny tego ewolucyjnego procesu w gospodarstwie społecznem, poucza nas krótka i jasna tablica, zamieszczona w kalendarzu „National Economist,“ z zapytaniem „kto posiada kraj“ (oceniony w ogólnéj sumie bogactw wyrażonych dolarami):

200	osób	posiada	wartość	4,000,000,000	dolarów
400	„	„	„	4,000,000,000	„
1,000	„	„	„	5,000,000,000	„
2,500	„	„	„	6,250,000,000	„
7,000	„	„	„	7,000,000,000	„
20,000	„	„	„	10,000,000,000	„
31,100	osób	posiada	wartość	36,250,000,000	dolarów.

[1]) Nie twierdzimy jednak, że to są jedyne czynniki téj ewolucyi psychicznéj.

Innemi słowy: $^3/_5$ całkowitego majątku Stanów Zjed. (wynoszącego 60 miliardów dolarów) jest w ręku $^{20}/_{100}$ części narodu.

Zobaczmy teraz jak ten rozwój ekonomiczny oddziaływa na klasę fermerów i jaką drogą doprowadził ją do zajęcia razem z proletaryatem stanowiska rewolucyjnego.

II.

Przewrotowa rola wielkiego kapitału nie ograniczyła się tylko do sfery przemysłu Zmiany, jakich on dokonał w rolnictwie, mają tém doniośléjsze znaczenie, że wyjaśniają stanowisko i położenie fermerów.

Proces koncentracyi, odbywający się w rolnictwie, wytworzył właśnie te warunki, które zgnębiwszy ostatecznie tę klasę, zepchnęły ją raz na zawsze z drogi zachowawczéj, po któréj iść usiłowała. Wskutek zmiennéj polityki państwowéj rozwój jéj odbywał się mniéj jednostajnie i szybko, i nie zagarnął produkcyi rolnéj tak całkowicie jak przemysłową. Raz protegowany przez państwo szafowaniem ziemi kompaniom kolejowym, to znowu tamowany tworzeniem *homesteadów*, zdołał on jednak doprowadzić do tego stopnia wielkie kapitały rolne, że mogły dyktować swoje prawa całemu rynkowi i rujnować rolną gospodarkę europejską.

Dla przykładu, jak szybko postępowała koncentracya w rolnictwie, weźmy okres 1870 – 80.

W dziesięciolecie tém ubyło: ferm 3 akrowych 37%, ferm 3—10 akrowych 22%, ferm 10—20 akrowych 14%, ferm 20—50 akrowych 8%.

Ogółem mniejsze fermy straciły przez te dziesięć lat — 11% ziemi; przytém zauważyć łatwo, że najmniejsze fermy największéj uległy redukcyi.

W tym samym okresie czasu, wielkie fermy wzrastały w następującym stosunku: fermy 50—100 akrowe wzrosły o 37%, fermy 100—500 akrowe — o 200%; fermy 500—1000 akrowe — o 378%; fermy większe niż 1000 akrowe — o 668%. (Stiebeling). Ogółem więc, większe fermy powiększyły swą przestrzeń o 112%, przyczém, najbardziéj wzrosły największe fermy.

Proces ten odbywał się drogą zwykłéj walki rynkowéj. Wielkie kapitały rolne stosując do gospodarstwa najnowszą wiedzę rolniczą, produkując przy pomocy maszyn i kooperacyjnego systemu pracy olbrzymie masy taniego towaru, wszędzie wychodziły zwycięsko. Złote czasy kilkusetakrowych właścicieli minęły bezpowrotnie. Do walki

z nimi stanęli tacy potentaci ziemscy jak markiz Tweeddal posiadający 1,700,000 akrów, Byron H. Evan — 700 tys. akrów, ks. Sutherland 425 tys. akr., Wilhelm Whalley — 310 tys. akr., Robert Tenant — 230 tys. akr., Ellerhausen — 600 tys. akr. i inni.

Dawniéj fermer, posiadając 500 akrów, mógł zbierać kapitały na tym kawałku ziemi, a na starość, jako dostatni rentier, usuwał się do pobliskiego miasta i uciułany grosz wypożyczał na różne dobre interesy. Teraz wypiera go zewsząd wielka kapitalistyczna ferma, zalewając wszystkie rynki masami swéj taniéj bawełny i pszenicy.

Jako typ takiéj postępowéj fermy może służyć np. folwark koło miasta Casseltona położony, mający 30 tys. akrów. Przy żniwie jest tam zatrudnionych 400 robotników, przy włóczeniu 5—600 ludzi; folwark używa 250 par koni i mułów, 250 pługów, 115 żniwiarek i 27 młócarni parowych. Zbiór wyniósł 20 buszli z jednego akra czyli 600 tysięcy buszli ogółem, a dochód czysty — 300 tys. dol. Wszelkie najnowsze zdobycze wiedzy agronomicznéj i techniki rolnéj, mają tu zastosowanie; gospodarstwo przybiera charakter wielkiéj fabryki rolnéj.

Lecz proces rozwojowy nie zatrzymał się na takim typie folwarku. Zjawia się dążność do zniesienia wzajemnéj konkurencyi, określenia cen i zupełnego zmonopolizowania rynku dla wielkich kapitałów. Powstają syndykaty rolne.

Związek przedsiębiorców opanowuje rolnictwo podobnież jak produkcyą fabryczną. Towarzystwa kolejowe posiadają 100 milionów akrów ziemi, centralizując w swym ręku produkcyę i handel zbożowy. Syndykat angielski № 3 w Texas ma 3 miliony akrów; holenderskie towarzystwo rolne w Nowym Mexyku — 4,500,000 akrów; angielski syndykat w Mississipi — 1,800,000 akrów; niemiecki syndykat rolny— milion akrów; brytańskie towarzystwo rolne w Kanzas — 320,000 akrów; szkocki syndykat we Florydzie — 500 tys. akrów; missuryjska kompania rolna — 165 tys. akrów, i wiele innych, posiadających setki tysięcy akrów.

Olbrzymie składy z elewatorami przerzucającemi na godzinę 8,000 buszli z kolei na okręt; młyny ze stalowemi wałami, mielące w przeciągu dnia taką ilość mąki, jaką duży młyn europejski z żarnami kamiennemi zmełłby zaledwie w ciągu całego roku; własne agentury handlowe, odnogi kolei żelaznych, gospodarstwo maszynowe, racyonalna kultura ziemi, wszystko to zapewnia syndykatom i towarzystwom rolnym zupełny monopol rynkowy, pozwala im ustanawiać ceny zboża, niszczyć wszelką konkurencyę i dyktować prawa zgodnie z interesami wielkiego kapitału.

Wobec takich olbrzymów, jak mogli poradzić sobie fermerzy? Zanim zdołali wyprodukować i zawieść płody swych ferm kilkusetakrowych, już zastawali rynek przepełniony tanią przenicą, bawełną i t. d. syndykatów i towarzystw kolejowych; a przytém, agentury syndykalne, młyny, elewatory, koleje żelazne, gniotły ich wysokiemi cenami, często nawet bez ceremonii rugując ich towary ze sfery wymiennéj.

Jednocześnie odbywał się inny proces. Monopol wielkiego kapitału doprowadził rynek zbożowy do przesilenia. Ogromny wzrost produkcyjności pracy i wydajności gruntów [1]) — wzrost spowodowany rozwojem wielkich zcentralizowanych przedsiębiorstw, wytworzył dwa, wzajemnie na siebie działające zjawiska. Z jednéj strony, rynek przepełnił się niezmierną ilością pszenicy, bawełny i t. d.; z drugiéj—zwiększyła się niepomiernie liczba zbytecznych rąk roboczych, wypartych przez centralizacyę i ulepszenia techniczne. Wyrzucony na bruk przez kartele 2-milionowy tłum włóczęgów utracił zdolność nabywczą; odpowiednio do tego zacieśnił się i rynek miejscowy. To samo odbyło się i na światowym rynku; europejska centralizacya przemysłowa, mnożące się kartele, niezależnie od tego pojawiające się przesilenia, wszystko to wyrzucało coraz to większe masy proletaryuszów, nikomu niepotrzebnych i nic kupować nie mogących. Doszło więc do tego, że wobec milionowych mas głodnych, przenica amerykańska nadaremnie wyczekiwała nabywców. Wielki kapitał doszedł do absurdu: wszystko zrobił żeby jak najtaniéj i jak najwięcéj wytworzyć, a jednocześnie wyrzucił nabywców z rynku.

Tym sposobem zjawił się obecny kryzys rolny. Ceny ferm w przeciągu ostatnich lat 10 spadły o $1/3$; wywóz zboża, bydła, trzody, baranów, zmniejszył się w zatrważający sposób. Wywożono zboża w 1881 r. za 730 milionów dolar., 1882 r. za 500 milj. dolarów. W 1879 r, wy-

---

[1]) Według Lafargue'a wzrost produkcyjności pracy rolnéj w Ameryce przedstawia się tak:

1849 r. — ilość wyprodukowanego zboża, przypadająca na jednego mieszkańca wynosiła 1 hektol. 52; 1859 r. — 1 hekt. 93; w 1869 r. — 2 hekt. 46; a w 1879 r. — 3 hekt. 24; t. j. w ciągu 30 lat ilość zboża przypadająca na każdego mieszkańca wzrosła o 115%. R. Meyer — oblicza w następujący sposób wzrost produkcyjności pracy w okresie 1870—1880. Ilość produktów rolnych wytworzonych przez jednego robotnika wynosiła w buszlach:

	1870 r.	1880 r.	wzrost
zboże i jarzyny	262	378	44%
wełna i bawełna	261	381	46%
tytoń	44	61	28%
hodowla bydła	—	—	18%

wieziono 79,129 świń wartości 700,262 dol. i 251,000 baranów wartości 1,082,000 dol. Zaś w 1888 r. wywieziono 23,755 świń wartości 193,017 dol. i 143,000 baranów wartości 208,490 dol. Jednocześnie spadły ogromnie ceny zboża: miarę kukurydzy w 1861 r. ceniono 63 cent. w 1888 r. — 38 cent.; miarę pszenicy w 1879 r. — 110 cen., w 1888 r. — 87; miarę owsa w 1867 — 61, w 1888 r. — 33 cent.

Porównywając okres od 1867—1887 r. widzimy jak olbrzymi kryzys rolny rozwinął się w ciągu tego czasu: w 1867 r. 65 milj. akrów uprawnych dawało 1284 milj. dolarów dochodu, zaś w 1887 r. — 141 milj. akrów uprawnych dawało tylko 1204 milj. dol. dochodu, i to pomimo wzrostu techniki rolnéj i postępów stosowanéj agronomii.

Taki stan rzeczy podkopał zupełnie podstawy dotychczasowego dobrobytu fermera. Wielcy monopoliści zagrodzili mu drogę do rynku, kryzys obniżył wartość jego ziemi i zmniejszył dochody; towarzystwa kolejowe będąc zarazem wielkimi właścicielami ziemskimi, rujnują go wysokiemi cenami przewozu; syndykalne młyny i elewatory zdzierają zeń znaczną część wartości dostarczanych płodów. Oprócz tego wszystkiego, napotyka on jeszcze olbrzymie stowarzyszenia spekulantów, które zniszczyły konkurencyę i zmawiają się by kupić zboże lub bydło za najniższą cenę. Taki np. trust „*big four*“ — trust „czterech olbrzymów,“ czterech głównych rzeźników bydła w Chicago, zmonopolizował sobie sprzedaż mięsa w ośmiu stanach; za bydlę które w 1882 r. płaciło się 35 dolarów, w 1890 r. płaci 11 dolarów; hodowcy i spożywcy są od nich zależni; płacą jak chcą mało i jak chcą drogo sprzedają.

Takie położenie fermerów zostało nawet urzędownie stwierdzoném. Odezwa departamentu rolnictwa w Waszyngtonie mówi: „Jedna z przyczyn zniżenia się cen tkwi w koalicyach przedsiębiorców transportu i spekulantów handlowych, którzy zmawiają się, aby zagarnąć sobie lwią część tego dochodu, jaki przynosi sprzedaż płodów fermy. Dlatego téż hodowcy otrzymują dzisiaj ze swych wołów zaledwie $^7/_{10}$ lub $^3/_4$ téj ceny, jaką otrzymywali przed laty, kiedy mięso w detalicznym handlu sprzedawane jest po najwyższych cenach, jakich tylko dosięgło w ostatnich 20 latach. Mléko kupione w fermach po cenie 300 za ćwierć miary, jest sprzedawaném spożywcom newyorkskim po 800“.

Wobec tych trustów fermer jest zupełnie bezsilny; wyzyskiwany na tém co kupuje i na tém co sprzedaje, gnieciony przez potężnych monopolistów, ledwie koniec z końcem związać potrafi. Sprzedając, musi przejść przez cały czyściec wyzysku kolei, elewatorów, trustów handlowych, żeby w końcu spotkać niezwyciężonych współzawodników

i znaleść rynek zawalony taniemi ich płodami. Kupując, spotyka się z podwyższonemi cenami kartelowych towarów; musi drożéj płacić za cukier, naftę, narzędzia rolnicze i t. d. dzięki różnym *sugar trust*, *standart oil trust*, i tym podobnym potęgom. Jedném słowém — gdziekolwiek się tylko fermer ruszy, jakąbądź czynność wykonywa, jako sprzedawca czy jako nabywca, wszędzie jakiś trust lub kartel przyciska go do muru potężnemi rękoma, drwi z niego, szydzi z gbura, co własnoręczną pracą dorobiwszy się majątku, chce wedrzéć się na wyżyny kapitalizmu. Chłopem byłeś w chłopa się obrócisz, — mówi mu wielki kapitał; — przywędrowałeś tu mając tylko siekierę, parę rąk żylastych i energię; z pomocą państwa zyskałeś swoje 200 akrów i w naiwności sądziłeś, że ci się uda uzreczywistnić robinsonowską sielankę ideologów, że ty — mieszkaniec zagrody, zapanujesz nad całą produkcyą, a twoje głupie oszczędności rozwiną się w kapitały. Czas jednak, abyś się rozczarował, czas, abyś się przekonał, że dla takich jak ty, nie ma miejsca w świątyni pieniędzy, że twój z pracy poczęty kapitalik nie ma innéj przyszłości jak grzęznąć w długach hypotecznych lub prowadzić marny żywot w chałupie *homesteadu*.

I rzeczywiście, co ma począć fermer osaczony przez tak potężnych wrogów? Co ma począć właściciel 200—500 akrów ziemi, wobec zastoju rynkowego i drapiestwa spekulantów zewsząd nań czyhających?

W trudnéj walce z monopolistami zwalił na siebie cały ciężar hypoteki. Jeszcze za dobrych czasów zaciągnął pożyczki na kupno bydła, maszyn, na rozszerzenie gruntów, zwiększenie budynków. W czasach gorszych znowu zapożyczał — dla płacenia procentów. Dług stał się olbrzymi. Ankieta 1887 i 88 r. podaje: w stanie Ohio dług hypoteczny wynosił 36 mili. dol.; w st. Indiana — 26 mili. dol.; w st. Illinois — 147 mili. dol.; w st. Michigan z 90,803 ferm, było 43,079 ferm obciążonych hypotecznie na 46% swéj wartości; w Kanzas — 270,000 ferm miało 140 mili. dol. długu hypotecznego. W r. 1889 dług hypopoteczny fermerów w Stanach Zjednoczonych wynosił 3,450,000,000 dolarów.

W jakim stosunku interesy te pogarszają się można ztąd sądzić, że w Illinois długi hypoteczne, wynoszące w 1887 r. — 147 mili. dol., z końcem 89 r. — powiększyły się o całe 10 milionów.

Zamożna klasa fermerów, ta niegdyś chluba kraju, duma amerykańskiego patryotyzmu, staje się coraz to bardziéj marą przeszłości. Kwitnące fermy, dostatnie i wzorowe gospodarstwa średnich właścicieli, prowadzone z taką, prawdziwie chłopską, zapobiegliwością i umiłowaniem, gospodarstwa co w taki zachwyt wprawiały Careyów,

Millów, pozwalając im rozwijać najbardziéj różowe nadzieje, wszystko to pierzcha teraz jak senne marzenie, niszczone potężną pięścią monopolistów.

Z całéj klasy fermerów zostanie to tylko, co zdołało się schronić pod opiekę państwową, wcisnąć się w ramki *homesteadów*. Zostaną więc 200 akrowe fermy, z dwiema parami wołów roboczych, z pięciu dojnemi krowami, wozem, 20 owcami i 12 świniami — prawnie określony, niepodzielny i nieulegający obdłużeniu *homestead*.

Lecz dla fermera amerykańskiego, z wymaganiami wyższéj kultury, taka zagroda jest nędzą prawie, a tém bardziéj w warunkach obecnych, ściśnięta wielkiemi monopolami, wyrzucona z rynku, prześladowana na każdym kroku przez różne kartele i trusty. Ciężka praca, proste jedzenie, odmawianie sobie wielu rzeczy, niemożność zaspokojenia umysłowych i kulturalnych potrzeb, zapewniony do śmierci dach nad głową i kawałek chłopskiego chleba -- to są jedyne przywileje właściciela osady.

Fermer życie takie odpycha ze wstrętem; wymagania jego i ambicya sięgają znacznie daléj; w skorupie drobnéj własności — on, potomek awanturniczych przodków, zamknąć się nie może i nie chce.

Bankrutujący, przeciążony długami, zgnębiony przez wielki kapitał, nie pozbywa się jednak marzeń o lepszéj przyszłości, i zamiast pogodzić się z losem właściciela zagrody, chwyta się wszelkich środków, aby stanąć na wyżynach rentierskiego dobrobytu, aby się nie dać pożreć ostatecznie kartelowemu smokowi.

W takich to warunkach fermerzy amerykańscy rozpoczęli swoją walkę obronną, która z konieczności musiała doprowadzić do obecnego ataku i zrewolucyonizować zachowawczą dotąd klasę społeczną.

III.

Czém jest amerykańskie fermerstwo?

Ażeby ocenić należycie to stanowisko bojowe, jakie dzisiaj fermerzy zajęli, musimy poznać ich d u s z ę k l a s o w ą i tę ewolucyę, która się odbyła pod działaniem otaczającego środowiska ekonomicznego.

Fermerów amerykańskich, a przynajmniéj téj ich części, która występuje w chwili obecnéj do walki, nie można przyrównać w zupełności do klasy drobnych posiadaczy żadnego kraju europejskiego. Ubiegłe pokolenia przodków nie przekazały mu feodalnéj poddańczości, pokory, zaparcia się samego siebie, cierpliwego znoszenia razów, nie przekazały mu przygnębionéj duszy chłopa pańszczyźnianego. Klasa ta wytworzyła się tym wielkim doborem psychicznym charakterów

awanturniczych, odważnych, umysłów inteligentniejszych i niepodległych, które prąd emigracyjny ciągle przynosił z za oceanu. W tradycyi swojéj posiada borykanie się z dziką naturą, walkę polityczną o prawa człowieka i obywatela, namiętne uganianie się za bogactwem w czasach, kiedy to jeszcze fizyczna siła mięśni i bystrość umysłu miały w tém wielkie znaczenie. Dziedziczne te cechy przechowały się w duszy fermera. W chłopskiéj zagrodzie jest mu za ciasno. Nie umié on poprzestać na małém, zadowolnić się prostym kawałkiem chleba, pozbyć się swych urojeń i pretensyi do bogactw. Szeroki rynek, wielkie spekulacye finansowe, dostatek mogący zaspokoić wyższe potrzeby kulturalne, ciągną go i mamią ku sobie. Świetna a nie zbyt jeszcze dawna przeszłość zamożności rentierskiéj, którą dobrze pamięta, nie daje mu zasnąć spokojnie, podbudza jego dumę i hardość, popycha do ciągłego borykania się z ruiną, do ciągłéj walki z napastującymi wrogami.

Psychicznie, fermer przedstawia typ kapitalisty w miniaturze, goniącego ustawicznie za zyskiem, rzucającego się odważnie na wszystkie spekulacye hazardowne. Ze swego stanowiska ekonomicznego podobnym on jest raczéj do bankrutującego szlachcica polskiego niż do jakiegokolwiek europejskiego chłopa.

Najczęstszy typ jego folwarku przedstawia obszar od 100 do 500 akrów ziemi urodzajnéj, dostatnio zaopatrzony w bydło i narzędzia rolnicze; ferm takich liczy się przeszło półtora miliona; stanowią one główne jądro armii fermerskiéj. Stojąc na takiém stanowisku społeczném, nie doznaje on nędzy, nie potrzebuje walczyć z głodem i niedostatkiem, nie jest pognębiony ciężką pracą rąk własnych. Lecz właśnie, ten względny dobrobyt wyhodował w nim wyższe wymagania kulturalne, to jego stanowisko rentierskie rozwija w nim żądze kapitalistyczne, napełnia serce zazdrością względem tych, co się wdarli na wyżyny potęgi finansowéj.

„Kryzys rolniczy, mówi Owens — przedstawiciel fermerów, jest przedewszystkiém kryzysem moralnym; fermer zdobywa środki utrzymania dla siebie i dla swojéj rodziny; nędzy bynajmniéj nie doznaje, lecz żali się, że nie ma należnego sobie udziału w bogactwach krajowych. Chce on także stać się kapitalistą. Do r. 1870 fermer nie tylko zdobywał całkowicie środki utrzymania, lecz mógł jeszcze odkładać pieniądze; między 50 a 55 rokiem życia usuwał się on do najbliższego miasta i tam żył ze swojéj renty. Oszczędności swoje wypożyczał na piękne interesy. Wtenczas nie żalił się na wygórowaną stopę procentów. Teraz nie ma już mowy o utrzymywaniu się z renty. Fermer żyje dobrze, lecz mu to nie wystarcza. Nie

porównywa on swego położenia do robotników miejskich, lecz do położenia wielkich kapitalistów, wzbogaconych przemysłem, wielkim handlem i różnemi spekulacyami".

Wraz z tą żądzą zysku, rozwinęła się u fermera i cała dusza kapitalisty, odpowiedni świat pojęć i ideałów. Nie znosi on żadnéj zaściankowości, prowincyonalnego separatyzmu, narodowości, zamkniętéj w granicach jednéj jakiéjś rasy, grupy językowéj, lub okolicy; patryotyzm pojmuje po kupiecku, jak człowiek, potrzebujący wielkiego rynku i słynnéj firmy, pyszni się wielkością narodu i potęgą państwa, do którego należy. Antagonizmy i walki między pracą a kapitałem, uważa on za rzeczy szkodliwe, nieprawnie krępujące swobodny rozwój bogactw; również potępia „egoistyczne" dążenia klasy robotniczéj do osiągnięcia płacy wyższéj. „Chcemy widziéć zgodę między pracą a kapitałem"; „jesteśmy przeciwnikami wysokich płac roboczych", mówi platforma związku fermerskiego. Z tém przystosowaniem się do interesów kapitału łączy się tam uwielbienie dla jego potęgi, uwielbienie dla rzeczy upragnionéj a niedostępnéj; łączy się zazdrość względem tych szczęśliwców, którzy ją posiąść zdołali.

Dlatego tylko fermerzy są przeciwnikami monopolistów. Wyzysk i zdzierstwa, jakich się dopuszczają ci królowie przemysłu, rozbój rynkowy, ujarzmienie całego kraju, oburzają ich z powodu zazdrości, że te wszystkie wielkie dochody wpływają nie do ich kieszeni; jeżeli stają do walki z potęgą pieniędzy, to nie dlatego żeby w swym mózgu nosili jakąś nową budowę społeczną, nie z fanatyzmu dla nowych haseł i ideałów, lecz aby ratować swe interesy rentierskie.

Względem towarzystw kolejowych zachowują się wrogo. „Kompanie kolejowe—mówi Owens—przedstawiają kapitał 9,680,942,249 dolarów; jest to haracz roczny, który nasi producenci muszą płacić bandzie chytrych łotrów.

Wielu z naszych fermerów wierzy i sądzi, że gdyby rząd chciał im pożyczyć najwyżéj 1 miliard dol. na procent nie zbyt wysoki, to zniknęłyby odrazu, jakby pod działaniem zaklęcia, wszystkie ich kłopoty, niedomagania i troski. Témbardziéj więc, co za dobrodziejstwo byłoby dla ludu, gdyby został on oswobodzony od płacenia co każde 2 lata takiéjże sumy garstce plutokratów. Trzydzieści lat temu, okrzykiem uczciwych ludzi, dobrych chrześcian, było: posiadanie człowieka przez człowieka jest rzeczą podłą, na Boga, trzeba żeby się to skończyło! Dzisiaj ciż sami ludzie wykrzykują całemi milionami: nagromadzanie kapitałów przez monopolistów jest nieuczciwém, na Boga, trzeba, żeby się to skończyło!"

Platforma związku *„Grange"* odzywa się w ten sposób: „Jeste-

śmy przeciwnikami wszelkiego przedsiębiorstwa lub korporacyi, któréj zadanie i kierunek dążą do uciskania ludu, do wydziedziczenia go z jego słusznych dochodów i zysków. Nie jesteśmy wrogami kapitału, lecz sprzeciwiamy się tyranii monopolu".

Takie jest świadome stanowisko społeczne fermerów.

Nowożytny, kartelowo-monopolistyczny kapitalizm uważają oni za chybiony, nieprawy i szkodliwy płód kapitalizmu, za chorobliwą narośl na zdrowém ciele społeczném, któréj wycięcie uważają za swój obowiązek. W tém tkwi właśnie cała ich omyłka. Wyższy stopień rozwoju uważając za patologiczny objaw, usiłują cofnąć wstecz wielką ewolucyą społeczną. Usiłując cofnąć, przyśpieszają tylko bardziéj jéj bieg postępowy. Starając się uzdrowić organizm kapitalistyczny, niszczą go do szczętu.

Na tém zasadza się właśnie dwulicowość ich stanowiska. Świadomi zachowawcy są jednocześnie nieświadomymi burzycielami.

Rozwój jednak ich duszy klasowéj wzrósł jeszcze daléj i nieświadomy dotychczas rewolucyonizm fermerów zaczyna wkradać się w ich umysły.

Przyjrzyjmy się temu rozwojowi.

IV.

Pod naciskiem wielkich monopolów odbywa klasa fermerów swoją pierwszą metamorfozę. Z bezładnego tłumu niechętnie patrzących na siebie indywidualistów, przekształca się ona w sforną, zorganizowaną potęgę. Fermerzy łączą się w związki, aby kupować, wytwarzać i sprzedawać wspólnie. Bicz wielkiéj produkcyi kartelowéj stał się dla nich bodźcem postępu, zmusił ich do wstąpienia w kooperacyjne formy gospodarcze. Rozwój tych związków fermerskich odbywa się niezwyczajnie szybko. Czuć w tém gorączkowe życie ludzi ratujących się od śmierci.

W r. 1867 powstaje pierwszy związek fermerski *„Grange"*; z początku liczy on tylko kilku członków; w 2 lata późniéj obejmuje 200 związków; w 1872 r. istnieje już 1074 związków, zajmujących połowę Stanów Zjednoczonych; w r. 1873 liczba ich wynosi 8,668; późniéj — 11,943, wreszcie 20,000 związków, rozrzuconych w całém państwie. Licząc przeciętnie po 40 członków na jeden związek, stanowi to 800,000 ludzi, zorganizowanych w *„National Grange"*. Jest to najstarszy związek fermerski.

Obok niego powstały inne: *„The Farmers Mutual Benefit Association"*, liczące pół miliona członków, z główną siedzibą w stanie

Illinois; „*National Colored Farmers Alliance*“ organizacya południowa, licząca milion członków, wyłącznie murzynów, z główną siedzibą w stanie Texas; wreszcie najmłodsza — „*National Farmers Alliance*“ licząca 3,250,000 członków, rozpostarta po wszystkich Stanach, z główną siedzibą w Waszyngtonie; posiada ona 50 pism swoich; główny jéj organ „*National Economist*“ rozchodzi się w liczbie 100,000 egzemplarzy. Organizacya „*Farmers Alliance*“ jest silnie zcentralizowana. Wszystkie miejscowe związki są zależne od centralnego zarządu danego hrabstwa; związki wszystkich hrabstw każdego stanu są zależne od centralnego zarządu tego stanu, wszystkie zaś związki stanów, od narodowego związku. „*Farmers Alliance*“ uważa się za tajną organizacyę.

W związki fermerskie może wstępować każdy należący do ludności wiejskiéj, zarówno kobiéty jak i mężczyźni—od 16 roku życia. Związki nie przyjmują na członków: kupców, bankierów, komisyonerów handlowych, służących przy kolejach, adwokatów, lekarzy i nauczycieli i księży miejskich, rolnych agentów i spekulantów, kupców wędrownych, zbierających podpisy na jakiebądź przedsiębiorstwa, trzymających konie do wynajęcia, sklepikarzy i t. d. Jedném słowém, wszystkich tych „których osobiste interesy nie harmonizują z interesami klasy fermerów“. Natomiast, tacy ludzie jak wydawcy gazet rolniczych (nie specyalnych), wiejscy księża, lekarze, rzemieślnicy, nauczyciele szkół wiejskich, są przyjmowani do związków. 10% członków są w wieku 16—21 lat. 15% stanowią kobiéty. Taki jest skład organizacyi fermerskich.

W ich życiu społeczném rózróżnić możemy dwa główne okresy. Pierwszy zaznacza się ekonomiczną samopomocą, pokojowością, zupełném zaniedbywaniem polityki i hasłami miłosiernego humanizmu. Jest to okres, w którym klasa fermerów odbywa swoją pierwszą, psychiczną i socyalną metamorfozę: uspołecznia się, uczy się solidarności i wspólnego działania, stara się zniszczyć egoizm osobnikowy, a dotychczasowe pożeranie się wzajemne, gospodarczy indywidualizm, pasowanie się z losem, odosobnionych, własnym siłom pozostawionych jednostek, zastępuje wzajemną zorganizowaną pomocą, współdziałaniem, kooperacyą gospodarczą.

Platforma „*Grange*“ mówi: „Naszą dewizą są te słowa: „jedność w sprawach życiowych -- miłosierdzie we wszystkiém“. Chcemy polepszyć swój los i stać się lepszymi; chcemy nauczyć się jedności i kooperacyi; zmniejszyć nasze indywidualne i zbiorowe wydatki; mniéj kupować, a więcéj wytwarzać, tak, aby nasze przedsiębiorstwa wystarczały sobie; zasiewać tyle tylko, ile uprawić

możemy; pracować metodycznie i obliczać prawdopodobieństwa; chcemy odstręczyć od pożyczek, od obciążania ziemi długami, od wszystkiego tego, co prowadzi do rozrzutności i bankructwa... Będziemy zmniejszać cierpienia naszych braci i sióstr, grzebać umarłych, opiekować się wdowami, wychowywać sieroty, być miłosiernymi dla grzeszników. Będziemy przyjmować wszystkie słowa i czyny w najlepszém ich znaczeniu, przypisując wszystkim uczciwość i dobre zamiary“.

„Łączymy się aby wspólnie radzić, pracować, kupować i sprzedawać, a to dla większego dobra naszego. Użyjemy wszelkich środków, aby zniszczyć wszystkie przesądy jednostek, wsi, hrabstw i stanów, wszelkie rywalizacye szkodliwe, wszelkie ambicye egoistyczne. Nie wypowiadamy wojny żadnemu przeciwnikowi swemu, nie atakujemy nikogo. Sądzimy, że wszelkiego rodzaju towarzystwa transportowe są potrzebne dla naszego powodzenia, że ich interesy są ściśle z naszemi związane; nie zapominamy o pierwszéj naszéj zasadzie, że szczęście jednostki zależy od dobrobytu wszystkich... Nie jesteśmy wrogami kolei, kanałów spławnych lub irygacyjnych. W naszym szlachetnym zawodzie nie ma śladu komunizmu lub agrarianizmu... Jesteśmy przeciwni wysokim zarobkom robotniczym, nadmiernym procentom, zbytnim zyskom handlowym. Nie łączymy się z żadną partyą, nie stanowimy organizacyi politycznéj“.

Takiéj to metamorfozie uległa dusza klasowa fermera pod działaniem potęgi kartelowéj. Ucisk wielkiego kapitału nowożytnego wpoił w nią miłosierdzie, humanizm, rozwinął społeczne uczucia solidarności i wzajemnego działania. Jednocześnie przekształcił także i gospodarkę fermerską; z indywidualistycznéj podniósł ją do kooperacyjnéj formy.

Związki fermerskie stworzyły mnóstwo współdzielczych młynów, gorzelni, mleczarni, banków pożyczkowych, towarzystw wzajemnego ubezpieczania się i t. d.

Prowadzą one zbiorowe zakupy maszyn, narzędzi rolniczych, produktów spożywczych; obmyślają środki jakby ułatwić wszelką pracę przez kooperacyę, w jakie umowy wejść z towarzystwami kolei żelaznych i t. d.

Solidarność klasowa przejawia się już u nich w dość energicznéj formie. *Farmers Alliance* używa nawet bojkotowania. Latem np. 1890 r. fermerzy jednéj okolicy wiejskiéj, pozazdrościli dobrych zysków kupcom tamecznego miasteczka. Miejscowa *Farmers Alliance* zażądała od nich ustępstwa dla fermerów w cenach towarów, grożąc

bojkotowaniem. Kupcy odmówili sprzedawać fermerom swoje towary po cenach niższych i bojkotowanie zaczęło się. Nietylko przestali kupować fermerzy, członkowie związku, lecz nawet przyjezdnym agentom handlowym, kupcom i wszystkim innym, którzy mieli stosunki z fermerami — zabroniono czynić u bojkotowanych kupców jakiekolwiek sprawunki.

Ten pierwszy okres pokojowy życia społecznego fermerów ciągnie się od 1869 do 1889 roku. Fermerzy, oczarowani liczebną potęgą swych organizacyi, łudzą się najświetniejszemi nadziejami.

Powoli jednak rzeczywistość rozwiewa te marzenia.

Przebyte w życiu organizacyjném dwudziestolecie wyrobiło w nich wprawdzie nowe cechy psychiczne, podniosło ich moralność społeczną, pchnęło ich gospodarkę na nowe, postępowsze tory, lecz jednocześnie zaznaczyło się całym szeregiem klęsk ekonomicznych, całkiem od nich niezależnych, wychodzących zupełnie po za sferę ich działalności. Przesilenie rolne pozbawiło ich nabywców i narzuciło im jarzmo długów hypotecznych; olbrzymi rozwój monopolów kapitalistycznych spętał wszystkie ich czynności. Samopomoc ekonomiczna zawiodła. Zorganizowani fermerzy ujrzeli się nad przepaścią ruiny majątkowéj. Trzeba było zedrzéć maskę obłudy, zaprzestać haseł pokojowych i kokietowania wrogów, lecz z podniesioną przyłbicą stanąć do walki na śmierć i życie.

Tak téż uczynili. Z 1889 rokiem kończy się pokojowy okres. Zjazd 3 — 7 grudnia 1889 r. w Saint-Louis otwiéra drugi — okres walki politycznéj.

V.

Kongres w St.-Louis ma doniosłość historyczną. Sama treść rozpraw, jakie się tam toczyły i ton wypowiadanych deklaracyi, wskazuje jak radykalne zmiany zaszły w łonie fermerstwa amerykańskiego.

Prezes mówi o potrzebie połączenia „wszystkich klas pracujących“, „ażeby je uwolnić od ucisku powszechnie ciemiężącego.“ Protestuje przeciw nagromadzaniu ziemi przez wielkich kapitalistów, kompanie kolejowe i syndykaty cudzoziemskie, wynikiem którego będzie zupełne ujarzmienie rolnika. W dalszym ciągu zwraca uwagę na polityczną stronę tego ucisku. „Jest rzeczą powszechnie znaną, że syndykaty i monopole, które lud nasz ciemiężą i grożą zrujnowaniem naszych wolnych instytucyi, powstają i rozwijają się dzięki niegodziwemu prawodawstwu, i że ścisłość związku, istniejąca

między przedstawicielami naszego państwa a potężnemi koalicyami, wpływ, jaki one wywierają na politykę rządu, są ważnemi przyczynami niepokojów i dolegliwości.“

Ogłoszone zostały następujące zasady:

1) Chcemy zaznajomić klasę robotniczą z nauką spraw ekonomicznych i nauką rządzenia państwem, w duchu zupełnie wolnym od wszelkich przesądów partyjnych, ażeby tém łatwiéj osiągnąć zupełną solidarność rolników pomiędzy sobą.

2) Chcemy równych praw dla wszystkich, nie pozwalamy na przywileje dla nikogo.

3) Przyjmujemy za hasło: jedność w sprawach życiowych—miłosierdzie we wszystkiém.

4) Chcemy stworzyć lepsze warunki bytu pod względem intelektualnym, moralnym, społecznym i politycznym.

Platforma kongresu mówi wyraźniéj:

„Żądamy zniesienia narodowych banków (t. j. prywatnych towarzystw bankowych) i zamiany ich na państwowe asygnacye, których ilość powinna się regulować odpowiednio do liczby ludności i rozwoju jéj interesów handlowych.“

„Żądamy, by kongres (rząd) przedsięwziął środki, któreby położyły tamę spekulacyom produktami rolnemi i rękodzielniczemi.“

„Żądamy wprowadzenia praw, zabraniających posiadania ziemi w Stanach Zjednoczonych nie-obywatelom i odebrania majątków, które dziś posiadają cudzoziemcy i obce syndykaty.“

„Żądamy, by od kompanii kolejowych i innych towarzystw odebrane były ziemie państwowe, z których dziś użytkują i oddane miejscowym rolnikom.“

„Wierząc silnie w równość praw wszystkich i przeciwni wszelkim przywilejom, żądamy, by podatki rozdzielały się równo między wszystkie klasy.“

„Żądamy, by drogi komunikacyi i przewóz towarów stał się własnością narodu i eksploatował się na jego korzyść, tak jak teraz poczta.“

Taką jest d r u g a m e t a m o r f o z a duszy fermerów. Dotychczas nie mieszali się w żadne polityczne sprawy; przychylnie usposobieni dla rządu, nie mieli względem niego żadnych podejrzeń; trzymali się drogi pokojowéj, licząc tylko na swoją samopomoc ekonomiczną. Teraz stają na zupełnie inném stanowisku. Samopomoc ich zawiodła; zobaczyli, że na drodze pokojowéj, za pomocą własnego doskonalenia się, nie zdołają zwalczyć ani kryzysu, ani potężnych monopolów. Zwracają więc uwagę na polityczną stronę istniejącego stanu rzeczy, wzywają państwo do wypełniania funkcyi gospodarczych.

W programie swoim odzywają się już tonem ludzi walczących: „żądamy zniesienia takich a takich instytucyi, wprowadzenia takich a takich praw nowych.“ Przekonawszy się, że rząd istniejący jest sprzymierzeńcem monopolistów, stają się organizacyą anty-rządową.

Pewni, że siłami swojéj klasy nie zdołają ujść bankructwa, przeniewierzają się zasadom kapitalizmu, żądają od państwa, żeby stało się organizmem gospodarczym.

Własność indywidualna i swoboda ekonomiczna jednostek tracą dla nich swój dotychczasowy urok świętości. Żądają wywłaszczenia syndykatów, wielkich kapitalistów i towarzystw kolejowych, wzbronienia spekulacyi i przejścia środków komunikacyjnych na własność narodu.

Wymagania te idą jeszcze daléj. W r. 1890-ym fermerzy stawiają jako hasło wyborcze — bil Wansoma, przedstawiony następnie do senatu i izby poselskiéj. Bil ten żąda, aby zostały ustanowione w różnych stanach składy państwowe, do którychby każdy fermer mógł zwozić swoją bawełnę, pszenicę, kukurydzę, owies lub tytoń i żeby państwo wydawało im na ten zastaw 8—10% ceny rynkowéj tych produktów, która winna być określaną przez ministra finansów W ten sposób fermer nic nie ryzykuje, jest pewny sprzedaży swego zbioru za dobrą cenę i korzystania z otrzymanych pieniędzy, lecz państwo zostaje wciągnięte w olbrzymią operacyę bankową i handlową.

Są to jednakże tylko wstępne objawy rozwoju kierunku państwowego. Idea kolektywizmu zaczyna występować wyraźniéj i coraz bardziéj przenikać w mózgi fermerskie. Humphrey, przedstawiciel fermerów, podnosi teorye unarodowienia gruntów: „Bóg dał tę ziemię do korzystania wszystkim istotom żyjącym. Ludzie tak samo nie mają prawa monopolizować sobie ziemi-karmicielki, jak powietrza, którém oddychamy, jak promieni słońca, które nas ogrzéwają. Ziemia jest niczyją własnością i w żadnym razie być nią nie może: należy do ludu panującego.“

Pierwszy okres nauczył fermerów współdzielczości i wyższych form gospodarczych; drugi wykorzenia z nich stare pojęcia społeczne, wprowadza na drogę walki politycznéj, rozwija ideały państwowe. Pod działaniem przewrotów rynkowych stają się oni klasą postępową; dwie przebyte metamorfozy zmieniają zupełnie ich stanowisko społeczne.

Od kongresu w St.-Louis objawia się w organizacyach fermerskich silna dążność do wyrobienia się w oddzielną partyę polityczną. Już w czasie ostatnich wyborów w stanie Mississipi wstrzymywało

się od głosowania 40% fermerów białych i 70% murzynów; w stanie Texas i innych było więcéj wstrzymujących się od głosu, niż głosujących. Minister gospodarstwa rolnego, Rusk, mówiąc w swéj odezwie o kartelu fabrykantów żniwiarek, dodaje: „Słusznie czy nie, fermerzy uczynią za to odpowiedzialną partyę republikańską. Jestem mocno przekonany, że ten trust żniwiarek, w przyszłych wyborach prezydenta, kosztować będzie partyę republikańską setki tysięcy głosów, jeżeli ona nie zajmie stanowczéj pozycyi względem tego trustu i innych.“

Druga przemiana odbywała się tak szybko, że już w r. 1891 mogła doprowadzić do faktu, który przeraził i zadziwił rządzące sfery Stanów Zjednoczonych, a zaciekawił cały świat cywilizowany.

Mówimy o zawartym sojuszu organizacyi fermerskich z „rycerzami pracy.“

Dwie potężne klasy narodu — fermerów i najemników, złączyły się ze sobą w tym celu, aby zwalczyć potęgę pieniędzy prywatnego kapitału, i za pomocą przyszłéj kampanii wyborczéj 1892 r. stworzyć nowe warunki, zgodne z ich interesami, a przeto i państwo zmuszone zagarniać stopniowo w swoje ręce gospodarstwo narodowe, zabezpieczając wyższy dobrobyt kulturalny fermerom i najemnikom.

W styczniu 1891 roku Powderly, wielki mistrz rycerzy pracy, wydaje proklamacyę:

„Konferencya naczelników *Farmers' Alliance* i rycerzy pracy będzie miała na celu wygotowanie planów i obmyślenie środków oczekującéj nas walki narodowo-politycznéj w 1892 roku. Ta kampania wyborcza powinna według naszych żądań wybrać prezydenta, wiceprezydenta i kongres Stanów Zjednoczonych, oddanych interesom ludu i wrogich tym wszelkim korporacyom, syndykatom, monopolom amerykańskim i cudzoziemskim, które tak szybko zgarniają bogactwo narodu i przywłaszczają sobie władzę rządzenia losem ludu amerykańskiego.“

W piętnaście dni po téj proklamacyi, 22 stycznia, zebrał się w Waszyngtonie kongres przedstawicieli *Farmers' Alliance*, *Colored Farmers' Alliance* i rycerzy pracy; „*National Grange*“ i wszystkie inne organizacye fermerskie przysłały deputowanych lub oświadczyły swoją zupełną solidarność z kongresem.

Za podstawę przymierza przyjętą została platforma kongresu St.-Louis. Każda wstępująca do sojuszu organizacya obowiązuje się podtrzymywać inne w ich łącznych, lub niezależnych usiłowaniach polepszenia doli ludu; wspólna akcya będzie zadecydowana wtedy, gdy komitet téj federacyi zatwierdzi plan obrony lub ataku. Jeżeli np.

rycerze wchodzą w nieporozumienie z jakim kartelem, kompanią kolejową lub pojedyńczym fabrykantem i zadecydują strejkowanie, sprawa zostaje przedstawioną komitetowi federacyi, i jeżeli komitet zadecyduje, że rycerze mają słuszność, to magazyny kooperacyjne *Farmers' Alliance* odmówią swéj klienteli towarzystwu lub fabrykantowi bojkotowanemu. Rycerze zobowiązują się także podtrzymywać fermerów w ich walkach.

Głównym jednak celem téj fermersko-najemniczéj ligi jest przeprowadzenie wspólnemi siłami kampanii wyborczéj 1892 r. i zreformowanie państwa w duchu swoich żądań i interesów. 23-go stycznia liga została urzędownie zatwierdzoną pod nazwą „*Confederation of industrial organisations*“. Jest-to 6-ciomilionowa armia silnie zorganizowana. Żadne państwo nie miało jeszcze do czynienia z taką potęgą.

Lecz co będzie, jeżeli kampania wyborcza zawiedzie, jeżeli panujący w senacie republikańskim, téj „cytadeli potęgi pieniężnéj“, różni królowie srebra, kolei żelaznych, cukru, żelaza, nafty, oprą się żądanym reformom prawnym? Kto może zaręczyć, że ta straszna armia nie wystąpi wtenczas do walki ulicznéj?

W każdym razie, sojusz zawarty z rycerzami pracy, przyśpieszy tylko rozpoczętą obecnie drugą metamorfozę fermerstwa, uczyni ją jeszcze bardziéj postępową. Nie trzeba bowiem zapominać, że rycerze pracy, jakkolwiek względnie umiarkowana i bardziéj pokojowo usposobiona partya, jest w każdym razie partyą proletaryatu, który „nie ma nic do stracenia, a wiele do zyskania.“

Wzajemne wpływy dwóch tych klas podczas przymierza — bardziéj zachowawczy ze strony fermerów i bardziéj przewrotowy ze strony robotników — jeżeli ten sojusz szczęśliwie dotrwa nie mogą wpłynąć na większe zboczenia w rozwoju psychicznym. Zawsze muszą przeważyć te, które będą najlepiéj przystosowane do zachodzących zmian środowiska gospodarczego.

VI.

Zjawiska rozpatrzone powyżéj, jakkolwiek noszą na sobie pewną miejscową barwę, wyświetlają jednak do pewnego stopnia ogólny proces rozwojowy duszy klasowéj, proces powstawania nowych ideałów zbiorowych i dążeń; jak również, wykazują poniekąd rolę, którą może odegrać drobna i średnia własność w przyszłym rozwoju społecznym.

Jest-to cały szereg zjawisk ściśle ze sobą związanych, i wzajemnie oddziaływujących na siebie.

Rozwój produkcyi wytwarza nowe formy społeczno-gospodarcze; pod ich naciskiem, fermerzy — klasa średnich i drobnych producentów zmuszona jest przyjąć współdzielczą postać życia. Jeżeli to jéj nie wystarcza, a ruina grozi ciągle, mogłaby stać się partyą polityczną, powołać państwo do prowadzenia funkcyi gospodarczych.

Wielkie przedsiębiorstwa rewolucyonizują produkcyę, trzymając ją zarazem w szrankach prywatnego monopolu; uciskane przez to klasy (fermerów i najmitów) chcą przeciwstawić téj potędze produkcyę również przekształconą, lecz w postaci państwowéj.

Jednocześnie dalszy proces uspołecznienia gospodarczego wywołuje odpowiednią sobie ewolucyę psychiczną, przekształca nietylko stosunki rzeczowe, lecz także pojęcia, uczucia i świadome dążności całych klas społecznych. Z umysłu najemnika wyplenia wiarę w istniejący porządek społeczny; z trade-unionistów przerabia ich na demokratów społecznych i pobudza do walki politycznéj o ideały przyszłości.

Fermerów przeprowadza przez dwie fazy przemian: najprzód niszczy w nich indywidualizm samolubny, ucząc humanizmu i współdzielczości; następnie ruguje z ich duszy prawowierność polityczną i zachowawczość pojęć społecznych, zbliżając je ideowo do proletaryatu. Tym sposobem, czyni on nietylko z klasy robotniczéj, lecz i z zachowawczych drobnych producentów — swoją armię. Nazwalibyśmy to ogólnym procesem powstawania „nowéj duszy zbiorowéj.“

Humanizm, solidarność, ideały współdzielczości, powstają i rozwijają się u fermerów, wskutek odpowiedniego działania środowiska, dlatego że są e k o n o m i c z n i e n i e z b ę d n e, że ratują od ruiny majątkowéj, nędzy i upadku kulturalnego. Podobnież zanika samolubny indywidualizm i ideały prywatne, gdy stają się ciężarem, gdy nowe warunki życiowe czynią je nietylko zbytecznemi ekonomicznie, lecz nawet szkodliwemi.

W pierwotnych czasach ludzkości nie mógł rozwinąć się indywidualizm, gdyż był ekonomicznie szkodliwy dla każdego osobnika; ówczesne warunki życia wymagały barbarzyńskiego komunizmu. Analogiczne zjawisko przedstawia się i teraz.

Tylko, że kiedy w okresie dzikości i barbarzyństwa, przewaga natury nad człowiekiem i jego nieudolność umysłowa były przyczynami tamującemi rozwój indywidualizmu, dzisiejszy proces zanikania jego dokonywa się pod naciskiem olbrzymich sił społecznych.

Zatém, rozwój z b i o r o w y c h cech psychicznych podlega tym samym ogólnym prawom, co ewolucya wszelkich cech biologicznych, prawom „p r z e ż y w a n i a n a j s t o s o w n i e j s z e g o.“

Rozwijają się cechy psychiczne najlepiéj przystosowane do środowiska ekonomicznego, takie, które w daném środowisku mogą zapewnić osobnikowi zaspokojenie jego potrzeb kulturalnych; nie mogące zaś temu zadaniu odpowiedzieć skazane są na stopniowy zanik i zupełną zagładę.

Nie ma ani jednego okresu w życiu społeczném ludzkości, w którymby się nie odbywał ten ciągły ruch w duszy zbiorowéj — zanikanie jednych, powstawanie innych cech; a każda nowa, zbiorowa cecha psychiczna jest zarazem skutkiem i przyczyną swego ekonomicznego środowiska. Rozwija się z niém razem, jako odbicie w umyśle stosunków rzeczowych, stając się w końcu siłą współdziałającą w jego ostateczném ukształtowaniu.

W taki sposób, rozwijająca się w wiekach średnich razem z produkcyą towarową, „dusza mieszczańska“ stała się w końcu zeszłego wieku potęgą, która potargała ostatecznie pęta feudalne i wykończyła budowę nowego ustroju społecznego.

Na tém ciągłém, wzajemném oddziaływaniu zjawisk rzeczowych i świadomości ludzkiéj, będących sobie naprzemian przyczyną i skutkiem—zasadza się cały rozwój społeczeństw.

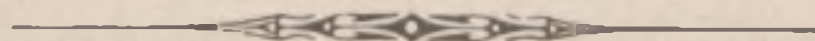
Nowożytne dzieje fermerów amerykańskich wyjaśniają nam także rolę, jaką klasa drobnych i średnich wytwórców odegrać mogłaby w rozwoju społecznym.

W krajach o wyższéj kulturze, jak np. Stany Zjednoczone, przechodzi ona przez obie, wskazane powyżéj, metamorfozy i pomimo *homesteadów*, stanie się ona prawdopodobnie siłą przewrotową.

Tam, gdzie *homesteadów* nie ma, a proces kapitalizacyi rozwija się potężnie i szybko, stanie się ona siłą dziejowo-czynną na innéj drodze, jako proletaryat rolny.

W tych zaś krajach, gdzie obok niskiéj kultury panować będą także dążności zachowawcze ze strony państwa, a potrzeby i wymagania drobnych wytwórców nie przerosną ramek *homesteadów*, fermerzy stanowić będą armię zachowawców, zdolną do odtworzenia nowéj Wandei.

E. Abramowski.

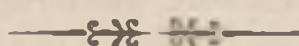




TRAGEDYA SZYMONA SZYMONOWICZA

„CASTUS JOSEPH"

w stosunku do literatury obcéj.



W bogatym repertuarze poezyi dramatycznéj XVI-go stulecia największém powodzeniem wśród publiczności europejskiéj, cieszyły się trzy zwłaszcza sztuki; są to dramaty, osnute na trzech opowieściach biblijnych: o synu marnotrawnym, o Zuzannie i o Józefie, zaprzedanym przez braci w niewolę do Egiptu. Osobliwie to ostatnie podanie było ulubionym tematem utworów dramatycznych; literatura francuska, hiszpańska, włoska i niemiecka posiada bardzo wiele dramatów lub tak zwanych „komedyi" o Józefie, którego postać stała się typem czystego i niewinnego młodzieńca, umiejącego oprzéć się, w imię poczucia obowiązków, wdziękom i namowom pięknéj kobiéty.

Na scenie francuskiéj jeszcze w wieku XV-ym grywano cały szereg utworów téj treści, o czém świadczy zbiór misteryów z r. 1500 p. t. „*Mistère du vieil testament*"; w r. 1538 dramaty o Józefie zostały wydrukowane osobno p. t. „*Moralité de la vendition de Joseph*" [1]); zawierają one w sobie całkowitą historyą Józefa, — od zaprzedania go w niewolę przez braci aż do przybycia Jakóba do Egiptu. Pod względem estetycznym sztuki francuskie pozbawione są wszelkiéj wartości: jest-to niekształtny zlepek różnych scen, będących parafrazą tekstu Pisma świętego.

---

[1]) Petit de Julleville. „Histoire du théâtre en France." Ph. 1. Les mistères. 2 vol.

W Hiszpanii słynną była *„Tragedia llamanada Josefina"* (1546), któréj autorem jest Micael de Carvajal; stoi ona pod każdym względem wyżéj od misteryów francuskich: autor nie trzyma się tak niewolniczo tekstu biblijnego, lecz zmienia go lub uzupełnia wedle swego widzenia rzeczy; prócz tego widoczna jest w nim dążność do wprowadzenia w akcyą pewnéj jedności dramatycznéj, oraz do samodzielnéj charakterystyki osób.

We Włoszech najstarszym dramatem o Józefie jest *„Rappresentatione di Giuseppe figliuolo di Giacobbe"* (na końcu wieku XV-go). Roku 1527 ten sam temat opracował w tercynach Pandolfo Collenucio. Cechą charakterystyczną tych utworów jest wielka ilość zawartych w nich modlitw, przez co musiała ucierpiéć właściwa akcya [1]).

Najwięcéj jednak dramatów, mających za osnowę życie Józefa, posiada literatura niemiecka. W „Rocznikach Korbejskich" już pod rokiem 1264-ym czytamy wzmiankę, że w Heresburgu grano „komedyą" o Józefie p. t. *„Comedia de Josepho vendito et exaltato"*; wiadomość ta atoli jest bardzo wątpliwa [2]). W roku 1494-ym podobne przedstawienie miało miejsce w Lowanium i to już w języku niemieckim: „O praojcu Jakóbie i jego synu Józefie" [3]), lecz sztuka ta zaginęła. Roku 1535 przedstawiano w Magdeburgu dramat Greffa i Maiora p. t. „Ucieszna a pożyteczna sztuka o patryarsze Jakóbie i jego dwunastu synach" [4]), składający się z pięciu długich aktów. Jak odpowiednie utwory narodów romańskich, przedstawia on całkowite dzieje Józefa i jest raczéj epopeą, przyobleczoną za pomocą dyalogu w szatę dramatyczną, parafrazą tekstu biblijnego, uzupełnionego tu i owdzie długiemi monologami Jakóba, Józefa lub Mechy, żony Putyfara, aniżeli utworem dramatycznym we właściwém słowa tego znaczeniu.

Niepospolitém uznaniem i wielkiém rozpowszechnieniem cieszyła się w XVI-ém stuleciu słynna sztuka łacińska Korneliusza Crocusa „Komedya święta pod tytułem Józef" [5]). Crocus nie dramatyzuje

---

[1]) Alexander von Weilen. „Der ägyptische Joseph im Drama des XVI-en Jahrhunderts" (Wiedeń, 1887 r.), str. 12 i nast.

[2]) Tamże, str. 22.

[3]) Vom Ertzvatter Jacob vndt seinem son Joseph.

[4]) Ein lieblich und nutzbarlich spil von dem Patriarchen Jacob und seinen zwelff Soenen, Aus dem Ersten buch Mosi gezogen vnd zum Magdeburg... ym 1534. jar gehalten.—Ob. W. Scherer. „Deutsche Studien" (Sitzungsberichte der K. Akad. d. Wissensch.—B. XIX), Wiedeń, 1875 r.

[5]) Comoedia Sacra, cui titulus Joseph, ad Christianae iuventutis institu-

całkowitéj historyi Józefa, lecz odrazu wprowadza widzów do domu Putyfara, gdzie rozpoczyna się akcya.

Jest-to jedna z najlepszych sztuk dramatycznych w literaturze niemieckiéj. Wszyscy prawie późniejsi dramaturgowie, którzy opracowywali ten sam temat, posiłkowali się Crocusem, wypisując niejednokrotnie dosłownie, lub téż parafrazując niektóre sceny z jego „Świętéj komedyi“; jak niżéj zobaczymy, nie pozostała ona bez wpływu i na tragedyą Szymonowicza. Wyższość Crocusa nad Greffem i nad wszystkimi dramaturgami romańskimi polega na tém, że on pierwszy spostrzegł, iż dzieje Józefa tak, jak je opowiada biblia, stanowią za obszerną treść dla jednego dramatu, wybrał więc za temat tylko pewną część téj opowieści [1]). Pomimo to, nie jest sztuka Crocusa bez poważnych wad: akcya często bywa rozwlekła i toczy się nadzwyczaj leniwie, zwłaszcza zaś w akcie trzecim i czwartym. Co do charakterystyki osób, najlepiéj stosunkowo skreślona jest postać Sefiry, która téż stała się postacią typową dla późniejszych dramatów.

Nie wszystkim następnym dramaturgom niemieckim podobało się dążenie Crocusa do koncentracyi i jedności: prawie wszyscy wstępują raczéj w ślady Greffa i dramatyzują całą powieść od początku do końca. Do takich należą np. Hans von Rüte [2]), który okazuje brak najelementarniejszych pojęć o technice dramatycznéj [3]), Jacob Rueff [4]), który wprowadza w akcyą całą falangę nowych osób, mało charakterystycznych [5]), i wielu innych. Większą już wartość posiadają „komedye“ Sykstusa Bircka [6]) (Xystus Betuleius) i Thieboldta Garta [7]); ta ostatnia zwłaszcza wyróżnia się w pośród drama-

---

tionem iuxta locos inventionis veteremque artem, nunc primum et scripta et edita per Cor. Crocum, Amsterodami ludimagistrum, M. D. XXXVII.

[1]) Że Crocus uczynił to z zupełną samowiedzą, świadczą następujące słowa, wyjęte z przedmowy: „Neque tamen totam beati Joseph vitam sumpsimus tractandam, nec enim ea unius comoediae res foret, sed a tentatione duntaxat herae usque ad liberationem eius a carcere.“

[2]) Die Hystoria des gots förchtigen jünglings Joseph... getruckt zu Bernn, 8 Junii 1538.

[3]) Weilen, str. 38.

[4]) Ein hüpsch nüves Spil von Josephen dem frommen Jüngling... insonders lustig... zu laesen. Getruckt zu Zürich .. Anno M. DXL.

[5]) Weilen, str. 55.

[6]) Joseph, ain sundere lustige Comedy... Anno M. D. XXXIX. Getruckt zu Auspurg.—Ob. Weller. „Das alte Volkstheater der Schweiz“, str. 13—20.

[7]) Joseph. „Ein schöne von fruchtbare Comedia... mit anzeigung jre Allegori von geistliche bedeüttung. In welcher vil Christlicher Zucht unnd Gottsforcht gelernet wirt... zu Schletstat... Im Jar. 1540.“

tów niemieckich tém, że autor potrafi z wielką dokładnością psychologiczną motywować czyny wprowadzonych w akcyą osób. — „Komedya“ Jordanna [1]), składająca się, nie mniéj ani więcéj, tylko z dwunastu długich aktów, jest niezręczném naśladownictwem Rütego i Bircka [2]), utwór znów Diethera [3]), choć zdradza bezpośrednią zależność od sztuk Crocusa i Garta, nie posiada jednak właściwych im zalet [4]). W r. 1544-ym ukazał się dramat słynnego dramaturga niemieckiego XVI w. Georga Macropediusa [5]), który, lubo w porównaniu z Crocusem rozszerzył jeszcze zakres treści swego utworu, lubo w technice dramatu popełnił błąd niejeden, to jednak dzięki oryginalności w opracowaniu i wyszukaniu pewnych szczegółów, dzięki realistycznéj, w całém słowa tego znaczeniu, charakterystyce osób, dzięki wreszcie prostemu a pięknemu językowi—przewyższa swych poprzedników, nie wyłączając Crocusa i Garta.

Z biegiem czasu utwory dramatyczne, przedstawiające dzieje Józefa, choć nie zdołały wyemancypować się całkowicie z pod wpływu Crocusa, Garta, Macropediusa i innych, jednak w pewnych szczegółach, a zwłaszcza tendencyach, różnią się od swych pierwowzorów. Tak np. Martinus Baeticus [6]) stara się w żywych barwach odmalować nietyle namiętną miłość żony Putyfara do Józefa, ile raczéj bezbrzeżną radość starego Jakóba przy ujrzeniu syna, którego uważał był już za straconego dla siebie na zawsze [7]). Z późniejszych dramatów największém powodzeniem cieszyły się sztuki T. Brunnera [8]) i Zyrla [9]),

---

[1]) Comedia Josephs... Im Jair 1540... in der Stadt Cöllen offentlich gespielet.

[2]) Weilen, str. 70 i nast.

[3]) Historia sacra Joseph, quae nobis praeclarum divinae providentiae et passionis Christi redemptoris castitatisque Joseph pudicissimi adolescentis exemplar demonstrat. Augustae Vindelicorum (1544).

[4]) Weilen. str. 76 i nast.—Ob. także „Allgemeine Deutsche Biographie“, pod słowem: Diether.

[5]) Josephus, fabula sacra, pietatis et pudicitiae cultoribus perlegenda.

[6]) Adelphopolae Drama comicotragicum historiam sacram Josephi, Jacobi patriarchae filij complectens.. Augustae Vindelicorum, 1556.

[7]) Weilen, str. 91.—Porów. „Allg. Deutsche Biogr.“, p. s. Baeticus.

[8]) Die schöne Biblische Historia von dem heiligen Patriarchen Jacob vnd seinen zwoelff Soenen gestellet vnd gehalten zu Steyr im Lande Osterreich... Witteberg, 1566.

[9]) Die gantze Historia vom Joseph in ein schöne Christliche Comediam gefasset.... Strassburg, 1573.

mniejszém już dwie „komedye“ Egidiusa Hunniusa [1]), które wyszły na rok przed ukazaniem się tragedyi Szymonowicza.

I.

Tacy-to byli znakomitsi poprzednicy Symonidesa na polu dramatyzacyi podania biblijnego o Józefie. Pomimo iż, jak widzieliśmy, niektóre z tych „komedyi“, a zwłaszcza utwory Crocusa, Garta i Macropediusa, nie są pozbawione pewnéj wartości poetycznéj, wszystkie jednak mają jednę wspólną wadę, a mianowicie, że nie ma w nich właściwie życia dramatycznego. Nadto treścią większéj części tych sztuk jest cała lub prawie cała historya Józefa, a należyte udramatyzowanie tak obszernego przedmiotu jest rzeczą równie trudną, wprost niemożebną nawet, jak, wyrażając się słowami Arystotelesa, nadanie „Iliadzie“ formy dramatycznéj. Nie są więc właściwie sztuki zachodnio-europejskie o Józefie dramatami, i jeżeliby już koniecznie trzeba było nadać im nazwisko jednego z rodzajów poezyi, w takim razie należałoby je nazwać poematami epickiemi, różniącemi się od epopei, we właściwém słowa tego znaczeniu, jedynie tylko formą dyalogiczną. Od téj saméj wady zasadniczéj nie jest wolny utwór Mikołaja Reja z Nagłowic „Żywot Jozepha z pokolenia żydowskiego“ (Kraków, 1545 r.) [2]). Nie jest-to utwór samodzielny, jak wykazali bowiem prof. Nehring [3]) i p. Bruchnalski [4]), naśladował tu Rej lub parafrazował sztuki Greffa i Crocusa, a w części Garta i Diethera. Jakkolwiekbądź, zasługą jest Reja, iż on pierwszy z pomiędzy poetów naszych opracował ten przedmiot w formie dramatycznéj. Prócz „Żywotu“ Reja istniały w literaturze polskiéj XVI-go wieku dwa traktaty teologiczne o życiu Józefa, z których jeden (nieznanego autora) wyszedł jeszcze w r. 1530-ym p. t. „Istorya o swyętym Jozefye Patryarsse stárego zakonu, ktorego byli brácya zaprzedali“, a drugi

---

[1]) Comoediarum seu dramatum sacrorum libellus, in quo sunt: De Josepho patriarcha comoediae duae, quarum prior quidem historiam eius usque ad ipsius in Aegypto exaltationem persequitur. Posterior ab annis fertilitatis incipiens in mutua laetaque aquitione Jacobi patris et Josephi filij absoluitur... Francoforti ad Moenum.... MDLXXXVI.

[2]) Powtórne wydanie w „Bibliotece starożytnéj“ Wójcickiego, a trzecie w „Bibliotece pisarzy polskich“ Akademii nauk w Krakowie, 1889.

[3]) Die dramatisirte Geschichte Joseph's: „Żywot Józefów“ von Nicolaus Rej („Archiv f. slav. Phil.“, IX, 1886).

[4]) Studya nad pismami Reja, I. „Żywot Józefa“ („Muzeum“ lwowskie, Tom II, 1886 r.).

w r. 1586 p. t. *„Justus Joseph sive in Jesu Christi Domini nostri mortem et passionem meditationes“*; autorem tego traktatu jest Stanisław Sokołowski, profesor akademii krakowskiéj, późniéj kaznodzieja nadworny Stefana Batorego.

W roku 1587-ym ukazała się w Krakowie tragedya Szymona Szymonowicza, dedykowana temuż Sokołowskiemu: *„Castus Joseph, D. Stanislao Socolovio, Theologo regio, venerabili miraculo ingenii et literarum, venerabiliori virtute et moribus, patri suo in Christo, Simon Simonides Leopoliensis Lib. Mer. De. Dedicavit. Cracoviae, in officina Lazari. Anno 1587.“*—Osnową téj tragedyi jest występna miłość żony Putyfara do Józefa, który to epizod doskonale nadaje się do obrobienia dramatycznego. Forma zewnętrzna i budowa utworu Szymonowicza spokrewnia go bardzo blisko z dramatem klasycznym; lecz nietylko to jedno: wprowadzenie w akcyę chóru, cała technika wewnętrzna i zewnętrzna, rozwiązanie węzła dramatycznego, czyli tak zwana katastrofa, odbywająca się nie na scenie, jak u Crocusa i innych, lecz opowiedziana przez posła, — wszystko to zgadza się najzupełniéj z wzorami greckiemi. Szymonowicz był, jak wiadomo, gruntownym znawcą literatury klasycznéj, czego najlepszym dowodem są jego słynne ody, które wzbudzały podziw znakomitych poetów i uczonych ówczesnych i zjednały mu zaszczytne miano Pindara polskiego, a pod wpływem sławnego Józefa Justa Skaligiera, którego nasz poeta poznał w czasie pobytu swego we Francyi, całą duszą pokochał świat klasyczny i w nim to szukał, jeżeli nie zawsze treści dla swych poezyi, to przynajmniéj natchnienia i pięknéj formy. We Francyi, gdzie w epoce odrodzenia poezya rozwijała się na podstawie studyów naukowych nad utworami literatury starożytnéj, miał Szymonowicz sposobność gruntownego zapoznania się nietylko z treścią tragedyi klasycznych, lecz nadto z metodą literacką tragików greckich: to téż i jedno i drugie widzimy w jego tragedyi: „Czysty Józef.“

Zachodzi tu jednak pytanie, dlaczego Szymonowicz, jeżeli zamierzał stworzyć dramat klasyczny, nie poszukał dla niego treści w świecie starożytnym, jak to był uczynił twórca dramatu klasycznego w Polsce, autor „Odprawy posłów greckich“? Odpowiedź na to może być trojaka. Popierwsze, było to w Europie powszechném zjawiskiem, że humaniści i wogóle zwolennicy piśmiennictwa greckiego i rzymskiego opracowywali w swych dziełach motywy biblijne. Podrugie należy zwrócić uwagę na to, że na rok przed ukazaniem się tragedyi Szymonowicza wydał rozprawę teologiczną o Józefie Stanisław Sokołowski; jest więc rzeczą wielce prawdopodobną, że Symonides, chcąc uczcić męża, z którym łączyły go bardzo bliskie stosunki

i któremu winien był wdzięczność za zapoznanie go z Janem Zamojskim i przedstawienie królowi, opracował w swym utworze ten sam przedmiot, który był treścią traktatu Sokołowskiego; już sama dedykacya przemawia za tém. Potrzecie wreszcie w mitologii greckiéj znajduje się podanie, które nie tylko w zarysach ogólnych, ale nawet w niektórych szczegółach, przypomina opowieść pisma świętego o miłości żony Putyfara do Józefa. Miłość ta jest występna, to też szlachetny młodzieniec z pogardą ją odrzuca, chociaż wié, że pociągnie to dla niego niedobre skutki. Takaż występna miłość stanowi osnowę słynnego mitu o córce Minosa i Pazyfai, żonie Tezeusza, Fedrze, która pała gwałtowną namiętnością ku synowi swego męża z pierwszego małżeństwa (z Antyopą), Hipolitowi; lecz ten ślubował Artemidzie życie dziewicze, ze zgrozą więc odrzuca miłość swéj macochy; mszcząc się za to, Fedra oskarża go przed mężem o usiłowanie zhańbienia jéj, Tezeusz zaś, w przystępie sztraszliwego gniewu, błaga Pozejdona, by śmiercią ukarał zbrodniarza; bóg morza spełnia jego życzenie, i Hipolit ginie. Podanie to było przedmiotem kilkakrotnych opracowań w poezyi greckiéj i rzymskiéj; na nim to osnuł Sofokles swoję „Fedrę,“ a Eurypides dwie tragiedye o Hipolicie: „Ἱππόλυτος καλυπτόμενος“ i „Ἱππόλυτος στεφανηφόρος“. „Fedra“ Sofoklesa nie doszła naszych czasów, a z tragedyi Eurypidesa posiadamy jedynie tę drugą; jednak i o pierwszéj możemy wytworzyć sobie niejakie pojęcie, gdyż była ona pierwowzorem dla tragedyi Seneki „Hipolit“ czyli „Fedra.“ Szymonowicz znalazł tedy w piśmiennictwie greckiém i rzymskiém opracowanie dramatyczne podobnego motywu, jaki obrał sobie dla swego dramatu; należy zatém koniecznie rozpatrzéć ten ostatni w porównaniu z tragedyami Eurypidesa i Seneki.

II.

Tragedya Szymonowicza da się podzielić na te same części, z których składa się tragedya grecka; podstawą podziału są pieśni meliczne chóru. Zgodnie z zasadami poetyki Arystotelesa [1]) wiersze od 1 do 236 [2]) stanowią prolog; 237—294 parodos; 295—807 epeisodion I; 808—847 stasimon I; 848—1125 episodion II; 1126—1193 stasimon II; 1194—1564 epeisodion III; 1565—1600 stasimon III; 1601—1754 exodos. Jedynie budowa téj ostatniéj części jest uchybieniem przeciwko zasadom techniki zewnętrznéj dramatu greckiego; według bo-

[1]) Rozdział 12.

[2]) Według wydania Duriniego (Warszawa, 1772).

wiem Arystotelesa „exodos jest to ta część tragedyi, po któréj nie ma już pieśni melicznéj chóru,“ gdy tym czasem utwór Szymonowicza kończy się właśnie pieśnią meliczną, nie zaś krótką śpiewką chóru t. zw. exodikon), jak to bywa we wszystkich prawie tragedyach greckich.

Osoby tragedyi są następujące: zły duch, Józef, dworzanie, Fetyfer (Putyfar), Jempsara, jego żona, mamka, poseł, chór dziewic egipskich. Rzecz dzieje się w domu Fetyfera.

Przypatrzmy się teraz szczegółowo treści „Czystego Józefa.“

Prolog składa się z trzech scen, zupełnie tak samo jak w „Hipolicie“ Eurypidesa: 1) 1—93; 2) 94—184; 3) 185—236.

Scena pierwsza. Zły duch chwali się, iż potęga jego jest bez granic, niesłusznie więc postępują ci, którzy nazywają złych duchów bogami drugorzędnymi dla odróżnienia od pierwszorzędnych, zwłaszcza, że nie ci, lecz tamci rządzą sprawami ziemskiemi. Tych, mówi daléj zły duch, którzy odmawiają mu należnego hołdu, potrafi karać surowo; oto i dziś właśnie ma zamiar wymierzyć karę zuchwałemu młodzieńcowi Józefowi, który nie uznaje go za boga, pomimo, iż wszyscy Egipcyanie składają mu ofiary. To téż dawno już chciał on pomścić się téj obelgi i w tym to celu właśnie oddał go na pastwę złych i zazdrosnych braci, w nadziei, że ci go zamordują. Lecz zamiar nie udał się; nie tylko bowiem Józef ocalał, ale teraz cieszy się względami u Fetyfera i stał się bardziéj jeszcze hardym. Niepowodzenie to wielce draźni złego ducha, tém więcéj, że Józef pochodzi z plemienia hebrajskiego, a z plemienia tego, według przepowiedni Stwórcy, narodzi się kiedyś ten, który położy kres panowaniu złych duchów. Dziś wybiła nakoniec godzina zemsty. Fetyfer wyjechał i zostawił w domu prześliczną, czarującą żonę, istotną Syrenę; można będzie zatém wzniecić w jéj sercu ogień miłości do pięknego młodzieńca, a to zgubi go niewątpliwie. Po tych słowach zły duch, widząc, że zbliża się Józef, znika.

Chociaż w prologach misteryów średniowiecznych często bardzo występują na scenę dyabli, którzy naradzają się, w jakiby sposób zgubić nienawistną im osobę (np. Chrystusa — w misteryach o męce Pańskiéj), jednak Szymonowicz nie jest tu zależny od dramatu średniowiecznego: cała ta scena jest naśladowaniem pierwszéj sceny prologu tragedyi Eurypidesa, gdzie Afrodyta, oznajmiwszy widzom, iż jest potężną boginią miłości, obiecuje swą łaskę tym, którzy ją czczą, grożąc natomiast srogą zemstą każdemu, kto ośmieli się postępować wbrew jéj woli; a ponieważ właśnie Hipolit nie oddaje jéj należytego szacunku, myśli więc go ukarać; najlepszym zaś środkiem ku temu bę-

dzie wzniecenie miłości w sercu Fedry do pasierba. Widząc zdaleka Hipolita, Afrodyta znika. — Co do niektórych szczegółów pierwsza scena „Czystego Józefa“ przypomina również prolog tragedyi Seneki „Herkules szalony;“ widzimy tu na scenie Junonę, która w długim monologu piorunuje przeciwko Herkulesowi: już dawno chciała ona poskromić jego pychę, lecz wszelkie jéj dotychczasowe usiłowania nie wydały plonu: naprózno obarcza go coraz to nowemi pracami, które są prawie niemożliwe do spełnienia; Herkules ze wszystkich zapasów zawsze wychodzi zwycięsko, z czasem przyjdzie może do tego, że on, który już skruszył bramy piekielne, kiedyś targnie się na niebiosa, a więc i jéj, jako niebiance, grozi poważne niebezpieczeństwo. Nienawiść zatém osobista i bojaźń pobudzają Junonę do wywarcia zemsty na Herkulesie: zupełnie te same pobudki wywołują w złym duchu chęć zemsty względem Józefa.

Scena druga. W towarzystwie kilkunastu dworzan Fetyfera przychodzi Józef. Dworzanie wybierają się w drogę w celu złożenia ofiary bogom z powodu uroczystego święta. Józef odzywa się, że trzeba, aby choć kilku z nich zostało w domu, ponieważ pani jest bardzo chora; ci jednak odpowiadają, że to Jempsara właśnie wyprawia ich do świątyni, aby uprosili jéj zdrowie u bogów. Józef nie nalega tedy daléj, wyrzuca im tylko, że kłaniają się bogom pogańskim, dworzanie znów utrzymują, że raczéj Józef postępuje nieuczciwie, gdyż nie czci tych bogów, których pan jego uważa za świętych, a to martwi ich tém więcéj, że są szczerze przywiązani do Józefa, ponieważ, od czasu jak przestąpił progi Fetyfera, wszystko zmieniło się na lepsze: miłość i zgoda zakwitła w całym kraju, pochlebca nie ma już przystępu do pana, sprawiedliwość tryumfuje nad krzywdą; nie dziw więc, że Fetyfer obdarza sprawcę tego wszystkiego łaską i zaufaniem, a mimo to nikt mu nie zazdrości względów pańskich. Józef skromnie odpowiada, że to wszystko jest raczéj łaską bożą, aniżeli jego zasługą i wyraża nadzieję, że z czasem w sercach pogan zatli ogień miłości ku sprawiedliwemu Bogu. Dworzanie wychodzą.

I tę również scenę w ogólnych rysach posiada „Hipolit“ Eurypidesa: jeden z dworzan wymawia Hipolitowi że nie chce oddawać przynależnéj czci Afrodycie; i on także prawdziwie kocha swego pana, to też błaga boginią, aby wybaczyła nierozważnemu młodzieńcowi jego bluźnierstwo.

Scena trzecia. Po wyjściu dworzan, Józef sam jeden pozostaje na scenie i zastanawia się nad tém, dla czego duszę jego szarpie jakiś niepokój; już w nocy nie mógł długo zasnąć, a gdy wreszcie sen skleił jego powieki, i wtedy nawet nie zaznał spokoju: śniło mu się,

że zmienił się w ślicznego ptaka śnieżnéj białości i że bujał swobodnie pod obłokami; wtém nadleciała szpetna kukułka i puściła się za nim w pogoń i ścigała go dopóty, póki nie wpędziła go pod ziemię do jakiegoś ciemnego lochu; pierzchnął wreszcie sen straszliwy, lecz czy nie wróży to czasem jakiego nieszczęścia? Uspakaja się nakoniec Józef ufnością w Boga i zdaje się całkowicie na Jego wolę, błagając Go tylko o dar cierpliwości i stałości.

Podobnego monologu nie ma ani w „Hipolicie“ Eurypidesa, ani w „Fedrze“ Seneki; ostatnie tylko słowa Józefa przypominają nieco scenę piątą aktu pierwszego, „Świętéj komedyi“ Crocusa, gdy Józef, już po zajściu z Sefirą, przeczuwa stąd jakieś nieszczęście, lecz pociesza się, jak może, wiarą w Opatrzność.

Parodos. Chór dziewic egipskich wstępuje na scenę i rozpoczyna pierwszą swą pieśń. Od przyjaciółki doszła ich uszu wieść bolesna (strofa 1): od trzech już dni pani leży chora w domu; wdzięczne jéj usta gardzą darami Cerery, — widocznie tajemna zgryzota szarpie jéj serce (antystrofa 1); pewnie to sprawa Pana, albo Hekaty, albo Cybeli! a może to Dyktynna gniew swój na niéj wywiera? (str. 2) może kto zhańbił dom jéj męża? może jaka przykra wiadomość obiła się jéj o uszy? (antystr. 2) a wreszcie może to tylko zwykły ból fizyczny, — taki to już los biednych niewiast! (epodos). Lecz oto wierna mamka prowadzi nieszczęśliwą panią, — och! jakaż straszna badość pokrywa jéj lica! (anapesty).

Pieśń ta, z wyjątkiem kilku wierszy antystrofy drugiéj, jest przetłomaczona z Eurypidesa. Dla ilustracyi powyższych słów zestawmy pierwszą strofę i pierwszą antystrofę Szymonowicza i Eurypidesa.

str. I (237—246)	στρ. α (121 – 130)
Petra celebris est hic	Ὠκεανοῦ τις ὕδωρ
quaedam. vitrea dis aqua,	στάζουσα πέτρα λέγεται
fontemque expositum urnis, saxo	βαπτὰν κάλπισι ῥυτὰν
iaculans supremo.	παγὰν προϊεῖσα κρημνῶν,
apud hanc, amica quae-	ὅθι μοί τις ἦν φίλα,
-dam est mea, flumineis	πορφύρεα φάρη
pepla liquoribus	ποταμίᾳ δρόσῳ
tinguens superque ardua dorsa rupis	τέγγουσα, θερμᾶς δ'ἐπὶ νῶτα πέτρας
in sole aprico expoliens: ea atrum	εὐαλίου κατέβαλλ'. ὅθεν μοι
nuntium mihi insusurravit.	πρώτα φάτις ἦλθε δεσποίνας.

Epeisodion I składa się z trzech scen: 1) 294 — 432. — 2) 433—546. — 3) 547—807. Wiersze 433—459 stanowią ogniwo pomiędzy sceną pierwszą a drugą, wiersze zaś 547—557 — pomiędzy

drugą a trzecią. Część ta tragedyi jest już tłomaczeniem, już parafrazą téjże części „Hipolita.“

Scena pierwsza. Jempsara, wsparta na ramieniu sędziwéj mamki, wychodzi ze swych komnat w towarzystwie panien służebnych. Mamka [1]) wywodzi skargi, że nędzny jest żywot ludzki, gdyż zewsząd otaczają go troski i choroby.

„Jempsara,“ mówi mamka do chóru, „sama nie wié, czego chce: to wyrywa się z domu na świeże powietrze, pragnąc pokrzepić się ciepłem słoneczném, to znowu napowrót kładzie się do łóżka. Och! jak ciężką rzeczą jest służba: stokroć już lepiéj samemu chorować, aniżeli doglądać chorego. Wogóle życie ludzkie—to jedno pasmo cierpień, a jednak człowiek przywiązuje się do życia, gdyż nie wié, co go czeka po śmierci.“ Jempsara, która dotychczas zachowywała się spokojnie, teraz znów zaczyna jęczéć i płakać, mniemając, że to już śmierć zbliża się ku niéj, i rozpaczliwym głosem błaga o ratunek [2]). Mamka wszelkich starań dokłada, aby ją pocieszyć: „najlepszém lekarstwem na wszelką dolegliwość jest panowanie nad sobą; cóż wreszcie poradzić na to, że wszyscy ludzie są skazani na ciągłe cierpienia! [3])“ Słowa te jednak nie sprawiają żadnego skutku; Jempsara wciąż krzyczy i wyrzeka: „Dajcie mi kądziel, ja chcę prząść, przecie lepiéj pracować, niż siedziéć bezczynnie, prowadźcie mnie do ślubu, zapalajcie pochodnie weselne! czyż nie wiecie, że ja chcę dziś stać się niewolnicą swego niewolnika? o panie, pozwól mi zostać twoją służebnicą?“ Podobną scenę mamy i w „Hipolicie,“ gdy Fedra rozpaczliwym głosem woła: „Puśćcie mnie do lasu, ja chcę ścigać jelenie, dzikie poskramiać rumaki i t. d.“— Pomimo iż ostatnie słowa Jempsary dość już wyraźnie zdradzają istotną przyczynę jéj cierpienia, jednak mamka niczego nie domyśla się jeszcze, myśląc, że poprostu jakiś bóg pozbawił ją rozumu:

(377) Certe aliquis te, filia, divum vexat sanumque amputat animum.	Eur 237. ὅστις σε θεῶν ἀνασειράζει καὶ παρακόπτει φρένα, ὦ παῖ.

Wreszcie, pod wpływem ciągłych próśb mamki, Jempsara przychodzi do siebie, lecz nie przestaje gorzko płakać nad swym losem i prosi mamkę, aby jéj zasłoniła rąbkiem głowę. Mamka spełniła to życzenie, nie szczędząc swéj pani uwag moralnych, przyczém wygłasza dość dziwną sentencyą [4]), że jeżeli we wszystkich wogóle sprawach ludzkich zachować należy miarę, to tém bardziéj w zawieraniu przy-

[1]) Szym. 295—322 = Eur. 176—197. — [2]) Szym. 323—333 = Eur. 198—202.— [3]) Szym. 334—339 = Eur. 203—207. [4]) Szym. 419—434 = Eur. 253—266.

jaźni; do nikogo nie trzeba przywiązywać się zanadto, ponieważ w takim razie każda boleść podwaja się: człowiek cierpi i za siebie, i za drogą mu osobę, — najlepszy przykład ma tego dzisiaj na sobie.

Scena druga. Chór, który dotychczas nie mieszał się do rozmowy Jempsary z mamką, teraz pyta niespokojnie, co to wszystko znaczy, jaki jest powód choroby pani. „Nic dziwnego“, odpowiada mamka, „od trzech już dni nic w ustach nie miała, a wszelkie moje pytania uporczywie zbywa milczeniem [1].“ „Lecz Fetyfer,“ pyta chór, „czyż tego wszystkiego nie widzi?“ „Choćby nawet widział,“ mówi staruszka, to i on nie zdołałby zajrzeć w głąb' jéj serca; zresztą raz jeszcze sprobuję, — może teraz uda mi się posiąść jéj tajemnicę. [2])“ Znowu więc zwraca się do Jempsary z błagalnemi słowy: „O wdzięczna moja główko! powiedz mi, nad czém tak cierpisz, nie wstydź się niczego: przecie oprócz mnie są tu tylko twe panny, a te cię tak kochają! zlituj się, jeżeli nie nademną, to nad mężem; pragniesz umrzéć, jak powiadasz, — a co się stanie z twemi dziećmi? zła macocha będzie im dokuczać, służba dobrego słowa im nie da, i Józef — nawet i ten... [3])“ „Ach milcz!“ przerywa Jempsara, „to imię mnie zabija:“

(480)... *Jem.* Ach me! *Nut.* Pungit hic te [scilicet?	Eur. 310... Φαι. Οἴμοι. Τρ. θιγγάνει σέθεν [τόδε;
Jem. Perii! occidis me, mater, undique [occidis;	Φαι. ἀπώλεσάς με, μαῖα, καί σε πρὸς θεῶν
de iuvene eo sit, obsecro, silentium.	τοῦδ' ἀνδρὸς εὖθις λίσσομαι σιγᾶν πέρι.

Mamka przypuszcza, że to wspomnienie o dzieciach tak boleśnie dotknęło Jempsarę; ta jednak wyprowadza ją wkrótce z błędu, mówiąc: „Kocham dzieci, lecz inna to burza mną miota... [4])“ Tym sposobem przerwane zostało nakoniec długotrwałe milczenie Jempsary. Zaczyna się teraz tak zwana stychomythia, tak samo zupełnie, jak w tragedyi Eurypidesa [5]): z rosnącą wciąż ciekawością zadaje mamka pytania Jempsarze, która, jak może, wywija się od odpowiedzi, a wreszcie wpada w gniéw i rozkazuje jéj milczéć. Lecz mamka rzuca się na kolana przed panią i ponawia swe błagania.

Po długich wahaniach oświadcza wreszcie Jempsara, że kocha Józefa... Mamka uszom swym nie dowierza: „O bogowie i boginie! co ja słyszę! ty kochasz Józefa! owego Józefa, który jest najmilszą pociechą naszego pana, jego trzeciém oczkiem, światłem, błogosławieństwem i ozdobą domu! O! stokroć wolałabym umrzéć, niż usłyszéć to

---

[1]) Szym. 435—445 = Eur. 266—277. — [2]) Szym. 446—455 = Eur. 278—287 — [3]) Szym. 456—480 = Eur. 286—310. — [4]) Szym. 481—485 = Eur. 287—315. — [5]) Szym. 486—537 = Eur. 316—353.

z ust twoich! przez ten jeden dzień przeżyłam więcej, niż przez całe życie!“

Scena trzecia. Chór w pieśni kommatycznéj [1]) wyraża, podobnie jak mamka, swe zadziwienie, dodaje jednak, że uczucia miłości zwalczyć niepodobna, zwłaszcza jeżeli zagości ono w sercu młodém. — Tak więc Jempsara wyjawiła już swą tajemnicę w obecności chóru, teraz zaś pragnie opowiedziéć o wszystkiém obszerniéj, aby ulżyć swemu sercu; zaczyna się tedy długi monolog (558—637), który jest wolnym przekładem monologu Fedry Eurypidesa (373—430), a który w skróceniu brzmi, jak następuje: „Natura udzieliła człowiekowi daru odróżniania dobrego od złego, a mimo to jakże mało widzimy ludzi, którzy nie dają sprowadzić się z drogi cnoty: ja sama byłam dawniéj przekonana, że nic méj cnoty zachwiać nie zdoła; to téż gdy tylko spostrzegłam, że strzała występnéj miłości zraniła me serce, wszelkich dokładałam usiłowań, aby wygnać to uczucie z méj duszy; długo, długo walczyłam z sobą, lecz darmo, pokazało się, że namiętność jest silniejsza od poczucia obowiązku. Wtedy postanowiłam przynajmniéj ocalić swój honor, aby zostawić po sobie dobre imię dzieciom, a więc pozostaje mi tylko jedno... umrzéć! Umrę więc, i niechaj mi się nikt w tém nie sprzeciwia. Pragnę tylko jednę jeszcze rzecz wyznać przed śmiercią: ten szlachetny młodzieniec jest niewinny, — jam winna wszystkiemu!“ — Należy na tém miejscu zauważyć, że Fedra w tragedyi Eurypidesa ani słówkiem nawet nie usprawiedliwia Hipolita.

Chór w krótkich słowach chwali wstydliwość niewieścią, mamka zaś, która całą duszą kocha swoję panią, zaczyna teraz poważnie lękać się o jéj życie; żałuje tedy swego oburzenia, wywołanego narazie wyznaniem Jempsary, i stara się ją pocieszyć: „Nie dziw, że kochasz,“ powiada, „wszak to rzecz zwykła między śmiertelnikami, czyż dlatego więc masz sobie życie odbiérać? Szaleństwem jest śmiercią niemoc leczyć; trzeba mężnie oprzéć się pokusie, a to przyjdzie tém łatwiéj, że wiész przyczynę złego. Bardzo ci się chwali, że kochasz dzieci i chcesz pozostawić im dobrą pamięć, ale czy myślisz, że śmierć twoja zapewni im takową? mylisz się: znajdą się z pewnością tacy, co powiedzą, iż zabiłaś się właśnie dlatego, aby ukryć przed światem swą sromotę.“ — Innego zdania jest mamka Fedry; wprawdzie, na początku swego monologu (433 nast.) i ona powiada, że miłość Fedry do Hipolita powstała jedynie z woli Cyprydy, szaleństwem więc byłoby pozbawiać się życia [2]), lecz, według jéj przekonania, nie należy bynajmniéj wzbraniać temu uczuciu przystępu do serca, gdyż Cypryda jest

---

[1]) Szym. 638—639 = Eur. 431—432. — [2]) Eur. 433—440 = Szym. 640—649.

wszechmocna, i bogowie nawet walczyć z nią nie mogą. Już te słowa mamki wyraźnie świadczą, że pragnie ona wpoić w Fedrę to przekonanie, że zadowolenie namiętności nie byłoby tak strasznym występkiem; mamka zaś Jempsary zanadto jest szlachetna, aby namawiać swoję panią do grzechu. To téż, kiedy chór w „Hipolicie,“ przyznaje słuszność raczéj Fedrze, niż mamce, pojmując, iż lepsza śmierć, niż hańba, — w tragedyi Szymonowicza przeciwnie — chór utrzymuie, że trzeba się zastosować do mądréj rady mamki. Jempsara z goryczą jednak odpowiada, iż łatwiéj daleko radzić, niż cierpiéć. Wtedy mamka znów głos zabiera: „Jeżeli nie masz względu na rodziców, na męża, na dzieci, to pamiętaj przynajmniéj o tém, że bogowie, od których dotąd samego szczęścia tylko doznawałaś, mają równe prawo zsyłać na ciebie nieszczęście; a wiész przecie, że każdego, kto sprzeciwia się ich woli, karzą bogowie surowo; należy więc koniecznie przełamać w sobie ten postrzał zakazanéj miłości, jeżeli zaś sama nie czujesz się dość silną po temu, to są przecie różne środki lecznicze, które niezawodnie zdołają ostudzić płomień w twém sercu.“

Jempsara prosi mamkę, aby nie wspominała jéj o szczęściu, gdyż obecnie bynajmniéj szczęśliwą się nie czuje; według jéj zdania, lepiéj jest dla kobiéty, gdy mąż surowo się z nią obchodzi, gdyż zbyt wielka swoboda prowadzi często do grzechu. Chórowi podoba się bardzo ta sentencya, dodaje jednak, że należy więcéj dbać o piękne czyny, niż o piękne słowa: „Wiem ja o tém sama,“ mówi Jempsara, „że państwa, gdzie wiele rozprawiają, a mało działają, giną:“

(763) Pulchre mones: hoc scilicet cultis-[simas
evertit urbes, hoc domus pessumdedit:
impensi dicti cura, facti incuria.

Porów. Eur. 486 nast.:

τοῦτ' ἔσθ' ὃ θνητῶν εὖ πόλεις οἰκουμένας
δόμους τ' ἀπόλλυσ', οἱ καλοὶ λίαν λόγοι.

Są to jednak tylko piękne słówka, za pomocą których Jempsara chce ukryć to, co naprawdę uczynić zamierza; spostrzega to mamka i, nie mogąc ani na chwilę nawet pogodzić się z myślą, że może stracić ukochaną swoję panią, teraz woli już, aby Jempsara zadowolniła namiętność, niż aby miała śmierć sobie zadać [1]). Ale Jempsara oburza się na mamkę za podsuwanie jéj tak sromotnéj myśli, ta téż bynajmniéj nie nalega, gdyż sama dobrze pojmuje, że byłoby to hańbą dla całego domu; przypomina więc raz jeszcze, że posiada cudowne lekarstwo przeciwko miłości. Jempsara chwyta się tego, jak ostatniéj deski

[1]) Szym. 766—774, porów. Eur. 490—497.

zbawienia, wysyła więc mamkę, aby co prędzéj je przyniosła, błagając ją tylko, aby wszystko pozostało w ścisłéj tajemnicy [1]).

Stasimon I. Chór błaga Amora, aby nigdy nie zakłócał spokoju jego serca strzałą miłości (str. 1), od któréj daleko trudniéj jest uchronić się, niż od dzikiego Marsa (antystr. 1); w kwiecie lat doświadczył on, jak straszliwém jest żądło tego węża (str. 2): krótkotrwała uciecha, lecz ślad pozostał na długo (antystr. 2).

Strofa pierwsza téj pieśni znajduje się i w „Hipolicie"; tylko ostatnie wiersze zmienił nieco Szymonowicz, pozostałe zaś części są napisane całkiem samodzielnie.

Epeisodion II-gi składa się z dwu scen: 1) 848 — 1027; 2) 1028 — 1125.

S c e n a p i e r w s z a. Jempsara nakazuje milczenie dziewicom, gdyż wszelkie wspomnienie miłości bardziéj ją jeszcze drażni; jeden tylko jest środek przeciwko temu uczuciu, jak wogóle przeciwko każdemu nieszczęściu: czas i zapomnienie; zresztą, taki to już los człowieka, że o swych przeciwnościach zapomina jedynie pod brzemieniem świeżéj niedoli, podobnie jak na morzu większa fala pochłania mniejszą; mimo to człowiek powinien panować nad swém cierpieniem. Chór w przypuszczeniu, że Jempsara całkiem już przyszła do siebie, chwali tę rozsądną mowę, a chcąc dodać jéj otuchy, powiada, że ten tylko może być prawdziwie szczęśliwym, kto poprzednio doświadczył nieszczęścia; cudze nieszczęście może nawet często innym świecić dobrym przykładem, jeżeli tylko ten, który go doświadcza, mężnie i cierpliwie je znosi; spodziéwa się więc chór, że i Jempsara da teraz dobry przykład. Ale nadzieja ta nie sprawdza się wcale: Jempsara zgadza się wprawdzie na to, że cudza biéda nie jednego pouczyć może, wątpi wszelako, czy jéj własny przykład będzie budujący.

Wogóle, powiada Jempsara, kobiéty — to złe i grzeszne istoty. Chór protestuje, że chociaż, bezwątpienia, nie brak złych kobiét na świecie, dobrych jednak jest bez porównania więcéj. „Przeciwnie", mówi Jempsara, „tych pierwszych jest więcéj; prawie każda kobiéta jest wcieleniem różnych wad: jesteśmy kłótliwe, przykre, podejrzliwe, fałszywe, uparte, niesłowne, gadatliwe, rozrzutne, bezwstydne!" Chór obstaje przy swojém: choćby nawet tak było w istocie, to przecie kobiéty dzieci na świat wydają, a cóż może być na świecie rozkoszniejszego nad dzieci! Jempsara i na to znajduje odpowiedź, która jest w znacznéj części tłómaczniem monologu Hipolita [2]): „Po co w ogóle

[1]) Szym. 775—807, porów. Eur. 498—521.
[2]) Szym. 946—977=Eur. 616—644.

istnieją kobiéty na ziemi? czyż nie lepiéj byłoby tak urządzić świat, aby bogowie sami stwarzali dzieci? ludzie mogliby im za to składać ofiary w żelazie, miedzi lub złocie, i życie ich płynęłoby o wiele spokojniéj i ciszéj, bo ktokolwiek do domu swego wprowadza kobiétę, ten niech pożegna się już ze szczęściem! Nie bez kozery ojciec wyposaża córkę, aby tylko pozbyć się jéj jaknajprędzéj z domu; mąż z początku czuje się nader szczęśliwym, dogadza młodéj żonce we wszystkiém, sprawia jéj piękne suknie i kosztowności, lecz niedługo trwa uciecha; wnet pozna, jakiego-to ptaszka do domu wprowadził, i następuje gorzkie rozczarowanie“ [1]. Zdarzają się, mówi Jempsara daléj, niewiasty cnotliwe, lecz ona nie należy do ich liczby i wcale się z tém nie tai, nie ukrywa swéj namiętnéj miłości do Józefa, a miłość ta jest tak gwałtowna, że nie może się jéj oprzéć; a więc, aby nie zarażać innych złym przykładem, odbierze sobie życie.

Teraz już chór widzi jasno, że daremnemi byłyby prośby lub perswazye; myśli więc o sobie jedynie, boi się bowiem odpowiedzialności, jeżeli Jempsara targnie się na swe życie w jego obecności; dlatego téż o nic więcéj nie błaga, tylko aby Jempsara zechciała poczekać, póki mamka nie wróci.

S c e n a d r u g a. Właśnie powraca staruszka, niosąc lekarstwo dla pani; lecz ta odrzuca je niecierpliwie, nie wierząc, aby cokolwiek mogło jéj pomódz, i w długim monologu raz jeszcze opowiada chórowi o swéj miłości. Jest-to właśnie ów charakterystyczny monolog, który posiadają wszystkie bez wyjątku dramaty zachodnio-europejskie o Józefie. Jak się zdaje, treść tego monologu zapożyczył Szymonowicz od Crocusa, lecz w każdym razie — w najogólniejszych rysach jedynie. Jempsara mówi w tych mniéj więcéj słowach: „Odrazu, gdym poraz pierwszy ujrzała Józefa, serce moje zapłonęło ku niemu ogniem gwałtownéj, namiętnéj miłości; byłam pewna, iż kiedy Józef dowié się o tém, poczyta sobie za szczęście, że pani kocha niewolnika:

(1048) . . . . rem rata
sum facilem et in manu mea sitam aggredi,
qua, ubi libitum anima foret, possem frui,
ipsumque iuvenem, sicubi id resciseret,
in parte non parva beatitudinis
ducturum amari ab hera et rogari,

---

[1]) Na tém miejscu kończy się zupełnie zależność Szymonowicza od Eurypidesa.

Porów. Crocus, akt I, scena 3:

> . . . . ipsa
> sperabam infelix et gratiam inituram ab eo mihique
> favere tam obvio sic devincturam, nihil ut quidquam
> recusaturus esset, quis etenim servos homo tantam
> benignitatem herilem non cupide amplectatur atque
> etiam bene secum esse actum dicat? imo non magnae ducat
> felicitatis loco heram habere supplicem sibi suam?

Zawołałam go tedy do siebie i wyjawiłam mu swą miłość, lecz daremnie! ze wzgardą odrzucił me wyznanie. Próbowałam raz jeszcze, i drugi i trzeci—znowu to samo! Och! czegóż ja dożyłam,—ja, która mężowi nawet nie napraszałam się nigdy, teraz błagam niewolnika! Lecz może postępowałam zbyt natarczywie? a więc zmienię postępowanie: sprobuję teraz dobrocią i czułą prośbą dopiąć swego celu: i oto dlatego wyprawiłam służbę z domu, by nikt nie stanął mi na drodze. Niechaj nikt nie waży się mi przeszkodzić, — to już rzecz skończona! Lecz ty, mówi dalej Jempsara, zwracając się do mamki, jeżeli nie bez zasady nazywano cię dawniéj moją matką, jeżeli naprawdę mlékiem mnie swoim wykarmiłaś,—pomóż mi, ratuj mnie, zlituj się nademną!“ Biédna mamka nie wié sama, co robić: „ratujcie!“ woła do chóru, ale Jempsara na nic już teraz nie zważa i szybko wychodzi do innego pokoju, a wierna mamka pośpiesza za nią.

Stasimon II. Teraz chór już nie wątpi, że niedługo bardzo nastąpi katastrofa, i to wprawia go w przerażenie bez granic; chciałby więc uciec z tego domu, chciałby zmienić się w gołębicę lub jaskółkę, aby pofrunąć na skrzydłach daleko, daleko, i skryć się na wieki z oczu ludzkich w głębokie knieje leśne, gdzie błąkają się lwy i wilki; lepiéj bowiem trawić swój żywot pospołu z dzikiemi zwierzęty, aniżeli z rodzajem ludzkim (str. 1), bo nadeń nie masz nic wstrętniejszego na świecie; człowiek ma wprawdzie szlachetne dążności, ma zamiłowanie do cnoty, lecz dążności te zbyt są słabe i często nie mogą się ostać wobec ponętnych sideł występku (antystr. 1); zwłaszcza ludzie bogaci rzucają się w wir uciech zmysłowych (epod. 1) i innych pociągają za sobą w odmęt niecnoty. O, czemuż ten nieszczęsny młodzieniec nie mieszka raczéj w ubogiéj lepiance! gwiazda sławy nie jaśniałaby wprawdzie nad jego głową, ale za to występek byłby dalekim od niego. A tu, czyż podobna, aby sługa zachował cnotę, gdy widzi, co dokazuje pan? (str. 2). Lecz tak już bogowie postanowili, że pan bez sługi, bogacz bez nędzarza, istniéć nie może (antystr. 2): wszyscy ludzie muszą żyć społem; wielkiego więc dzieła dokona ten, kto w swéj żegludze, mając za ster cnotę, ominie ponure skały bezprawia!

Strofa pierwsza jest oczywiście naśladowaniem strofy pierwszéj stasimonu II „Hipolita“ (732 nast.), gdy chór zaniepokojony straszliwą groźbą Fedry, pragnie zapaść się pod ziemię lub zmienić się w jaskółkę, aby polecieć na brzeg morza Adryatyckiego. Główna zaś myśl strofy drugiéj, że dla Józefa niezamożność lepszym byłaby udziałem, przypomina myśl, zawartą w pieśni chóru w „Fedrze“ Seneki (821 nast.), iż Hipolit byłby o wiele szczęśliwszym, gdyby bogowie stworzyli go mniéj pięknym.

Epeisodion III składa się z czterech scen: 1) 1194—1339. 2) 1340—1424. 3) 1425—1528. 4) 1529—1564.

Scena pierwsza. Niebawem ciekawość chóru ma być zaspokojona, bo oto na scenie ukazuje się mamka; jęki i westchnienia wyrywają się jéj z piersi, bo téż takiéj niesłychanéj rzeczy, jak przed chwilą, nie widziała jeszcze! „Cóż się stało?“ — pyta chór — „czy Jempsara targnęła się na swe życie? czy może młodzieniec zginął?“ „Ani jedno, ani drugie“, odpowiada mamka, lecz słuchajcie, powiem już wszystko. Pani położyła się do łóżka, napozór całkiem spokojna; dziękowała mi, że odwodziłam ją od grzechu i kazała przyprowadzić do siebie Józefa pod pozorem, że chce mu dać pewne zlecenie. Myśląc, iż szał namiętności już minął, usłuchałam: młodzian spłonął tak właśnie, jak zorza poranna, gdy rozprasza ciemności nocy, lecz posłuszny wezwaniu, stawił się przed panią pokornie. Ta zaś jęła tak mówić: „O, dziękuję ci, Józefie, że pamiętasz o mnie niebodze, chciałabym odwdzięczyć ci się za twą dobroć; nachyl się troszkę do mnie, mam ci coś szepnąć do ucha. Trwożliwie, jak zwierzę ofiarne, wiedzione ku ołtarzom, nachylił się Józef, gdy w tém Jempsara, by głodny jastrząb, doganiający w locie gołębia, z całych sił schwyciła go za rękę i odezwała się w te słowa: oto nakoniec mam cię w swéj mocy, nie wymkniesz mi się teraz! bądźże rozsądny, przygarnij mnie do serca i wynagródź kilkakrotnie wyrządzoną mi obelgę; jeżeli i teraz jeszcze będziesz się upierał, to pamiętaj, że i kobiéta jest zdolna do zemsty. Podobnie jak skała morska stawia się ostro bijącym w nią bałwanom, tak Józef pozostał niewzruszony; błagał ją w imię bogów, w imię wierności małżeńskiéj, aby się upamiętała, a widząc wreszcie, że słowa jego nie mają przystępu do serca roznamiętnionéj kobiéty, usiłował przemocą wyrwać się z jéj kleszczów. Lecz ta, jak wściekła lwica, zatapiająca ostre pazury w małe źrebiątko, jeszcze mocniéj przycisnęła go do siebie i schwytała go rękami za szyję. Jeszcze jeden wysiłek zrobił Józef, i wymknął się nareszcie, lecz płaszcz jego został w rękach Jempsary. Oto, com widziała, kończy mamka, a teraz lękam się, aby pani życia sobie nie odebrała.

Scena druga. Obawa jednak mamki okazuje się wkrótce płonną, gdyż otwierają się drzwi, i wchodzi Jempsara. Myśl, że Józef zapewne tryumfuje teraz, może nawet żarty z niéj stroi, doprowadza ją do wściekłości. „To on winien wszystkiemu“, powiada, „on, niecny chwalca obcych bogów, bezwstydny szpieg, podły obłudnik, umyślnie to wszystko uczynił, aby mnie shańbić przed światem. O biada mi! lecz nadeszła straszna godzina odwetu! teraz pomszczę się swéj zniewagi, dowiodę mu, że ja tu jestem panią, pokażę wszystkim, co może kobiéta“. Próżno mamka chce ją uspokoić, Jempsara gniewnie powiada: „Więcéj ci widocznie na myśli ten świętokradca, niż ja“. Mamka prosi ją, aby zechciała przynajmniéj przejść do innego pokoju, bo lada chwila powróci Fetyfer. „A niech wraca“, rzecze Jempsara, „opowiem mu wszystko“. Chór oznajmia właśnie, że pan już nadchodzi. Słysząc to; Jempsara głośno jęczéć zaczyna.

Scena trzecia. Fetyfer, widząc łzy swéj żony, pyta, co zaszło w jego nieobecności, czemu Jempsara płacze. Ta długo nie odpowiada wprost na pytanie, tylko jęczy wciąż i narzeka na swą dolę, a gdy Fetyfer coraz to więcéj nalega, mówi, że chciano wyrządzić jéj sromotną zniewagę. „Lecz kto taki?“ pyta Fetyfer. „Ten, kogo szczodra twa ręka wszelkiemi obsypała dobrodziejstwy, komu zaufałeś bez granic“. Ale Fetyfer jeszcze domyśléć się nie może: wtedy nakoniec Jempsara pokazuje mu płaszcz Józefa, mówiąc: „Niechaj ta szata przemówi, którą pozostawił złoczyńca, ratując się ucieczką“:

(1458) Haec vestis expediat, quam adulter, territus
clamore nostro, liquit, elabens fuga.

Porów. Seneca, Hip. 895:

Hic dicet ensis, quem tumultu territus
liquit stuprator, civium adcursum timens.

Crocus, III, 1 . . . . vel hocce pallium
documento est ipsiusque fuga...

„Co widzę!“ — woła Fetyfer, „wszak to szata mego Józefa; chyba to żart?“ „Miałżebyś mi nie wierzyć?“ — mówi Jempsara. Fetyfer nie wątpi więcéj, skarży się tylko w dość długim monologu na los panów, których tak łatwo mogą podejść słudzy, przywdziawszy na się płaszczyk cnoty; o ileż łatwiéj jest rządzić gromadą niemych zwierząt, niż ludźmi! Następnie zastanawia się Fetyfer, co ma uczynić z Józefem, którego tak polubił, w końcu postanawia go surowo ukarać [1]), wydaje więc rozkaz, aby szukać zbrodniarza.

---

[1]) Porów. Crocus, III, 2.

Scena czwarta. Wtém zjawia się Józef, który bynajmniéj nie usiłuje usprawiedliwiać się, owszem, przyznaje otwarcie, że to jego płaszcz. Fetyfer czyni mu gorzkie wyrzuty, a wreszcie rozkazuje wtrącić go do więzienia, zapewniając Jempsarę, iż późniéj obmyśli dla złoczyńcy słuszną karę. Jempsara jednak czuje się niezadowoloną z tego obrotu rzeczy; według niéj nie trzeba zwlekać, lecz natychmiast ukarać Józefa śmiercią [1]).

Stasimon III. Chór, chociaż widzi, jaka krzywda dzieje się niewinnemu młodzieńcowi, jednak ani słowem nawet nie broni go, wypowiada tylko sentencyą, że podczas gdy w świecie fizycznym daje się spostrzedz zawsze jeden i ten sam odwieczny porządek wszechrzeczy (strof.), na ziemi, wśród ludzi, panuje nieład i bezrząd; sprawiedliwości nie masz na tym świecie, gdyż szczęście złym i występnym sprzyja jedynie, cnotliwi zaś zwykle są nieszczęśliwi (antystr.)

Zupełnie tę samę antytezę pomiędzy światem fizycznym a moralnym, zawiéra w sobie pieśń chóru w tragedyi Seneki. Dla okazania, że Szymonowicz jednak nie trzyma się niewolniczo Seneki, lecz tę samę myśl całkiem innemi słowy wyrazić potrafi, przytaczamy poniżéj obiedwie pieśni.

Strophica (1565—1582)

Quum mente me ab terris fero
et templa coeli, lumine contuor,
vicibusque cuncta fixis
ire et redire cerno:
noctem cedere luci,
lucem nocte recondi,
caniciem ninguidae
hiemis vere resolvi
et sertis florentibus
redimiri; frugibus
mactam aestatem deinde venire,
tandem autumnum, pomis uvis-
que datis, hiemem revocare;
eumque iugem circulum
meare et remeare:
curam deos habere rerum
atque esse providentiam
agnosco, plena tranquillae spei

Sen. Hip. 959 nast.

O magna parens natura deum
tuque igniferi rector Olympi,
qui sparsa cito sidera mundo
cursusque vagus rapis astrorum
celerique polos cardine versas,
cur tanta tibi est cura perennes
agitare vias aetheris alti,
ut nunc canae frigora brumae
nudent silvas,
nunc arbustis redeant umbrae,
nunc aestivi colla Leonis
Cererem magno fervore coquant
viresque suas temperet annus!

Antistrophica (1583—1600)

Mox deinde ubi humanas vices
ludumque fortunae ancipitem et gradu

Sen. Hip. 972 nast.

Et civi idem, qui tanta regis,
sub quo vasti pondera mundi

[1]) Porów. Crocus, III, koniec sceny 1.

dubio revulsa fata
specto, palamque cerno
impune ire nocentes,
virtutem male plecti,
omnigenis pessimos
opibus praesidiisque
pollere insultareque
melioribus, neque
defensorem ullum esse bonorum:
magnum torporem mens sentit
mea, sub dubium prope fixam
divum vocans potentiam,
sed absit; potius nos
stultos puto, deos quam iniquos:
occulta multa sunt dei
decreta, nulla non iustissima [1])

librata suos ducunt orbes,
hominum nimium securus abes?
non sollicitus prodesse bonis,
nocuisse malis?
res humanas ordine nullo
fortuna regit spargitque manu
munera caeca, peiora fovens.
vincit sanctos dira libido,
fraus sublimi regnat in aula.
tradere turpi fasces populus
gaudet eosdem colit atque odit.
tristis virtus perversa tulit
praemia recti:
castos sequitur mala paupertas
vitioque potens regnat adulter.

Exodos składa się z trzech scen: 1) 1601—1675; 2) 1676—1724; 3) 1725—1754.

S c e n a p i e r w s z a. Koryfeusz chóru wyrzuca towarzyszkom, iż nie stanęły w obronie cnoty, chór jednak usprawiedliwia się bezsilnością wobec gniewu pana, mówiąc: „Człowiekowi zacnemu nigdy nie dadzą wiary: choćby nawet sam Józef usiłował bronić się, choćby przysięgał, że jest niewinny, czyżby Fetyfer uwierzył mu? jedna fałszywa łza Jempsary ważyłaby u niego więcéj, niż tysiąc przysiąg Józefa!“ Pomimo to chór nie traci nadziei, że z czasem ucichnie gniew Jempsary i że, pod wpływem wyrzutów sumienia, wyjawi całą prawdę mężowi: wtedy zaś niewątpliwie Józef powróci do dawnych zaszczytów. W ten sposób usiłuje chór uśpić swe sumienie, lecz oto przychodzi poseł (s c e n a d r u g a) i opowiada szczegółowo o wtrąceniu Józefa do więzienia: „Niechętnie spełniliśmy rozkaz Fetyfera, gdyż wszyscy serdecznie kochamy Józefa, a nadto wiemy, że jest niewinny. Ale Józef mężnie znosił swe nieszczęście, a gdy zacząłem prosić go, aby mnie źle nie wspominał, gdyż nie z méj winy spadło nań to nieszczęście, odpowiedział ze słodyczą, że niedolę swą Bogu poleca, ponieważ On to jedynie go doświadcza, trzeba więc poddać się Jego niezbadanym wyrokom. To mówiąc, wszedł dobrowolnie do celi więziennéj i tam, upadłszy na kolana, jął się modlić gorąco [2]); i oto w tém promień cudownego światła rozproszył ponure ciemności więzienia i oświecił piękną twarz jego, a my, strachem

[1]) W „Hipolicie“ Eurypidesa chór również zaczyna wątpić, czy sprawiedliwość istnieje na świecie, jeżeli szczęście sprzyja raczéj złym, niż dobrym. Porów. także Hecab. 488 nast., Troad. 887 nast.

[2]) Porów. Crocus, IV, scena 2 i 3.

zdjęci, rzuciliśmy się na ziemię, nie śmiąc podnieść głowy. Jestem pewny, kończy poseł, że on niewinny; lecz teraz śpieszę do Fetyfera, aby opowiedzieć mu to wszystko".

Scena trzecia. Na zakończenie chór śpiéwa krótką pieśń o potwarzy, która częstokroć staje się powodem cierpień ludzi niewinnych (*septenarius* 1), gdyż wzbudza przeciwko nim niesłuszne podejrzenie (*septen* 2). Lecz niezawodnie nadejdzie kiedyś dzień, gdy prawda tryumfować będzie (*septen*. 3). Potwarz to ściągnęła nieszczęście na niewinnego młodzieńca (*septen*. 4), „ale teraz już nie będę zwlekała, choćbym nawet miała narazić się na niebezpieczeństwo i dam świadectwo prawdzie; powiem wszystko w oczy panu, lepsza cnotliwa śmierć, niż niecnotliwe życie!" (*septen*. 5).

III.

Powyższy rozbiór treści tragedyi „Czysty Józef" w porównaniu z utworami literatury obcéj okazuje, że autor pozostaje w największéj zależności od Eurypidesa, z którego tłómaczy, lub téż parafrazuje niekiedy całe monologi, niekiedy pojedyńcze zdania i wyrażenia. Trzeba jednak przyznać, że czyni to nader zręcznie i umiejętnie, wszystko bowiem, co zapożyczone z Eurypidesa, nadaje się w zupełności do rozwoju akcyi dramatycznéj; te zaś miejsca z „Hipolita", które nie stosują się do obmyślanego przezeń planu, albo opuszcza zupełnie, albo téż zmienia je wedle potrzeby; tak np. widzieliśmy, że w monologu mamki (epeisod. II, scena 3) tylko pierwsze wiersze stanowią przekład z Eurypidesa, resztę zaś opracował poeta całkiem niezależnie od swego pierwowzoru, gdyż chodziło mu o wystawienie mamki w innêm nieco świetle, niż u Eurypidesa. Zależność od Seneki jest już bez porównania mniejsza i ogranicza się do zapożyczenia kilku myśli jedynie, które potrafi Szymonowicz wyrazić nietylko zupełnie innemi słowy, lecz nadto o wiele piękniéj; o ileż poetyczniejszą jest np. przytoczona pieśń chóru w jego tragedyi, aniżeli w „Fedrze" Seneki. W jeszcze mniejszym stopniu zależnym jest Szymonowicz od dramaturgów nowszych. Na pewno można jedynie twierdzić, iż tylko Crocus nie pozostał nań bez wpływu, wpływ ten jednak tak jest nieznaczny, że właściwie tylko jedno miejsce tragedyi Szymonowicza da się ściśle zestawić ze „Świętą komedyą" (1048 nast. Croc. I, 3). Są wprawdzie niektóre sceny, wspólne obu dramatom, ale to podobieństwo bynajmniéj nie dowodzi zależności i świadczy, co najwięcéj, o têm, że sztuka Crocusa nie była obcą Szymonowiczowi.

Wobec więc tego wszystkiego nie podobna odmówić Symonide-

sowi pewnéj samodzielności w wykończeniu swéj tragedyi, zwłaszcza, iż bądźcobądź znaczną jéj część opracował poeta całkiem niezależnie od wzorów obcych. Jeżeli nadto zważymy, że w wieku XVI naśladowanie arcydzieł literatury starożytnéj było rozpowszechnione do tego stopnia, iż mało który z poetów nie czerpał pełną garścią z téj skarbnicy, to nie poczytamy zapewne za złe Szymonowiczowi, że i on w swéj tragedyi naśladował tragedyę grecką. Oparłszy się na gruncie dramatu klasycznego, osiągnął Symonides to, do czego nie wzniósł się ani jeden z dramaturgów zachodnio-europejskich, którzy opracowali podanie biblijne o Józefie, a mianowicie jedność akcyi. Z historyi biblijnéj obrał sobie poeta jeden tylko epizod — miłość żony Putyfara do Józefa i dzięki temu, tragedya jego przedstawia całość jednolitą i skończoną; a tego właśnie brak wszystkim bez wyjątku dramatom o Józefie — francuskim, hiszpańskim, włoskim i niemieckim. Co za porównanie, naprzykład, pomiędzy tragedyą Szymonowicza a „Ucieszną i pożyteczną sztuką“ Greffa i Maiora, lub dwunastoaktową „Komedyą“ Jordanna! Nawet sztuka Crocusa, który, jak widzieliśmy, dążył do koncentracyi akcyi, nie posiada téj zalety, gdyż autor nie ograniczył się tak, jak Symonides, do jednego epizodu. Gdyby Crocus zakończył swój utwór na akcie czwartym, w którym odbywa się uwięzienie Józefa, w takim razie osiągnąłby swój cel w zupełności: „komedya“ posiadałaby wtedy niezaprzeczenie jedność akcyi, lecz cały akt piąty popsuł zupełnie tę jedność, jako nie mający właściwie nic wspólnego z główną osnową dramatyczną. Być może, iż w tym akcie chciał Crocus ze względów pedagogicznych — dla okazania, że czy prędzéj, czy późniéj, cnota odniesie tryumf nad występkiem—przedstawić wyzwolenie i wywyższenie Józefa; lecz uczynił to nader nieumiejętnie: sztuka kończy się zawezwaniem Józefa do pałacu Faraona, tak, że słuchacze mogą się domyślać jedynie, że tu kres niedoli bohatéra. Słusznie powiada Schmidt [1]), że „komedyi“ Crocusa brak punktu. Pod tym względem daleko już konsekwentniéj postąpił Macropedius, którego utwór kończy się nietylko wywyższeniem Józefa, lecz nadto upokorzeniem Putyfara i jego żony.

Jak się więc okazuje, jeden tylko Symonides zrozumiał, że jedność akcyi każdego wogóle utworu polega nie na tém bynajmniéj, aby wszystko „obracało się około jednéj osoby“, lecz na tém, „aby fabuła, osnowa utworu, była całością jednolitą i zamkniętą w sobie“ [2]).

Co się tyczy rozwoju akcyi w tragedyi Szymonowicza, to ta

---

[1]) Elsässische Litteraturdenkmäler, Jahrgang II, 1880.

[2]) Aristot., Poëtica, 8.

bywa niekiedy rozwlekła z powodu długich monologów, ale od téj wady nie ustrzegł się ani jeden z pisarzy europejskich, którzy dramatyzowali życie Józefa. W każdym razie nie znajdziemy w utworze Symonidesa monologów w rodzaju, naprzykład tego, jaki wygłasza w dramacie Rueffa Putyfar, który tłómaczy się szczegółowo widzom, dlaczego potrzebuje koniecznie kupić Józefa.

Jedność czasu i miejsca zachował w swéj tragedyi Szymonowicz: co do pierwszego, cała akcya odbywa się w ciągu jednego dnia, co zaś do drugiego, przedstawia autor to, co się dzieje w inném miejscu, zapomocą opowiadania.

Zachodzi teraz najważniejsze pytanie, czy historya Józefa przedstawiona w ten sposób, jak przedstawił ją Symonides, jest przedmiotem, nadającym się do obrobienia tragicznego? Jeżeli istotą fabuły tragicznéj jest kolizya dwu sprzecznych sobie uczuć, popędów, dążności i t. p., to „Czysty Józef“ odpowiada w części temu warunkowi; bohatér ma tylko dwie drogi do wyboru: albo usłuchać podszeptów pięknéj kobiety, albo téż wzgardzić jéj miłością; jeżeli usłucha, nie spotka go nic złego, będzie się nadal cieszył względami pana, jeśli tylko ten nie dowié się, co zaszło, ale w takim razie podepce prawa boskie i ludzkie; jeżeli znów oprze się wdziękom syreny, spełni swój obowiązek moralny, sumienie jego będzie nadal czyste, ale niezawodnie ścigać go będzie zemsta Jempsary. Jest więc w osnowie tragicznéj starcie się dwu różnych momentów; lecz z drugiéj strony przyznać należy, że Szymonowicz nie potrafił wyzyskać téj kolizyi, nie potrafił należycie zadzierzgnąć węzła dramatycznego: jego Józef nie prowadzi z sobą właściwie żadnéj walki wewnętrznéj: nie waha się ani na chwilę nawet, co ma uczynić, ponętna postać Jempsary nie wzbudza w nim choćby chwilowéj namiętności, z którą potrzebowałby stoczyć walkę w swéj duszy. Pod tym względem Józef Crocusa ma stanowczą wyższość, gdyż daje się w nim spostrzec pewne, acz krótkotrwałe i nieznaczne, wahanie. Na obronę jednak Szymonowicza przytoczyć można to, że według pojęć tragedyi klasycznéj, a taką właśnie chciał stworzyć Symonides, taka walka wewnętrzna w duszy głównego bohatéra nie była *conditio sine qua non* tragedyi, czego dowodem jest pierwowzór „Czystego Józefa“, „Hipolit“ Eurypidesa; wszak i tu żadnego wahania w duszy bohatera nie ma zupełnie. Zgodnie z teoryą Arystotelesa [1]), głównym celem tragedyi jest wzbudzenie w sercach widzów przerażenia i litości. Wprawdzie, tragedya Szymonowicza tego pierwszego uczucia nie

---

[1]) Tamże, 7.

wywołuje, bo czyż opowieść o wtrąceniu Józefa do więzienia może kogo przerazić w porównaniu ze wstrząsającą do głębi serca opowieścią o straszliwéj katastrofie w „Hipolicie“? — lecz za to wzbudza uczucie litości, bo Józef ponosi karę zupełnie niewinnie.

Nie wszędzie jednak pozostaje Szymonowicz wiernym poetyce Arystotelesa; przedewszystkiém stosuje się to do bohatera tragicznego. Według Arystotelesa [1]), bohater tragedyi nie powinien być doskonałym pod względem moralnym, gdyż w takim razie jego katastrofa wywołała by uczucie oburzenia (μιαρόν). Tymczasem Józef jest właśnie typem wcielonéj cnoty, nie można mu uczyniéby najmniejszego zarzutu, to więc, iż pomimo swéj idealnéj cnotliwości, musi cierpiéć, wywołuje uczucie oburzenia. Wprawdzie i Hipolit ginie głównie dlatego, że nie zboczył z drogi cnoty, ale śmierć jego można choć w części usprawiedliwić, można mniemać, że nieszczęście spotkało go nie dlatego, że oparł się namowom macochy, lecz, że znieważył Afrodytę, najprzód swém życiem dziewiczém, a powtóre tém, iż nie bacząc na przestrogi dworzan, nie chciał złożyć ofiary u stóp bogini, a nawet odwrócił się od niéj z pogardą.

Druga istotna wada tragedyi polega na tém, że Józef, który wnosząc z tytułu, powinienby być bohaterem tragicznym, prawie zupełnie nie działa; na scenie widzimy go tylko dwa razy, a i tu rola jego jest bardzo szczupła. Utwory Crocusa i Bircka mają pod tym względem wyższość nad tragedyą Szymonowicza, w nich bowiem Józef ma rolę wybitną, tak, że można go rzeczywiście nazwać bohaterem dramatycznym. W sztuce zaś Symonidesa nawet ta scena, w któréj odbywa się perypetya, która najlepiéj mogłaby okazać cnotę Józefa, scena, gdy Jempsara po raz ostatni usiłuje go skusić, nie odbywa się przed oczami widzów, lecz dowiadujemy się o tém, co zaszło, z przydługiego nieco monologu mamki. Takie przedstawienie rzeczy wprost sprzeciwia się zasadom poetyki Arystotelesa, który wyraźnie powiada, że osoby w tragedyi powinny działać same, aby niepotrzeba było dowiadywać się o ich czynach z opowieści osób innych (δι᾽ἀπαγγελίας) [2]). Inna rzecz, jeżeli o wtrąceniu Józefa do więzienia dowiadujemy się z opowieści posła, jest to bowiem ostateczna katastrofa tragedyi, a ta w klasycznym dramacie odbywa się prawie zawsze po za sceną.

Właściwą bohaterką tragedyi Szymonowicza jest Jempsara; w jéj to duszy toczy się walka, walka pomiędzy namiętnością a poczuciem obowiązku względem bogów, męża i dzieci; rozumié ona do-

[1]) Tamże, 13. — [2]) Tamże, 6.

skonale, że miłość jéj jest grzeszna i zakazana, i bynajmniéj nie usiłuje usprawiedliwiać się sofizmatycznemi wykrętami, jak to czyni Sefira Crocusa, owszem otwarcie wyznaje, że ona wszystkiemu winna, nie zaś Józef; chce więc zwalczyć w sobie to uczucie, zamierza nawet położyć mu tamę samobójstwem, lecz w końcu namiętność zagłusza głos sumienia i rozsądku; postanawia tedy zadosyćuczynienie swéj namiętności, ale gdy postanowienie nie daje się w czyn wprowadzić, gdy Józef z pogardą odwraca się od niéj, wtedy powstaje w jéj sercu inne już uczucie, które świadczy, że jéj miłość była jedynie zmysłową: teraz pała ona jedynie pragnieniem strasznéj zemsty, nie mogąc wybaczyć Józefowi, że zdeptał jéj uczucie i obraził miłość własną; pod wpływem srogiego gniewu, zapomina, że przed chwilą jeszcze sama broniła Józefa, teraz jemu przypisuje całą winę, oskarża go przed mężem i nalega nań, aby go śmiercią ukarał. A chociaż Putyfar skazuje Józefa tylko na więzienie, w każdym razie to, że Jempsary nie spotyka żadna kara, jest równie μιαρόν, jak niczém nieusprawiedliwione cierpienia Józefa.

Mamka Jempsary ma charakter dużo szlachetniéjszy, niż mamka Fedry. Jest ona gorąco i prawdziwie przywiązana do swéj pani, usiłuje wszelkiemi sposobami odwieść ją od złego, nie szczędząc jéj ani uwag moralnych, ani błagalnych słów; widząc, że jéj perswazye chybiają celu, a nadewszystko obawiając się o życie Jempsary, dochodzi wprawdzie do przekonania, iż lepsza hańba, niż śmierć, ale na to, aby namawiać Józefa do bezwzględnéj uległości względem pani, tak jak namawia Hipolita mamka w tragedyach Eurypidesa i Seneki, nie ważyłaby się nigdy; a jeżeli w końcu przyprowadza Józefa do Jempsary, spełnia to jedynie w téj myśli, że Jempsara rzeczywiście pragnie dać mu jakieś zlecenie; że zaś tak jest istotnie, dowodzi tego straszne oburzenie, z jakiém opowiada chórowi całe zajście, mówiąc między innemi „Nie wiem, co mam podziwiać więcéj, czy bezwstyd téj pani, czy świątobliwość tego młodzieńca" (1218—9).

Chór w tragedyi Szymonowicza ma całkiem bierną rolę i nie posuwa akcyi ani na jeden krok; pieśni, które śpiéwa, są jedynie ozdobą poetyczną sztuki, oraz podstawą zewnętrzną podziału jéj na części składowe; w tym względzie Symonides poszedł zupełnie za przykładem Eurypidesa.

Co się tyczy dykcyi i stylu tragedyi, to język odznacza się poprawnością i pięknością, właściwą wszystkim wogóle poezyom łacińskim Szymonowicza; styl zaś jest nieco retoryczny: różne figury, jako to powtórzenie, porównanie, antyteza, alegorya i t. p., spotykają się bardzo często. Widocznie poeta podzielał zdanie Skaligiera, że re-

toryczność jest ważnym, a nawet niezbędnym, warunkiem tragedyi. Nadto sztuka Symonidesa jest przeładowana wielu sentencyami treści moralnéj, znów zgodnie z nauką Skaligiera, który wychodząc z zasady, że tragedya nietylko do litości pobudzić, ale i uczyć powinna, nazywa sentencye „filarami“ tragedyi [1]). Wreszcie zauważyć wypada, że nie na miejscu są w tragedyi Szymonowicza imiona bogów olimpu greckiego, jako to Pana, Dyktynny i t. p. w ustach Egipcyan; powszechna to jednak wada utworów literackich nietylko w wieku XVI, lecz i w XVIII jeszcze. Jakkolwiekbądź, wzywanie przez pogańskich Egipcyan bogów cudzoziemskich wprawdzie, ale także pogańskich, mniéj nas razi zapewne, niż kiedy czytamy w „Żywocie Józefa“ poczciwego Reja, jak Anchisa, służebna żony Putyfara, wykrzykuje „Matko Boża“, a inni mówią o „mszy księżéj“ i o „piszczelach w organach“

Pomimo wszystkich wyszczególnionych wad i usterek tragedyi Szymonowicza, posiada ona tyle cech dodatnich, że bez najmniejszego wahania należy jéj przyznać palmę pierwszeństwa wpośród licznych utworów dramatycznych XVI stulecia, osnutych na podaniu biblijném o Józefie. Gdyby p. Aleksander von Weilen, autor kilkakrotnie cytowanéj powyżéj monografii p. t. „Józef egipski w dramacie XVI wieku“, znał był „Czystego Józefa“, niezawodnie nie poprzestałby na prostéj wzmiance [2]), że „w roku 1587 Szymon Simanius Symonowicz, jezuita (*sic!*) napisał dramat łaciński „Castus Joseph“. A Stanisław Gosławski, który w r. 1597 przełożył tę tragedyą na język polski, najzupełniéj słusznie wyraził się, że Szymonowicz ubrał swego Józefa „w szaty drogie, kosztowne i takie, jakie od żadnego przedtém nie były dziane, i którym się wszyscy, co postronnych robót świadomi, dziwować muszą i dziwują, nie bez sławy polskiéj“.

Ignacy Chrzanowski.



[1]) Poëtica, III, 97. — [2]) Str. 132.



SZKICE CZERNEDY.

Mieczysław Czerneda (M. Bierzyński). Szkice (Warszawa, T. Paprocki, 1892 str. 286).

Jest to pamiątka po zmarłym, ślad tego, co w ciągu krótkiéj doby działalności literackiéj przemyślał i dokonał. Przyjazna ręka wyrwała z otchłani czasopism ten drobny dorobek artystyczny człowieka, który w wolnych jedynie chwilach od zajęć fachowych mógł się oddawać kreśleniu postaci i sytuacyi zaobserwowanych w Warszawie, w małém miasteczku lub na wsi.

Mieczysław Bierzyński jako student wydziału prawnego w uniwersytecie warszawskim, zmuszony zarabiać na utrzymanie, chwycił się robót dziennikarskich. W r. 1878 pracował przy „Wędrowcu“ jako tłómacz, dostarczając przekładów z literatury podróżniczéj („Tajemnicza część świata“, „Z Orenburga do Samarkandy“, „Podróż do południowéj Afryki“ i i.). W dwa lata potém został sekretarzem redakcyi „Ekonomisty“ i pomieścił tu, prócz krótkich artykułów rzecz nieco obszerniejszą p. t. „Z dziejów miast polskich“. Łączyła się ta rozprawka ze studyami podjętemi dla napisania dysertacyi kandydackiéj o „Przywilejach żydów w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą“. Otrzymawszy w uniwersytecie stopień kandydata praw w r. 1881, wszedł najprzód do redakcyi „Kuryera Warszawskiego“, potém „Nowin“ (kiedy ich redaktorem był Bolesław Prus), wreszcie „Gazety polskiéj“. Przez cały ten kilkoletni okres czasu był wyłącznie publicystą. Dopiéro od r. 1884, kiedy osiadł w Kielcach jako adwokat, zaczął się oddawać beletrystyce, tłómacząc wierszem białym to „Wilhelma Tella“ Schillera, to „Skąpego rycerza“ Puszkina, to puszczając się na próbę dramatyczną oryginalną p. t. „Sędziwój“, z którego urywek drukował „Tygodnik ilustrowany“. Wido-

cznie jednak, nie czując się dość pewnym na tym gruncie, zwrócił się niebawem do noweli, próbując i tutaj różnych tonów.

Zrazu uderzył w t. z. u nas popularnie ton humorystyczny, pisząc „Zemstę rywala“; gdzie lekkomyślny, nigdy z pensyjką sekretarską do ładu dojść nie mogący Witold, chociaż posiadał przymioty zgrabnego kawalera, dostateczne do podbicia serca Walerki, nie mógł się oświadczyć o jéj rękę, bo mu właśnie w dzień, na ten akt obrany, spółzawodnik, garbus-komornik, zrobił zajęcie z najniezbędniejszych do ukazania się na ulicy części ubrania... Co było nowego w téj „humoresce“? Chyba koncept komornika, który dla zwiedzenia Witolda delikatnie zapukał rano do drzwi jego i cieniutkim głosem po francusku prosił o ich otwarcie.

Potém wydobył z lekka ton minorowy, skarżąc się tęsknie na nietrwałość uczuć u mężczyzn lub u kobiét. Dwa połączone wspólną myślą obrazki „O zmroku“, jeden ze wsi, drugi z miasta, niewyraźnie, tajemniczo trochę, z pewną patetycznością ilustrują ten temat „wieczny“, jak go sam autor nazwał. W pierwszym, dziewczyna po kilku dniach zapomina o swych wzruszeniach i zapewnieniach, w drugim mężczyzna po latach dziesięciu, wstąpiwszy przez omyłkę do mieszkania ukochanéj niegdyś, nie poznał jéj nawet i obojętnie z piosnką na ustach odszedł, poinformowany, na drugie piętro. Sytuacye, tu nakreślone, były zanadto ogólnikowe, zanadto szematyczne, a obrobienie, styl nie odznaczał się ani zbyt wielką siłą, ani zbyt wielkim wdziękiem, ażeby obrazki owe mogły wywołać głębsze wrażenie, owszem, przedstawiały się jako nieudatne szkice poetyczne. Dźwięczało w nich atoli uczucie szczere, serdeczne, które nie znalazło tylko jeszcze właściwéj dla siebie formy wyrażenia.

Uczucie to następnie rozwinęło się nie w kierunku erotycznym, lecz społecznym, gromadnym. Nie cierpienia serc niezaspokojonych w pragnieniach swoich, ale cierpienia mniéj zapewne poetyczne, niemniéj jednak rzeczywiste i dotkliwe, różnych grup społecznych stały się przedmiotem spółczucia autora i tematem jego opowiadań. Obrał teraz sposób przedmiotowo-realistyczny przedstawienia rzeczy, zbierając i skupiając rysy drobne, codzienne i tworząc z nich całostki czasami wesołe i zabawne, częściéj smutne, a zawsze budzące myśl i uczucie. Różnéj są one wartości artystycznéj, ale we wszystkich znać bystry zmysł spostrzegawczy, dobre wpatrzenie się w społeczeństwo wiejskie i małomiasteczkowe, należyte pojmowanie jego potrzeb, wyrozumiałość dla jego wad i śmieszności, serdeczne spółczucie dla jego cierpień. Wielkich zasobów fantazyi, rozległych pomysłów, zdolności stylowéj lub

kompozycyjnéj nie okazał w nich autor, który dożył zaledwie 32 roku życia, a więc nie mógł jeszcze w całéj pełni rozwinąć swego talentu; ale w tym skromnym zakresie odtwarzania artystycznego wrażeń i spostrzeżeń, jaki uprawiał, dał rzeczy dobrze wykonane, niekiedy wzruszające i piękne.

Nie był to umysł twórczy, oryginalny, któryby sam sobie w nowelistyce drogę torował; poszedł owszem za kierunkiem, reprezentowanym w powieściopisarstwie ogólno-europejskiém przez Dickensa, częścią Daudet'a, u nas przez Bolesława Prusa, Orzeszkową. Biedy i kłopoty, słabości i zalety ludzi biednych odczuwając, starał się wzniecić dla warstw niższych szczerą sympatyę, pobudzić do zajęcia się polepszeniem ich doli, oświeceniem ich, podniesieniem ich świadomości i godności. Dokonywa tego po większéj części wyłącznie tylko przez przedmiotowe odtworzenie szczegółów ich życia, prawie nigdy nie moralizując wprost od siebie, a niekiedy nawet wcale nie wkładając w swe opowiadanie jakiejś myśli uogólniającéj, lecz starając się jedynie o wierne zobrazowanie rysów zaobserwowanych.

Takiemi np. są trzy pierwsze ustępy zarysów wiejskich, objętych napisem: „Pod strzechą". Widzimy tu najprzód „Wdowca", który po śmierci żony, podpiwszy sobie na stypie, wraca do domu, wykrzykuje i woła żony, a nie słysząc odpowiedzi, zapowiada, że „chociaż nigdy nie prał, to tera, dalibóg, ją spierze" i dopiéro gdy łóżko zobaczył puste, przypomniał sobie pogrzeb i w straszny płacz uderzył. Po kilku dniach już zauważył, że mu źle jakoś w chałupie bez kobiéty i obejrzał się za młodą dziewuchą, bo zmarła Jagna była starsza od niego i potomka mu nie dała. Choć Maryś się boczyła, wyszła jednak za wdowca, a szczegóły swatania z okolic Sobkowa i Chmielnika odgrywają w obrazku najważniejszą rolę. Podobnie w „Augustowéj" znajdujemy przedmiotowy rysunek miejskiéj lekarki, poczytywanéj w końcu za czarownicę. W opowiadaniu „Za śladem" mamy bardzo żywo przedstawiony pościg parobków za koniokradami. Dopiéro w czwartym obrazku téj grupy p. t. „Za sprawą" spotykamy obok realistycznego odmalowania niepokoju nabywców kawałka gruntu, z powodu, że akt nabycia spisany był tylko prywatnie, uwydatnioną nieufność chłopów do adwokatów przysięgłych, którzy im jasno i wyraźnie przedstawiają stan sprawy, a lgnienie do pokątnych doradców, którzy, dla wyłudzenia pieniędzy, tumanią ich obietnicami najpomyślniejszego rezultatu, śmiejąc się z nich w duchu. Sylwetka takiego pokątnego doradcy, Kiełczyńskiego, który posługuje się kapotowym napędzaczem spraw włościańskich, rysami świeżemi skreślona, stanowi główną tego obrazka ozdobę.

Widocznie sprawa ta zastanawiała Bierzyńskiego, jako adwokata, bardzo silnie, bo raz jeszcze wrócił do odmalowania innéj odmiany pokątnego doradcy w osobie „Wartałka"; ta wszelako figura nie ma tych cech oryginalnych, co Kiełczyński, jest szablonową w naszéj beletrystyce; a głupota chłopa, który dał sobie wydrzéć kilkanaście rubli i szkapę, jest chyba wyjątkowa i z tego powodu—rażąca.

Surowość wieśniaków w obchodzeniu się z dziećmi maluje Czerneda w obrazku „Za psa", gdzie chłopak świéżo do pasania gęsi wyprawiony, dostaje cięgi za to, że mu pies parę najpiękniejszych sztuk zadusił. Brak opieki nad dziećmi, brak żłobków i ochronek po wsiach uwydatniony został jaskrawo w zarysie p. n. „W zamkniętéj chacie". Matka poskoczyła o dwie mile na jarmark po garstkę soli, zostawiając w izbie kilkoletnie dziecko. Zabawiła dłużéj, niż myślała, bo ją wciągnięto do wesołéj kompanii. Za powrotem zastała synka okropnie poparzonego, bo głodny dzieciak, przez cały dzień nic nie jedząc, chciał sobie ugotować kartofli; część roboty dokonał szczęśliwie, ale gdy miał już z niéj korzystać, wywrócił na siebie duży garnek z wrzącą wodą.

Z innéj miejskiéj sfery wzięty jest obrazek: „Wyrodna." Szkicowo, może aż nadto pobieżnie przedstawia tu autor los dziewczyny zwiedzionéj, która, nie mogąc wykarmić dziecka, podrzuca je bogatym państwu do karety, a sama pada omdlała z głodu i znużenia na ulicy, a zawieziona do szpitala, umiéra. Sam temat, chociaż dotykający tak bolesnéj, a niestety tak często powtarzającéj się sprawy, nie tyle zajmuje, co drobne, miniaturowe szczegóły z życia najbiedniejszéj warstwy ludności miejskiéj, śmieciarek i żebraków.

Bardzo dobry, jasny, budzący w duszy łagodne uczucia, a tak pięknie odbijający od zbyt częstych nawet już u nas zarysów brutalności, jest obrazek p. n. „Niepłakany". Niegdyś żołnierz, potém robotnik fabryczny, cichy, przywiązuje się do biednéj rodziny, u któréj mieszka, zyskuje sobie miłość dzieci, pieści je i uczy, co i jak umié. Podczas pożaru fabryki, nieproszony i niedziękowany, bierze się do ratunku i pada ciężko zraniony. Gdy powstał z łóżka, nie znalazł zajęcia, zresztą siły mu nie dopisywały. Właściciel fabryki nie pomyślał nawet o wynagrodzeniu biédaka. Nie chciał być ciężarem owéj biednéj rodziny i poszedł w świat. Duma żołnierska, poczucie swojéj niemocy wypędziły go z izby, w któréj mu było tak dobrze. Pewnie bolał strasznie, gdy się decydował na tułaczkę, ale przemógł w sobie samolubne pragnienia, wiedząc, że bądźcobądź lżéj będzie żyć biédnym bez niedołęgi, który już na życie zapracować nie zdoła.

Wielce charakterystyczną figurą jest „Świadek“ rejentalny. Łagodny, uśmiechnęty, daje z siebie żartować do woli zarówno pryncypałowi, jak jego pomocnikom. O sprawach, przy których jest świadkiem, nic a nic nie wié, bo go one zgoła nie obchodzą. „Siedzi zgarbiony pod piecem, z nogami skulonemi pod ławką, z rękami bezwładnie opuszczonemi na kolana, lub zaciśnięty na krześle gdzieś w kąt, między wysoki stos ksiąg hypotecznych i ścianę, nawpół czuwa, nawpół drzémie. Pomięta twarz jego nosi to szczególne piętno czegoś, co w słowa ująć się nie da, co nie jest wyłącznie ani smutkiem, ani znużeniem lub bezczuciem, lecz mieszaniną tego wszystkiego. Takie piętna na twarzach ludzkich kładzie... życiowe rozbicie... Kilkanaście lat temu usiadł po raz pierwszy na ławce pod piecem i odtąd codziennie tu siada. Zimą czy latem, w mróz czy w gorąco, przychodzi punkt o dziewiątéj do kancelaryi, wita pana starszego dependenta i panów pomocników i siada na swojém miejscu. Czasem bierze kuryera do przeczytania, czyta jednak tylko wiadomości kościelne i ogłoszenia: reszta go nie obchodzi.“ Ożywia się dopiéro wówczas, gdy rejent wypowie słowa: „zaczynamy akt czytać.“ Wówczas wstaje, z powagą zbliża się do stołu i mieści się za innymi. Dependent czyta, rejent tłómaczy stronom zawilsze miejsca, Bobecki wszystkiego słucha i kiwa głową nieustannie, choć nie wié, o co rzecz idzie. Gdy dependent zatrzyma się w czytaniu, Bobecki myśli, że już akt skończony, pyta półgłosem: czy już, obracając pióro w palcach. Najczęściéj nikt nań nie zważa, dependent czyta daléj. Gdy wreszcie strony akt podpisały, a rejent podpisy przetłómaczył, Bobecki z powagą zasiada przy stole i dużemi, równemi literami wypisuje swoje imię i nazwisko, poczém jeszcze raz na podpis spogląda, czy mu nie brak czego, i dodaje zakręt, otrzepuje pióro i wraca na miejsce. O drugiéj, zanim uda się na obiad, idzie do dependenta i półgłosem prosi o „kartki.“ Co sobota kartki te wymienia u rejenta na gotówkę, za każdą bierze złotówkę. Mieszka na przedmieściu, u wdowy po woźnym sądowym, u któréj się téż stołuje; płaci regularnie i nigdy nie grymasi; dla dzieci anielską ma cierpliwość. Wieczorem sadza chłopca na kolanach i uczy go czytać. Gdy malec nie uważa, Bobecki strofuje go łagodnie i wykłada mu potrzebę nauki. „Żebym ja się był uczył—dodaje jakby dla siebie—to nie byłbym na starość... świadkiem.“ Oto promyk uczucia szczerze ludzkiego w tym sprzęcie rejentalnym.

Autor umiał takiemi promieniami rozléwać światło po swych obrazkach i nasycać je ciepłym kolorytem. Czasami niepotrzebnie umieszcza je tam, gdzie one są zbyteczne, jak w zapytaniu „Czy

wróci?“ flisak ze swéj wyprawy, lub tam, gdzie już przedtém ich nadużyto, jak w uwydatnieniu przestrogi, że nie wolno objawiać cierpienia „Błaznom“ cyrkowym, którzy z urzędu do śmiechu pobudzać powinni.

Ale to zdarzało się Bierzyńskiemu rzadko. Najczęściéj sympatye jego podzielamy w zupełności, czy mówi o „Niepłakanym“, czy o „świadku“, czy o „złodzieju“, czy o „kanceliście.“

Ten „Złodziéj“ to istotnie ciekawa i oryginalna figura. Dziecko ubogiéj szlachty, nie mając zdolności do nauki, oddane zostało przez owdowiałą matkę do rzemiosła wbrew przesądowi kastowemu i wbrew rojeniu o lepszém w świecie pokierowaniu. Chłopak ciągle zmieniał zajęcia, bo mu jedno szkodziło, drugie się nie podobało. Nareszcie dostał się do jakiéjś kaflarni w pobliżu miasta, nie zraził się pracą uciążliwą, wyzwolił się na czeladnika, wykierował się wreszcie na majstra. Matka mu umarła, zajął się losem siostry, zestarzałéj, schorowanéj, która od grobu matki oddalić się nie chciała, musiał więc znów zostać czeladnikiem w miejscu pobytu siostry. Nie trwało to długo, siostra poszła za matką. Nie mając już nikogo z bliskich, wszystkie zamiłowania swoje przeniósł na zawód obrany. Po głowie snuły mu się najróżnorodniejsze pomysły i ulepszenia; próbował układać nowe wzory na gzymsy, to chciał wynaleźć nowy rodzaj polewy, to mieszał różne gatunki gliny, aby dojść do kombinacyi najtrwalszéj. Nie mogąc u swego majstra urzeczywistnić nowych pomysłów, wydzierżawił kaflarnię sam na siebie, — poszczęściło mu się, po trzech latach miał już własną fabrykę w domku, który wybudował sobie za miastem. Ożeniono go, bo on o tém sam nie pomyślał. Lata mijały; działo się dobrze, aż znowu śmierć pozabierała mu najdroższych; został sam tylko z żoną. Wróciła mu wtedy namiętność do roboty. W jednym nowobudującym się domu ujrzał kafle nowego fasonu. Całe życie marzył, żeby zrobić coś podobnego! Prosił właściciela, żeby mu pożyczył jednego kafla na wzór. Ofuknięty, próbował przekupstwa wśród majstrów; napróżno! Zakradł się w nocy, schwycił kafel, lecz złapany, pociągnięty do sądu, skazany został na 3 miesiące więzienia. Po odsiedzeniu kary, wychudł, zgarbił się i opuścił. Jedna myśl ćwiekiem mu utkwiła w głowie: że go za złodzieja uznano; dobrze, że dzieci pomarły — mówił sobie—nikt im w oczy nie powie, że mają ojca złodzieja!... Szlachetny monoman!

„Kancelista“ — to bodaj najlepszy, a w każdym razie najrzewniejszy ze szkiców Czernedy. Przedstawia on losy nie jednostki, ale całéj grupy społecznéj, która w urzędowéj hierarchii nie ma stałego, etatowego miejsca, lecz jest zupełnie oddana na łup kaprysów losu.

Józef Bartnicki w podeszłym już wieku utracił zajmowane poprzednio stanowisko i dla utrzymania rodziny musiał zostać pisarzem biurowym z płacą 15 rubli miesięcznie. Pisał „jak litografia“, był pracowity i pilny, nauczył się przestawać na małém i kryć w duszy upokorzenia. Chwalili go zwierzchnicy, ale on czuł chwiejność swego położenia. Przyszła choroba. Co za troska, co za obawy! jeśli na oznaczony termin nie zwlecze się z łóżka i nie pójdzie do biura, miejsce jego zostanie zajętém... tylu jest kandydatów. Wmawia w siebie, że ma sił dosyć, ubiéra się gorączkowo, jedzie do biura, słyszy, jak prezes narzeka na wielki nawał roboty, odsiaduje swoje godziny i pisze, a resztę zabiéra do domu, łudzi się, że będzie mógł pracować w nocy. Istotnie, bierze pióro do ręki, suwa niém po papiérze, lecz musi je odkładać co chwila. Niemoc go jakaś ogarnia, coraz ciemniéj robi mu się przed oczyma, daremnie sili się przemódz. Westchnął i głowę na stół opuścił... i już jéj sam nie podniósł.

Wszystko to opowiada autor po prostu, zestawia zdarzenia i myśli, pozostawiając czytelnikowi snucie rozumowań i wczucie się w położenie tego nieszczęśliwego. Na samym końcu dopiéro przytaczając słowa obojętne jednego ze zwierzchników: „*A propos*, wiecie... Bartnicki umarł, a szkoda: pisał prosto litografia...“ dodaje od siebie: „Miał więc i mowę pogrzebową.“ Gorycz téj króciutkiéj uwagi jest wielka; streszcza ona w sobie całe cierpienie, jakiego doznawać musiał sam autor, opowiadając historyą Bartnickiego.

Ta szczerość i głębia uczucia w malowaniu bólów i trosk powszednich, będących udziałem wielkiéj liczby ludzi, nadaje szkicom Czernedy świeżość, a rozważne przedstawianie różnorodności natury ludzkiéj, więc nie pomijanie stron pociągających, szlachetnych, choćby w najskromniejszym zakresie, sprawia, że ich czytanie nie przygnębia, lecz podnosi i napełnia serce miłością dla ludzi.

P. Chmielowski.





UMOWY CELNO-HANDLOWE

W ŚRODKOWÉJ EUROPIE.

Umysłom, rozpatrującym teorye ekonomiczne w oderwaniu od życia, doprawdy trudno zmiarkować się, po czyjéj stronie znajduje się słuszność, wolnohandlowców czy protekcyonistów. Wycofują się téż one z téj trudności, trzymając się „złotego“ środka; pochylanie się zaś Europy to w jednym, to znowu w drugim kierunku tłómaczą sobie bardzo prosto tém, że ludzkość nie rozwija się niby w prostéj linii, lecz w sposób falisty, zabiegając zanadto po drodze wolnego handlu, aby następnie zatrzéć tę swoją jednostronność odpowiednio wygórowaném odchyleniem ku protekcyonizmowi. Lecz oświetlenie teoryi ze stanowiska wymagań życiowych, jako formułowania interesów społecznych, stawia odrazu kwestyę na zgoła odmiennym gruncie. Doktryna wolnohandlowców ujrzała światło dzienne w Anglii, kiedy kraj ten panował jeszcze wszechwładnie na rynku międzynarodowym. Wraz z nią przyszła na świat inna teorya, uzupełniająca, aby ląd stały pozostał przestrzenią rolną i kupował wytwory przemysłu fabrycznego angielskiego, wysyłając tam swoje surowce do spożycia i przerabiania. Hasła wolnohandlowców były wprost próbą ukołysania innych krajów i dozwalanie John-Bullowi korzystania bez przeszkód z rynków obcych. I dzisiaj, Anglia, nie obawiając się niczyjéj konkurencyi u siebie w domu, a jednocześnie pożądając wolnego wstępu wszędzie, jest wciąż zawziętą rzeczniczką zasady wolnego handlu. Lecz ulubiony jéj zamiar—zamienienia całego globu ziemskiego w rolne plantacye, siebie zaś w olbrzymią fabrykę, spełzł na niczém. Na lądzie Europy ukazały się kominy fabryczne, a właściciele ich, podkopywani współzawodnictwem

ze strony Anglii, poczynają przebąkiwać o konieczności uprawiania polityki „narodowo-ochronnéj“, podważać wszechzastosowalność angielskich ideałów wolnohandlowych, aż wreszcie stanowczo wysuną doktrynę protekcyonizmu. Zjawia się ona zatém jako teoretyczne sformułowanie rodzącego się w pewnym kraju wielkiego przemysłu, jeśli on na świat przychodzi, zagrożony przemagającą konkurencyą zagraniczną.

Obie te fazy ewolucyi „teoretycznéj“ należą już dzisiaj tu i owdzie do przeszłości. W wielu krajach pod osłoną protekcyonizmu, przemysł narodowy zmężniał i uczuł odpowiednią chętkę wyrzucania swoich wytworów na rynek międzynarodowy. Jego teoretycy otrzymują teraz do rozwiązania nowe zadanie: niedopuszczenia niebezpiecznych rywali na rynek krajowy, a jednocześnie zdobycia rynków zagranicznych, co więcéj uprzątnięcie ich z współzawodników. Zadanie te rozwiązano, wyłaniając teoryę „organizmów celnych“ t. j. takich związków pomiędzy okolicami różnemi globu ziemskiego, które wzajemnie mogą odgrywać względem siebie rolę z jednéj strony fabryki, z drugiéj folwarku rolnego. Teoretycy owi wytknęli dzisiaj cztery takie grupy: Wszechamerykę, obejmującą w sobie 104 mil. spożywców, Wielkobrytanię z jéj koloniami, zawierającą w sobie 114 mil. osób i pod każdym względem pokrywającą wszystkie swoje wymagania; Rosyę z jéj najrozmaitszemi klimatami i z 104 mil. mieszkańców i wreszcie środkową Europę z Włochami, państwami naddunajskiemi, Holandyą i koloniami holenderskiemi, przedstawiającą z górą setkę milionów spożywców. Rynki afrykańskie i chińskie byłyby widownią wzajemnéj wojny konkurencyjnéj pomiędzy temi organizmami, one same względem siebie stałyby jako wrogie i wzajemnie zamknięte mniéj więcéj obszary ekonomiczne, lecz w łonie każdego z pośród nich panowałaby zupełna swoboda handlu, a obejmując produkty najrozmaitszych klimatów, umożliwiała odosobnienie doskonałe.

Lecz w powyższém przedstawieniu nie trafiliśmy jeszcze do jądra najgłówniejszego. Żeby je wyłuskać z łupiny teoretycznéj, przyjrzyjmy się jednemu z owych wyteoretyzowanych przez Cohna i Kaufmanna organizmów celnych, mianowicie środkowo-europejskiemu. Kraje naddunajskie, wraz z Austro-Węgrami, będą dostarczały zboża i mięsa, Holandya ryb i produktów kolonialno-zwrotnikowych, a Niemcy wysyłały rudę żelazną i węgle, i wraz ze Szwajcaryą przerabiały surowce. Innemi słowy, Niemcy winny zająć właśnie to samo stanowisko na rynkach owego związku, o jakiém wolnohandlowcy marzyli kiedyś dla Anglii w obrębie całego globu ziemskiego. Według in-

nego stawu grobla, lecz w każdym razie zbudowana według tego samego wzoru! Organizm celny środkowo-europejski jest wprost pociskiem teoretycznym ze strony przemysłu wielkiego niemieckiego, który życzyłby sobie z obszaru międzynarodowo-wymiennego wygrodzić pewną przestrzeń na stałe. Z tych samych powodów Stany Zjednoczone wystąpiły z projektem „Ameryki dla Amerykanów“. Rosya wydzieliła siebie ekonomicznie z własnéj woli, nie dbając i nie pytając się o żadne organizmy celne. Jedynie Anglia oburza się przeciwko tym teoryom i usiłuje dowieść ich „nienaukowości“, gdyż usuwają ją z rynku wszechświatowego i każą poprzestać na arenie, znacznie mniejszéj. Z tego punktu widzenia możemy powiedzieć, że cała teorya organizmów celnych powstała wraz ze wzrostem przemysłów niemieckiego i północno-amerykańskiego, po nad swojskie potrzeby, jako środek teoretyczny usunięcia Anglii a pomocnicze narzędzie zapanowania wyłącznego na rynkach najbliższych sąsiadów.

Jako pierwszą poważniejszą próbę wcielania w życie organizmu celnego środkowo-europejskiego, należy uważać szereg traktatów handlowych, zawartych świéżo pomiędzy Niemcami, Austro-Węgrami i Włochami, wchodzących w życie w lutym 1892 r. na lat 12, oraz innych mniejszego znaczenia, które powiązały Szwajcaryę i Belgię z pierwszemi dwu mocarstwami, albo które powiążą te ostatnie jeszcze z państwami naddunajskiemi. Nie są one wprawdzie obwieszczeniem zupełnéj swobody handlu w obrębie zjednoczonego obszaru, lecz polegają na têm, że związane ze sobą państwa w poszczególnych rubrykach uczyniły pewne ustępstwa. Jakie? — przyjrzymy się temu późniéj. Z drugiéj strony winniśmy zaznaczyć, że pod osłoną harmonii ekonomicznéj, organizm celny jest zbiorem antagonizmów, a dojście jego do skutku świadczy, że jedne interesy poświęcono na ołtarzu innych. Zobaczymy, że pobudką, która doprowadziła pojedyńcze kraje do zjednoczenia i pokrzywdzenia niektórych grup swojéj ludności, były względy polityczne — utrwalenie trójprzymierza. Utrzymanie przez Niemcy zaboru alzackiego, zabezpieczenie całości państwa habsburskiego i wpływów odpowiednich na półwyspie bałkańskim, zachowanie *status quo* na morzu Śródziemném a w dalszym ciągu zabezpieczenie Włochom panowanie na niém, zadania te spowodowały powstanie owego sojuszu politycznego i następnie pociągnęły utrwalenie go spójnią ekonomiczną.

A teraz możemy przejść do rozpatrzenia się w zawartéj umowie i jéj właściwym charakterze.

* * *

Uczestnictwo Włoch w trójprzymierzu jest dla wielu rzeczą niezrozumiałą. Zwłaszcza prasa francuska jakoś „nie może“ pojąć tego faktu. Złączenie się Włoch z Niemcami, szczególniéj zaś z Austryą, która w swojéj garści trzyma jeszcze kawałek ziemi włoskiéj, wydaje się na razie czemś nienormalném. Rozejrzenie dawnych stosunków wymienno-handlowych i ciężkie skutki dla Włoch z wypowiedzenia Francyi wojny celnéj jeszcze bardziéj unaoczniają „nienaturalność“ takiego stanu rzeczy. Mianowicie w latach 1885—1887 z Włoch wywożono rocznie w przecięciu towarów za 496 mil. franków, co stanowi połowę całego ówczesnego wywozu włoskiego, Wskutek zerwania stosunków przyjacielskich, cyfra ta spadła niepomiernie. Dość powiedziéć, że wywóz wina, wynoszący w 1887 około 3,600 tysięcy hektolitrów, zniżył się 1890 do 900! Podobnie dzieje się w innych gałęziach wywozu. Francya znowu wtedy wysyłała do Włoch towarów za 373 mil. franków. Wobec tego uprawnionemi, zdawałoby się, są utyskiwania na „nienaturalność“ wojny celnéj i innéj niezgody z Francyą. Swoją drogą jest ona rzeczą najzupełniéj zrozumiałą. Nim przystąpimy do wykazania tego, wspomnimy, że na kilka tygodni przed utworzeniem swego gabinetu, Crispi z ławy opozycyjnéj wołał, że nigdy nie zgodzi się, ażeby „Włochy były żandarmem austryackim“, a jednak niebawem stał się głównym rzecznikiem takiego właśnie zachowania się. Rzecz ta we Włoszech powtarza się systematycznie z każdym członkiem lewicy radykalnéj, ilekroć zasiądzie na krześle ministeryalném. Pochodzi to stąd, że każdy gabinet musi liczyć się z większością parlamentarną i jeśli śpiéwa on piosnkę antyfrancuską, to tylko, ponieważ parlament zmusza go do tego. I znowu nastręcza się pytanie, jakim sposobem parlament włoski, będący niby w teoryi przedstawicielem narodu, może okazywać podobne dążności i zaniedbywać interesy wywozu. Istnienie cenzusu wyborczego, usuwającego lub osłabiającego wpływy drobnego i średniego rolnictwa, a dopuszczającego przedewszystkiém do wyborów producentów wielko-przemysłowych, jest dostateczną na to odpowiedzią. Włochy wysyłały do Francyi wino, owoce południowe, surowy jedwab—wszystko przedmioty rolne, sprowadzały zaś fabrykaty wykończone. Francuzi stają się przeto nader niebezpiecznymi współzawodnikami dla przemysłowców włoskich i to nietylko na rynku włoskim, lecz nadto w Tunisie, Tripolisie i t. d. Stąd to, z téj właśnie codziennéj utarczki pochodzą antypatye mieszczaństwa włoskiego ku Francyi, zaognione niektóremi wspomnieniami niedawnéj przeszłości. A ponieważ odpowiednie warstwy prowadzą właśnie rej w parlamencie włoskim, przeto wywołały one walkę celną z Francyą, stwarzając

jednocześnie odpowiednią klakę polityczną nienawiści, w ciągu zaś dalszym doprowadziły do trójprzymierza, które w ten sposób jest jedynie wypowiedzeniem w polityce zewnętrznéj antagonizmu pomiędzy rodzącym się wielkim przemysłem włoskim, a oglądającym się za obcokrajowemi rynkami francuskim, oraz stwierdzeniem panowania w parlamencie włoskim kapitału przemysłowego i podeptania przezeń interesów chłopstwa południowego.

Lecz pokrzywdzone na téj polityce interesy zbyt są liczne, aby miały milczéć. Przedstawiane w parlamencie przez słabą względnie partyę, lewicę radykalną, występują natomiast głośniéj w życiu pozaparlamentarném, chłoszcząc surową krytykę ojców związku z Niemcami. Zamknąćby usta tym utyskiwaniom można jedynie w ten sposób, gdyby gdzieś znaleziono rynek zbytu, równoważący stratę francuskiego. Właśnie rozpatrywana umowa, ze swojemi pobudkami wybitnie politycznemi, to sobie za cel postawiła. Ale nietylko winna ona była uczynić zadość temu prądowi anty-niemieckiemu; nadto, ponieważ interes ekonomiczny wielkiego i wogóle przerabiającego kapitału jest głównem źródłem niesnaski z Francyą, trzeba było pamiętać o nieobrażeniu go niczém. Słowem, Włochy z góry wymagały wiele, same nic nie poświęcając. Warunki polityczne zmusiły państwa środkowéj Europy do przyjęcia tego wszystkiego. Posłuchajmy głosu jednéj wpływowéj gazety niemieckiéj (Kolońskiéj). „W traktacie włoskim uwzględniono w bardzo nieznacznym stopniu uprawnione interesy niemieckiego przemysłu żelaznego; udzielone ze strony włoskiéj ulgi są natury wprost znikoméj w porównaniu z korzyściami, jakie Włochy otrzymały od Niemiec. Rzadko się zdarza, aby państwo, silne i bogate ekonomicznie, zachowywało się tak skromnie i zadawalało tak małém, jak to widzimy w umowie. Wywóz niemiecki do Włoch w tych warunkach nie podniesie się bynajmniéj, tymczasem włoski do Niemiec wzrośnie niepomiernie.“ Włochy zniżyły swoje cła wwozowe jedynie dla wyrobów chemicznych, kauczukowych i lamp w stopniu poważniejszym; cło od wyrobów żelaznych, wynoszące do 80% wartości przedmiotu, zaledwie dla formy nadwerężono, od tkanin zaś podwyższono. Natomiast państwa środkowo-europejskie zrobiły ulgi niezmierne względem cła od wina, co wywołało silne protesty, zaburzenia w parlamencie niemieckim i przedlitawskim; nadto zmniejszono cło wwozowe na wszystkie płody rolne południowe, niekiedy o 75%. Są to zwykle cła fiskalne, i władze niemieckie mają teraz przed sobą zadanie wyszukania innych źródeł dochodu państwowego.

Rozumie się, iż rynek, otwarty dla płodów południowych, nie

odrazu powetuje straty, poniesione przez ziemian na zerwaniu stosunków przyjacielskich celnych z Francyą, lecz swoją drogą powoli zagoi on ranę i uśmierzy nieprzyjaźń ku trójprzymierzu, która tli się wśród odpowiednich grup ludności włoskiéj. Umowa więc w zastosowaniu do Włoch jest w całém słowa znaczeniu manewrem politycznym. Dawniéj, chcąc pozyskać sprzymierzeńca, przekupywano osoby wpływowe; dzisiaj, w okresie parlamentaryzmu konstytucyjnego, kupuje się sympatyę całych odłamów. *Andere Zeiten, andere Lieder.* Lecz treść nie zmienia się. Łapówka polityczna pozostaje łapówką.

* * *

Zawarta umowa handlowa przeszła w sejmie węgierskim spokojnie, lecz natomiast wywołała w przedlitawskim burzliwe rozprawy, jakich oddawna nie widziano. Sprzeczność interesów ekonomicznych, z których poświęcono te i owe na rzecz innych, skład różnoplemienny z swojemi odmiennemi sympatyami i antypatyami politycznemi, wszystko to sprawiło, że słów nie obwijano tutaj w bawełnę, nie przyklaskiwano frazesom, które górnolotnością usiłowały okryć istotną dążność rzeczy, łapówki polityczne nazywano właściwém imieniem i bez ogródek wyświetlano rzeczywiste pobudki. Życie społeczne wypowiedziało się całą pełnią i otwartością na politycznéj giełdzie Przedlitawii. Z jednéj strony, żywioły ziemiańskie stanowczo oświadczyły się za umową, podobnie zrobili przedstawiciele kapitału spekulacyjnego, kolejowego i wielko-przemysłowego ze zjednoczonéj lewicy; tymczasem grupy drobnomieszczańskie, jak antysemici i młodoczesi, będący odgłosem politycznym bankrutującego ekonomicznie średniego i drobnego mieszczaństwa, wystąpiły nader ostro przeciwko warunkom, na jakich związano się z Włochami a zwłaszcza z Niemcami, témbardziéj że względy narodowościowe już i tak nieprzyjaźnie uprzedziły młodoczechów. Ks. Lichtenstein usiłował dowieść, że przeszło milion osób zostało poszkodowanych w Przedlitawii; inny deputowany wiedeński przepowiadał bankructwo rzemieślników wiedeńskich, a młodoczesi upadek tkactwa domowego czeskiego i przepełnienie Czech i wogóle Przedlitawii komiwojażerami fabryk niemieckich i towarami tego samego pochodzenia.

Stanowisko sejmu węgierskiego i różnych grup przedlitawskiego z góry pozwala nam zrozumiéć ukształtowanie saméj umowy, o ile idzie o Niemcy z jednéj, Austro-Węgry z drugiéj strony. Otóż uwzględnia ona przedewszystkiém, jeśli nie wyłącznie interesy ziemiaństwa habsburskiego. Płody rolnicze habsburskie doznały ulg bardzo znacznych. Cło od zboża obcokrajowego, wwożonego skąd-

kolwiek w granice Niemiec, wynosi 5 marek za 100 klg. wagi. Tymczasem dla austro-węgierskiego zniżono je do 3,5; podobnie poważne ustępstwa poczyniono we względzie mąki, drzewa, przedewszystkiém zaś co do przewozu i rewizyi bydła (żywego i mięsa). Naturalnie, Węgry, kraj rolny, którego cały wywóz dotychczasowy ogranicza się do zboża i mięsa, pośpieszył z natychmiastowém przyjęciem; różne partye, jakkolwiek bronią sprzecznych wewnątrz kraju interesów, jednako przecież były zainteresowane w dojściu traktatu do skutku. Jest on tak korzystnym dla węgierskiéj połowy państwa habsburskiego, iż ochrzcono go ironicznie *Paprika-vertrag*. Z takiém samém zadowoleniem spoglądają nań ziemianie przedlitawscy. Natomiast przemysł przerabiający Przedlitawii doznał strat, o ile nie jest prowadzonym na wielką skalę, a uprzywilejowanym politycznie, np. huty szklane. Kiedy Niemcy w zakresie przemysłu przerabiającego prawie nie zniżyły odpowiednich rubryk, Austrya poczyniła mnóstwo zniżeń. Nie będziemy zabawiali się w ich wyliczanie, ponieważ znajomość drobiazgowa nie przedstawia najmniejszego interesu dla naszych czytelników. Powiemy tylko, że ułatwiono nawet przewóz produktów niemieckich na rynki wschodnie i że kiedy w przecięciu zniżka rubryk niemieckich wynosi 10%—30%, tedy austryackich 25%—50%.

Na razie zdawałoby się, że ziemiaństwo węgierskie i przedlitawskie, korzystając ze swego przemożnego stanowiska politycznego wewnątrz państwa, wywarło nacisk na władze, iżby poświęciły na ołtarzu jego interesów wszystkie inne, oraz że przemysł odniósł podobne zwycięstwo nad ziemiaństwem w Niemczech, oddając je na pastwę rywalom węgiersko-austryackim, aby zdobyć sobie rynki austryackie i wschodnie. Takie uogólnienie, na pozór logiczne, nie odpowiada jednak istocie rzeczy. Że przemysłowcy niemieccy zyskali najwięcéj, o tém niepodobna wątpić ani na chwilę. Że ziemianie niemieccy nie zostali pokrzywdzeni, to już wymaga wyjaśnień. A przecież rzeczy tak stoją i nie inaczéj. Cena produktów rolnych na rynku, *caeteris paribus*, waha się w zależności od zaofiarowania. Gdyby zboże austryackie stanowiło znaczną część wwozu, a nadto poważną rubrykę w rozmiarach spożycia niemieckiego, zniżenie cła wywołałoby stosowny spadek cen. Tymczasem rzeczy wyglądają odmiennie. Austro-Węgry wwożą jedynie $^1/_6$ pszenicy, przychodzącéj do Niemiec z zagranicy, $^1/_{100}$ zaś owsa i żyta. Większe są już ilości procentowe wwożonéj mąki i jęczmienia. Ale zagraniczny wwóz zboża do Niemiec jest wogóle niewielki, gdyż kraj ten mniéj więcéj sam pokrywa swoje potrzeby. Słowem, zboże austryackie stanowi małą cząstkę wśród produktu rynkowego. Zatém i ziemianie niemieccy

nie potrzebują obawiać się strat. Utyskiwania ich są raczéj wywołane przez niebezpieczeństwo, grożące im w przyszłości z innéj strony, i mają na celu zapobieżenie już z góry temu. Przechodzimy właśnie do tego, a rozbiór wykaże nam jednocześnie, dlaczego grupy drobnomieszczańskie i anty-trójprzymierzowe sejmu przedlitawskiego z takim naciskiem powtarzały, że Austrya za miskę doraźną soczewicy sprzedała coś poważniejszego, co więcéj, że cała umowa z jéj strony jest tylko daniem łapówki Niemcom, żeby broniły one całości monarchii habsburskiéj. Mianowicie cła zbożowe w Niemczech są oddawna przedmiotem nieustających napaści ze strony miejscowych grup opozycyjnych. Jeśli weźmiemy czerwiec i lipiec 1891 r., na przestrzeni rzeszy niemieckiéj odbyło się kilkaset (niekiedy po 10,000 uczestników) zebrań przeciw cłom wspomnianym. Opozycya krańcowa, społeczno-demokratyczna, dążyła wprost do wywołania w Niemczech podobnego ruchu, jaki ongi wrzał w Anglii z tego samego powodu. Jeżeli uwzględnimy nadspodziewany wzrost ostatniemi czasy żywiołów ultra-krańcowych, zrozumiemy, iż władze niemieckie musiały liczyć się z tą niechęcią. Zaspokojenie jakieś, chociażby (i zresztą jedynie) cząstkowe tych wymagań, a jednocześnie niedanie pozorów najmniejszych, że zrobiono to pod tym naciskiem, było rzeczą wielkiéj wagi dla rządu niemieckiego. Umowa świéża wybawiła go z kłopotu i chwilowo zatkała usta opozycyi. Młodoczesi z całą mocą wytykali, że sytuacyę tę można było wyzyskać w najwyższym stopniu, a tymczasem że nie uczyniono tego. Co więcéj, Niemcy zastrzegły sobie prawo zniżenia taryfy zbożowéj względem innych państw w razie potrzeby, która, wobec niezadowolenia warstw ludowych miejskich, nadarzy się przed upływem lat 12. Austro-Węgry pozostaną wtedy na piasku — ustępstwa w zakresie przemysłu okażą się bez żadnéj wzajemności faktycznéj. Rzecz ciekawa, że żaden z obrońców umowy nie uwzględnił w odpowiedzi tego zarzutu. Jedynie agrarczycy niemieccy utyskiwaniem swojém z góry już odwodzą władze krajowe od pośpieszenia z zaspokojeniem żądań ludności miejskiéj.

* * *

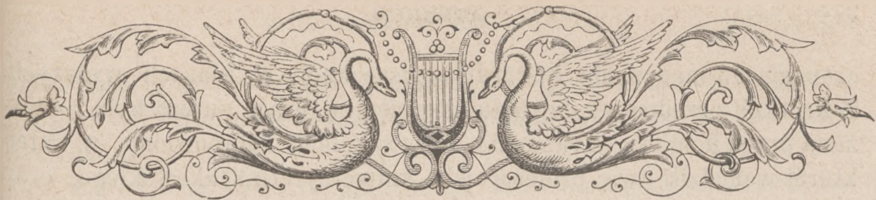
Względy polityczne odgrywają przemożną rolę i w zastosowaniu do innych drobniejszych umów. Starczy tutaj przytoczyć oburzenie niektórych warstw niemieckich z powodu umowy, zawartéj ze Szwajcaryą. Wprawdzie władze niemieckie mają na swoje usprawiedliwienie tę okoliczność, że nie szło im o zyskanie ulg w dotychczasowéj taryfie, ale w przyszłéj, która niebawem wchodzi w życie i jest nadmiernèm przeholowaniem zasady protekcyonizmu. Lecz

jeśli weźmiemy pod uwagę, iż Szwajcarya nie może obejść się bez rynku niemieckiego i że niektóre cła zostały podwyższone kilka razy, można zgodzić się z niektóremi przemówieniami w parlamencie niemieckim, iż względy polityczne: zyskania sympatyi szwajcarskich oślepiły rząd niemiecki. Austrya zaś obiecuje pokrzywdzonym przemysłowcom traktaty odpowiednie z państwami naddunajskiemi. Może ci odbiją swoje straty, lecz tamte znowu ustępstwa uczynią jéj z powodów politycznych, jak sama to zrobiła względem Niemiec.

Tak się przedstawiają sprężyny zawartego traktatu handlowo-celnego. Widzieliśmy, jak olbrzymią rolę odgrywają tutaj pobudki natury politycznéj i w jakim stopniu rzeczywistość odbiega od rojeń panów teoretyków. W ich przedstawieniu zawładnięcie przez Niemcy monopolu przerabiania surowców i pozostawienie Austryi honoru zajmowania się jedynie rolą, winno odpowiadać „naturalnemu“ przeznaczeniu każdego z tych krajów, a sojusz odpowiedni — być splotem harmonijnéj wzajemności. W rzeczywistości Niemcy są uprzywilejowanym spólnikiem, który mocą swojéj potęgi politycznéj zniewala Austryę do ponoszenia ofiar. Gdyby Przedlitawia była państwem jednoplemiennném, nie obawiającém się, iż pod wpływem odśrodkowo działających sił narodowościowych obróci się w strzępy, owa harmonia nie oglądałaby światła dziennego. Podobnie, gdyby nie konieczność posiadania dalszych sprzymierzeńców, Włochy nie znalazłyby się w sojuszu „naturalnym“. Wobec tego możemy ocenić istotną wartość wymarzonego przez teoretyków organizmu celnego środkowo-europejskiego. Jest on zapanowaniem ekonomiczném Niemiec na rynku środkowo-europejskim, dzięki ich potędze politycznéj. Warunki polityczne go zrodziły, i one go kiedyś zniszczą. Harmonia ekonomiczna jest tutaj towarzyszem, o którym wiele się mówi, ale który najmniéj ręki przyłożył.

K. R. Żywicki.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Historya powszechna," na klasy wyższe szkół średnich Wincentego Zakrzewskiego. T. I. „Historya starożytna". Lwów, 1891. XII, 268.

Jest-to szczególnie uderzającém zjawiskiem w piśmiennictwie naszém naukowém, że ze wszystkich umiejętności dzieje powszechne najmniéj nęcą ku sobie pracowników. O ile historya ojczysta po wsze czasy mniéj lub więcéj dzielnych, ale zawsze licznych znajdowała uprawiaczy, o tyle historya powszechna, zdaje się, jakby od siebie odstręczała. Nawet w ostatnich czasach przy żywszym wogóle ruchu umysłowym, nauka ta w porównaniu z innemi bodaj czy nie najpośledniejsze zajmuje miejsce. Brak nam nietylko prac ściśle naukowych, źródłowych, ale i książek szkolnych elementarnych, samoistnie obrobionych.

Spodziéwaćby się należało, że przynajmniéj pod tym względem Galicya braki te powinnaby zapełnić. Tymczasem wyprzedziła ją w ostatnich kilkunastu latach Warszawa, gdzie prócz mniéj zadawalniających kompilacyi Dubieckiego i Lewalda (oba traktują dzieje najnowsze) ukazały się samodzielnie opracowane, lubo niejednakiéj wartości pedagogicznéj, cenne podręczniki Korzona do nauki historyi starożytnéj, średniowiecznéj i nowożytnéj. Galicya zaś, o ile mi wiadomo, wykazać może jedynie drobnych rozmiarów historyą najnowszą P. J. Sawczyńskiéj, oraz „Historyą powszechną" Augusta Sokołowskiego, któréj wyszedł tylko tom I-szy, obejmujący dzieje starożytne we Lwowie 1878 r. Tłómaczenia więc z literatury obcéj, po większéj części mniéj udatne, w szerokiém są jeszcze użyciu. Wyparować je przedsięwziął profesor uniwersytetu krakowskiego, Wincenty Zakrzewski, który pod napisem wyżéj zaznaczonym wydał świéżo w jednym tomie historyą starożytną, jako część pierwszą dzieła, przezna-

czonego do nauczania historyi powszechnéj w klasach wyższych. Z krótkiéj przedmowy dowiadujemy się, że praca autora była rozważana przez komisyą z ramienia rady szkolnéj ustanowioną, w skład któréj wchodzili dwaj profesorowie uniwersytetu krakowskiego, oraz czteréj nauczyciele gimnazyalni pod przewodnictwem St. Tarnowskiego.

Chodziło więc oczywiście zarówno autorowi, jak i radzie szkolnéj o to, aby wydać książkę najzupełniéj swemu celowi odpowiadającą. Czy jest taką? — zobaczymy.

Aby podręcznik szkolny zadanie swoje spełniał należycie, powinien zadość czynić: 1) wymaganiom nauki; 2) potrzebom szkoły, względom pedagogicznym.

Od autora książki szkolnéj żądać niepodobna, aby opiérał się na źródłach, aby czerpał materyał z pierwszéj ręki, ale znać winien ostateczne wyniki nauki, oraz umiejętnie je zużytkować. Pod tym względem, o ile mi się zdaje, żadnego zarzutu prof. Zakrzewskiemu uczynić nie można. Obeznany z przedmiotem gruntownie i wszechstronnie, uwzględnia najnowsze opracowania celniejszych badaczów, rzecz swą przedstawia krytycznie i samodzielnie. Jest tak dalece sumienny, że nie pomija wydanego już po napisaniu swéj książki, dzieła Arystotelesa o Atenach i pierwotny ustrój tego państwa kreśli zgodnie z wiadomościami wielkiego filozofa, a nieco inaczéj niż to czyniono dawniéj. Wogóle robi praca ta wrażenie, że jest owocem poważnych studyów, rozległéj wiedzy i dużego rozmysłu. Z przyjemnością też zaznaczyć wypada brak uprzedzeń i zupełną bezstronność w traktowaniu rzeczy i ludzi. Historya tylko Hebrejów opowiedziana nie ze stanowiska naukowego, ale jak to zwykle bywa w podręcznikach szkolnych, biblijnego.

Autor zaopatrzył każdy niemal ustęp większy w bogatą bibliografią historyczną, podając przeważnie dzieła najnowsze. Przytoczenie literatury dziejopisarskiéj źródłowéj niewątpliwie jest pożyteczne, może albowiem być zarówno wskazówką dla nauczyciela, jak i podnietą dla ucznia do czytania dzieł poważniejszych. Żałować jednak wypada, że, przywodząc utwory obce, pominął swojskie. Prócz pism Pawlickiego, K. Morawskiego i Szujskiego („Profil Nerona“), nie wymienił Węclewskiego, Plebańskiego, Radlińskiego, Korzona, ani nawet wydawanych obecnie w Warszawie zbiorowemi siłami „Dziejów literatury powszechnéj“, których tom pierwszy obejmuje właśnie czasy starożytne. Podaje téż przekłady niemieckie prac francuskich i angielskich obok oryginałów, a nie wspomniał o tłómaczeniach polskich Mommsena, Justi'ego, Hertzberga. Być może, iż

wiadomości takie nie byłyby bez korzyści i dla nauczyciela i dla młodzieży. W terminologii niektóre wyrażenia wydają mi się mniéj właściwe.

Autor obok nazw łacińskich np. *comitia centuriata*, *comitia tributa* przytacza spolszczone: komicya centuryalne i trybutalne (str. 149); czy nie stosowniéj byłoby za Korzonem mianować pierwsze zgromadzeniami setniczemi, a drugie ludowemi? Podobnież zamiast trybunowie, edylowie plebejscy, nie raziliby trybunowie, edylowie ludowi; czemu *tribus urbanae* i *rusticae* (143), a nie okręgi miejskie i wiejskie; kohorty auxiliarne, straż pożarna, a nie wojska posiłkowe, straż ogniowa; obok stan rycerski spotykamy *equites* lub ekwitowie; na magistraty zaś zamiast urzędy, oraz szlachtę urzędową zamiast urzędniczą wątpię, czy ktokolwiek się zgodzi.

Wartość pedagogiczna podręcznika historycznego zależy zdaniem mojém: 1) od jakości zużytkowanego materyału dziejopisarskiego; 2) od układu książki i sposobu przedstawienia; 3) od języka i stylu.

Prof. Zakrzewski, mając zapewne na oku „Zarys organizacyi gimnazyów i szkół realnych“, obowiązujący w Austryi od r. 1849, oraz „Sprawozdanie komisyi w sprawie reformy szkół średnich“ (Krak., 1881), starał się niewątpliwie wymaganiom pedagogicznym uczynić zadość.

Przedewszystkiém całkowite uznanie należy się autorowi za to, iż zerwał z rutyną i zwyczajami dziś jeszcze w wielu podręcznikach historycznych panującemi. Oto w wyborze materyału dziejowego okazał takt niepośledni. Bierze przedewszystkiém to, co rzeczywiście maluje życie wewnętrzne narodów, co daje obraz istotny usiłowań duchowéj ich pracy, co, jeżeli nie w całéj pełni, to w szerokich rysach odtwarza zadania cywilizacyjne. Życie zaś zewnętrzne nie pominięte bynajmniéj, ale zupełnie słusznie zawarte w ramach stosunkowo mniéj szczupłych. A więc uwzględnione starannie instytucye polityczne i społeczne, urządzenia wojskowe, stosunki ekonomiczne, religia, sztuka, literatura, nauka i życie domowe. Uczyniłbym tu jednak zarzut, iż w przedstawieniu tych spraw zdałaby się większa równomierność. Autor bowiem, zwłaszcza w historyi Grecyi i Rzymu, główny nacisk kładzie na stosunki polityczne i społeczne — i zadużo poświęca im może miejsca z uszczerbkiem dla innych kwestyi, niemniéj przecie ważnych. Nieco po macoszemu np. traktowana jest literatura. Uczeń powinien czegoś więcéj dowiedzieć się o piśmiennictwie egipskiém, asyryjskiém i induskiém, aniżeli znajduje w książ-

ce. O literaturze hebrejskiéj ani wzmianki nawet. Poezya epiczna Greków przedstawiona niedostatecznie. W piśmiennictwie rzymskiém wieku srebrnego gołe jeno nazwiska. System pisma egipskiego nie wyświetlony wcale. Przemysł Rzymian i strona obyczajowa ich życia za cesarstwa skreślone również niewystarczająco.

Szczęśliwie za to uniknął autor przeładowania drobiazgami mało interesującemi lub nauczającemi. W opisach wojen zaznacza tylko wypadki najważniejsze, pomijając drugorzędne. Nie ma téż zamiaru męczyć ucznia niezliczoną ilością dat chronologicznych. Pod tym względem jest niekiedy trochę za pobłażliwym. Nie wadziłoby np. wskazać czas rozpadnięcia się państwa Salomonowego lub panowania 30 tyranów w Rzymie; brak téż rozgraniczenia chronologicznego między trzema królestwami egipskiemi. Usterki to zresztą drobne.

Całość dziejów starożytnych zawarł w 3 częściach: Wschód, Grecya, Rzym. Historyą Wschodu przechodzi etnograficznie; historya Greków rozpada się na 4 okresy, podobnież Rzymian; jedna i druga podzielona na rozdziały. Obszerność książki odpowiada w zupełności 3 godzinom tygodniowo kursu jednorocznego. Trafne jest również ustosunkowanie rozmiarów wszystkich trzech części dzieła.

Każdy rozdział składa się z pewnéj liczby ustępów, których treść zawsze prawie udatnie i zwięźle zaznaczona na początku tłustym drukiem. Pozornie treść opowieści wydaje się rozkawałkowaną. W gruncie jednak tak nie jest, albowiem autor umiejętnie wiąże z sobą ustępy pojedyńcze, tak iż ciągłość toku nigdzie nie nadwérężona. Ten sposób przedstawienia, jakotéż uwydatnianie w tekście odmiennemi czcionkami najważniejszych momentów, ma tę dodatnią stronę, iż uderzając oko ułatwia i zrozumienie ich i dłuższe zatrzymanie w pamięci. Rzadko zdarza się, że nagłówek niezupełnie odpowiada treści (np. str. 46). Godne są téż pochwały streszczenia, jakie wprowadza autor po opowiedzeniu dziejów wschodu, gdzie zbyt zwięźle podkreśla znaczenie każdego narodu, oraz po przedstawieniu historyi Grecyi i Rzymu, w dwu lub jednym okresie, gdzie uwydatnia fakta najwybitniejsze, charakterystyczne.

Żałować wypada, że obok takich streszczeń nie podał autor choćby zwięzłych, ale wyrazistych uogólnień, wydobytych z opowieści faktów dziejowych. Przez uogólnienia te rozumiem zaś charakteryzowanie właściwości każdego narodu (co zdarza się niekiedy, jak w historyi Fenicyan, ale niezupełnie zadawalnia), oraz wskazanie roli, jaką w świecie odegrał. Nie od rzeczyby téż może było przy końcu książki w ogólnym obrazie wyświetlić znamienne cechy cywilizacyi Wschodu, Grecyi i Rzymu, a także przedstawić jakość całego

dorobku kultury świata starożytnego, przekazanego w spadku czasom późniejszym. Poglądy takie dla młodzieży dojrzalszéj nietylko nie są zbyteczne, ale nawet konieczne. Zmuszają wnikać głębiéj w ducha dziejów i życie narodów. A historya przecież ma kształcić umysł zarówno pod względem materyalnym, jak i formalnym.

W wiadomościach wstępnych, mówiąc o naukach pomocniczych, objaśnia bliżéj nieco jeno geografią i chronologią, ale bardzo niedostatecznie, a innych wymienia tylko nazwiska gołe. Ustęp ten powinienby być znacznie rozszerzony. Tu także wyjaśnić należało pojęcia państwa i jego rodzajów, narodu, cywilizacyi. W nauczaniu są to rzeczy ważne, przez ucznia zwykle bałamutnie rozumiane, — a jednak przez autora całkowicie pominięte. Przydałby się téż w kursie dziejów powszechnych, choćby krótki szkic życia człowieka w czasach przedhistorycznych; — kwestya ta wcale nietknięta, lecz odesłana do archeologii przedhistorycznéj. Jakiém prawem? Na téj zasadzie możnaby np. i opis zabytków egipskich odesłać do archologii ogólnéj.

Wykład wogóle przystępny, jasny, przezroczysty. Wybornie przedstawione: wpływ cywilizacyi wschodniéj na Greków mało-azyatyckich i ich życie, kolonizacya helleńska, polityka Peryklesa i stan Aten za jego rządów, epoka hellenizmu, organizacya pierwotnego państwa rzymskiego, rzeczypospolitéj i cesarstwa. Doskonałe są téż charakterystyki osobistości wybitniejszych. Z książki tchnie życie i ożywia czytelnika. Mimo niezaprzeczonych i wybitnych zalet, znajdą się i usterki. Wytknąćby można autorowi tu i owdzie pewne braki, niedomówienia, niejasność, a nawet sprzeczności. Tak np. nie wiemy na czém polegały różnice i pokrewieństwo ludności starożytnego Egiptu z Etyopami, Libijczykami i Semitami (str. 6). Kto byli Pelazgowie (str. 44), jakie było stanowisko klientów (136—137, 152), jakie Filip oddał Rzymowi usługi, lubo je nazwano wielkiemi (171). O mytach greckich nic nie znajdujemy. Opuścił je autor zapewne dlatego, że zaznajamia się z nimi uczeń w kursie niższym. Sądziłbym, że pomijając opowieści, należało jednak wykazać ich znaczenie różnostronne w życiu narodu. O poezyi Homerowskiéj aż nazbyt ogólnikowo: uczeń nie zdobędzie żadnego wyobrażenia o „Iliadzie“ i „Odyssei“ (str. 71), a jednak autor porównywa z niemi Mahabharatę i Ramajanę (str. 30—31).

Niedostatecznie wyjaśnione przyczyny wojen perskich (75—76), nie zwrócono bowiem uwagi na antagonizm między wschodem i zachodem, a tymczasem późniéj (124) powiedziano, że Aleksander W. chciał je pojednać. O prawach XII tablic (144) niczego doczytać się nie

możemy, a przecież konieczną było rzeczą powiedzieć nieco o prawie cywilném, karném i postępowaniu sądowém. Przy nadarzonéj sposobności powinien przecież uczeń zaznajamiać się z organizacyą sądową. Przyczyną I-éj wojny punickiéj nie tyle była Messyna (159), ile raczéj Sycylia, a właściwie dążenie Rzymian do panowania na morzu. Napróżno téż szukamy wystawienia rządów Hannibala po Zamie i walk stronniczych w Kartaginie (174). Nie zobrazował autor życia pierwotnych Rzymian, zwłaszcza z epoki bohaterskiéj, a jednak mówiąc o zepsuciu w późniejszéj epoce obyczajów, przeciwstawia je dawnéj prostocie (179); nie uwydatnione téż takie postaci, jak Fabrycyusza, Dentatusa, Manliusza Torkwata, choćby nawpół legendowe; przydałyby się téż choć krótkie charakterystyki Gawiusza Poncyusza, Emiliusza Paulusa i Terencyusza Warrona. Nie wyjaśnił autor tak doniosłego twierdzenia, dlaczego „monarchia przy owoczesnych stosunkach w państwie rzymskiém była koniecznością“ (209), a uwaga zrobiona w streszczeniu II-go okresu nie wystarcza. Ogólny nastrój książki wymagałby dokładniejszego przedstawienia filozofii Platona;—z tego, co znajdujemy, wątpię, czy uczeń nabierze o niéj jakiegokolwiek pojęcia. A stanowczo nic go nie nauczą gołosłowne terminy: stoicyzm, epikureizm, neoplatonizm (129, 199—200, 255). Po co wymieniać wyrazy: gnostycyzm, manicheizm, montanizm (248), jeżeli ani słowem zasady tych herezyi nie objaśnione? Nie dowiadujemy się, kto był M i l o, lubo nazwany (204), ani też jakie i o co toczyły się między nim a Klodyuszem walki. Pod nagłówkiem „Kaligula i jego szaleństwa“ (233) żadnego faktu ilustrującego te szaleństwa. Uczeń nie wie, dlaczego *constitutio Antoniniana* tak się nazywa, kiedy przy Karakalli nie podano jego imienia Antoninus (247). Ozyrys raz bóstwem zmarłych, drugi raz bóstwem słońca (str. 8). Sądy ateńskie, raz nazwane ludowemi (61), drugi raz ludowemi przysięgłemi (86), może czytelnik uważać za instytucye różne; przytém o ich organizacyi zamiast na str. 94, właściwiéj byłoby powiedzieć na str. 86. Na str. 153 czytamy, że związek Samnitów został zniszczony, ale przedtem o jego istnieniu żadnéj wzmianki, a nawet coś wbrew przeciwnego na str. 150. Przedstawiając zmienność Alcybiadesa, czy nie należało zaznaczyć i niestałości ludu? Z przyczyny niezręcznéj redakcyi uczeń może Naxos i Thasos wziąć za miasta (87). Sądziłbym, iż wypadałoby przedstawić wpływ Wschodu na stronę obyczajową i religijną Rzymian za cesarstwa—czego autor nie uczynił. Pominięty również ustrój floty rzymskiéj.

W historyi cesarstwa rzymskiego skreślony jest obraz rozwoju chrześciaństwa, co w podręcznikach bywa zwykle zaniedbywane; ale

szkoda, iż nie przedstawiono organizacyi gmin chrześciańskich, jako dzielnego środka w krzewieniu nowéj religii i źródła tworzeniu się stanu duchownego. Ponieważ jest tu już wzmianka i o klasztorach (256), czemuż więc nie opisano organizacyi życia zakonnego? Na str. 255 czytamy nagłówek: Teodozyusz Wielki i kościół katolicki, tymczasem ani tu ani gdzieindziéj nie powiedziano słowa nawet o powstaniu i ustroju kościoła katolickiego. Ze względów pedagogicznych byłoby, zdaje mi się, stosowniéj wykazać wpływ helleński na Rzymian w jednym ustępie, aniżeli w dwu, str. 166—167 i 170 –171.

W przedstawieniu zamyka autor rzeczy podrzędne w nawiasach, ale posługuje się niemi nazbyt często, skutkiem czego rozrywa się uwaga czytelnika. Na str. 142 np. w ustępie 17-wierszowym mamy ich aż 4. Czyżby nie właściwiéj było fakta mniéj ważne, wyświetlające przedmiot główny, zawrzéć w odrębnych drobniejszym drukiem ustępach?

Co się tyczy wierności historycznéj, ośmieliłbym się w kilku miejscach niejaką wyrazić wątpliwość. Tacy despoci jak Dawid i Salomon przedstawieni są jako monarchowie łagodni (23); czy prawda, że Hebrejczycy różnili się pojęciami religijnemi od innych Syryjczyków (str. 20)? — autor żadnego nie przytacza na to dowodu. Ściśle biorąc język Wed nie jest właściwym sanskrytem (30); azali ludy turańskie w Iranie były Aryom pokrewne (33)? twórcą neoplatonizmu nie był Plotimus (254), ale wcześniejszy od niego Ammoniusz Sakkas; Champollion nie przed 50 kilku laty (7), ale już 1822 i 1824 wyłożył system hieroglificzny.

Styl obok prostoty posiada odpowiednią przedmiotowi powagę a lubo nie zaleca się wytwornością ani polotem poetycznym, nie pozbawiony przecież pewnego powabu i wdzięku, czyta się z przyjemnością. Poprawność i czystość języka dodają téż książce szkolnéj niepośledniéj zalety. Widnieje jednakże tu i owdzie osobliwa skłonność do używania wyrazów przyswojonych, takich jak: proklamować, uzurpować, uzurpator, antagonizm, domeny, internować, delatorstwo, rogacya, prorogowane imperyum, innowacya, proskrybowany, frumentacya, restytuować, alimentarny, woluta, które łatwo zastąpić własnemi. Możnaby téż wytknąć pewną liczbę usterków językowych, choć „rewizyi całéj książki pod względem... języka“ dokonał dr. Hugo Zathey. Użycie np. spójnika albo zamiast czyli: bohaterów albo półbogów (str. 45), cylindry chaldejskie albo gemmy (16); prędzéj zam. wcześniéj (str. 10, 35, 205); niewłaściwe odniesienie zaimka który w zdaniu: „Lizander, ambitny... obdarzony niezwykłym talentem organizatorskim, który wszedł w stosunki z oligarchami...“ (str. 107). Zamiast sobie czytamy mu: (Katylina) pragnął z pomocą podobnych mu to-

warzyszów (str. 198); toż samo na str. 201. Rażą ucho niemile takie zwroty jak: Przodowały w tem miasta jońskie *w* liczbie 12 (w tem dwie wyspy) str. 49; powracała napowrót (str. 130); przewroty od demokracyi do arystokracyi i naodwrót (*ib*); wszczęły się znowu walki greckich miast sycylijskich pomiędzy sobą i zaburzenia wewnętrzne prawie w każdém z nich i wszędzie prawie nastała demokracya (str. 105); w zdaniu: Cymbrowie rozdzielili się od Teutonów (184) powinno być: oddzielili się; wątpię również, czy cechują wzorową polszczyznę wyrażenia: miasta rozwijały się bardzo pomyślnie z rolnictwa, handlu i przemysłu (52); (Sulla) sankcyi (nowych ustaw) był zawsze pewny przez swoich weteranów (191); Jerozolimę objęli Rzymianie w swój zarząd przez prokuratorów (236); ustanowił okręgi większe złożone każdy z kilku prowincyi (256); farbiarstwo purpurą (26); wystąpił szeregiem mów (210); Konstantyn oparł je (cesarstwo) o chrześciaństwo (260); wręcz nielogiczne są zdania: Fenicyanie na południu opłynęli Afrykę dookoła (27); którzy dostarczali żołnierzom wszelkich potrzeb (226); Latynowie dzielili się na wiele państewek (135); zamiast udziały (92) mówimy zwykle działy; zamiast podmurowanie sztuczne (18) wystarczyłoby samo podmurowanie.

Nie mogę téż pominąć milczeniem pisowni imion własnych osób i miejsc. Prof. Zakrzewski jest w téj mierze nader niekonsekwentny. Nazwy greckie bowiem podaje raz w formie językowi Hellenów właściwéj to znowu w postaci łacińsko-polskiéj lub z końcówkami zupełnie obciętemi, nazwy zaś rzymskie już to w nieskażonéj formie łacińskiéj, już w spolszczonéj. Więc spotykamy Bab*y*lon, S*y*don, L*y*kiowie, L*y*dowie, ar*y*stokracyja, g*y*mniczny obok: Psame*ti*ch, T*i*glat, ill*ir*ski, *ti*mokracyja, O*li*mp, *gi*mnastyczny, Termo*pi*le, Xan*ti*pp, *Li*zander; *T*emistokles, *T*ezeusz obok: *Th*eseion, *Th*asos; *C*yrus, Al*c*ybiades, Tu*c*ydydes, *C*unctator, *C*elesyryja obok: *K*yaxares, Amale*k*ici, *K*imon, *K*ythera, *K*yklady, *K*ynos*k*efale, *K*anny; Fok*is*, ale Lok*ryda*; F*oj*bidas, Chabria*s*, Lysia*s*, ale Aristo*gi*ton, F*i*dya*sz*; Eubul*os*, Efes*os*, Harmod*ios*, Mardoni*os* ale Gylipp, Klit*us*, Mardoniu*sz*, Milet; jeśli *periaikoi* czemuż i nie Heilotai jeno Heloci? Appiu*sz* Klaudyu*sz*, Semproniu*sz*, Lucyu*sz* Sc*y*pio lub Sc*y*pi*on*, Kamill obok: Furi*us* *C*amill*us*, Flamini*us*, Luci*us* S*cipio*; numid*ij*ski i numid*yj*ski; Etrur*ii* i Etrur*yi*. Sądzę, że taka bałamutna rozmaitość w podręczniku żadną miarą istnieć nie powinna.

Do spisu błędów drukarskich, pomieszczonego na czele książki, dodać należy jeszcze: ceremonyał (40), Peleponez (47), rozpręženie (76), kuralny (149), podniósłszy zam. poniósłszy (164), kapilistów (195),

epikuryjski (199), gdy się weszła (234), Flawyuszów (237), prowicyi (240).

Zaznaczone powyżéj usterki wartości książki bynajmniéj nie ujmują. Rozpatrzywszy bliżéj, uważam ją za nabytek dla literatury pedagogicznéj nader cenny.

Szkoła zyskuje dużo i za wyborną tę pracę może być tylko autorowi wdzięczną. Oby nie długo trzeba było czekać na tomy następujące.

Do dzieła tego rodzaju nieodbicie są potrzebne odpowiednie ilustracye w guście Brockhausowskiego „Atlas der Culturgeschichte." Czy Galicya na to zdobyćby się nie mogła?

St. Mieczyński.

Arabella B. Buckley. „Przez szkła czarodzieja." Przełożył z angielskiego J. K. Potocki. Warszawa, nakładem księgarni Paprockiego, 1892.

Czarodziéj jest to nauczyciel szkółki angielskiéj, który posiada obfity zasób teleskopów i mikroskopów, spektroskopów i przyrządów fotograficznych; opowiada więc uczniom swoim o têm wszystkiém, co przez te szkła widziéć można.

Mamy tedy naprzemian wykłady, już to o dalekich ciałach niebieskich, już o drobnych zwierzątkach i roślinkach, albo o budowie wewnętrznéj minerałów. Ostatnie tylko dwa rozdziały tytułowi książki nie odpowiadają, w jednym z nich bowiem mowa o „kucykach dartmoorskich czyli o wędrówkach rodzaju końskiego," drugi zaś zawiera obraz bytu człowieka przedhistorycznego. Wiadomości ma czarodziéj rzeczywiście dużo i ożywiony jest szczerym do nauki zapałem, ale na nieszczęście lepszym jest czarodziejem niż pedagogiem, — erudycya go przygnębia. Autorka rozporządza widocznie zasobną biblioteką i umié z niéj dobrze korzystać, ale ogromna moc drobnych szczegółów nuży uwagę młodego zwłaszcza czytelnika, choć ją podtrzymuje nieco zapał autorki, zamiłowanie, z jakiém by pragnęła przelać skarby swéj wiedzy do umysłów młodocianych. Uwagi te tyczą się zarówno rozdziałów odnoszących się do historyi naturalnéj jak i do astronomii, pierwsze jednak wydają się nam lepszemi od drugich, dla tego może, że przedmiot ich jest dostępniejszy. Najsłabiéj bezwarunkowo napisany jest rozdział II: „Szkła czarodziejskie, — jak się posługiwać niémi," — najbystrzejszy nawet chłopiec nie zdoła zapewne wynieść słabego choćby pojęcia o zasadach budowy przyrządów optycznych; autorka pokusiła się o rzecz niemożebną, na wykład bowiem nauki o soczewkach, o oku, o mikroskopach, lunetach, teleskopach, spektro-

skopach i o fotografii, którym rozdział ten jest poświęcony, zwykły nauczyciel potrzebowałby, co najmniéj kilkunastu lekcyj.

Sama autorka dobrze to czuje, że ją moc szczegółów przygniata, ale nie ma możności z niemi się rozstawać, żal jéj pominąć cokolwiek, o czém się sama dowiedziała: „Teraz, kiedy powrócił (czarodziéj) do swojéj szkoły, umysł jego tak pełny był faktów, iż czuł pewne zakłopotanie na myśl, w jaki sposób przedstawi klasie owe dziwne dzieje człowieka przedhistorycznego“ i t. p.

Chociaż jednak autorka czerpie z dobrych źródeł i wiadomości jéj są rzetelne, uderzają niektóre ustępy błędne czy téż nie zrozumiałe. Takiém jest np. zupełnie niejasne tłomaczenie plam słonecznych na str. 143, zakończone takim dziwolągiem: „Sprawa ta, jak wiemy, zatrzymuje czyli pochłania wiele światła, idącego od bryły słonecznéj, tak że środek słońca, gdzie ów prąd jest najsilniejszy, będzie się wydawał czarnym nawet wtedy, gdy jakie takie światło przezeń przechodzi.“ Albo téż (str. 51): „Co do gwiazd, to możność albo niemożność widzenia ich zależy całkowicie od ilości promieni, zebranych przez szkło przedmiotowe; w takich bowiem olbrzymich odległościach promienie rozchodzą się pod kątem nieskończenie małym,“ — Ma to zapewne znaczyć po prostu, że kąt, pod jakim gwiazdę stałą widzimy, jest nieskończenie mały.

Zupełnie téż niezrozumiałe jest zdanie (str. 117): „Gdyby więc w pewnéj odległości pod kołem kuli ziemskiéj znajdował się ocean roztopionéj lawy...“ Co to jest koło kuli ziemskiéj?

O gwieździe podwójnéj — Niedźwiedzicy wielkiéj — czytamy, że składa się z dwu gwiazd — białéj i szaréj; jak bryła świecąca może być barwy szaréj — trudno téż pojąć.

Dawniéj przełożona książka tejże autorki: „Czary w krainie wiedzy“ zjednała jéj znaczny u nas rozgłos, — książki téj nie znam i nie umiem powiedziéć, o ile uznanie to jest zasłużone; co do pracy wszakże, o któréj mowa, zdaje mi się, że czytelnikom, dla których jest przeznaczona, korzyści istotnéj przynieść nie może, jest bowiem częścią nużącą, a częścią niezrozumiałą. Rzecz jasna, że o wybór książki tłomacza winić nie można, rzeczy takie robią się u nas bowiem jedynie „na obstalunek“ samych wydawców. Panu Potockiemu ten natomiast możnaby zrobić zarzut, że książki choć cokolwiek nie zlokalizował. Tak np., nie zadał sobie pracy zamiany mil angielskich na pospolicie u nas używane mile geograficzne, albo lepiéj jeszcze na kilometry, skąd dla nas, przywykłych do innych miar, brzmi dziwacznie, np., że odległość od Neptuna wynosi 27,000 milionów mil; albo, co za korzyść

mówić o yardach dziecku, które nie wie zgoła, że miara ta obejmuje trzy stopy. Podobnież nie nauczy go nic ocena wielkości pewnego krateru księżyca w sposób taki, że „mógłby przykryć znaczniejszą część hrabstwa Devonshire, albo tę część jego od Biderfordu na północy aż do morza na południu, i od granic Cornwalii na wschodzie aż do Exeteru na zachodzie." — Do angielskich też chyba tylko dzieci może się odezwać nauczyciel: „Czyście zapomnieli, jak Mrs. Quickly w Wesołych kumoszkach z Windsoru powiada nam: wieszczki zielone, białe, bure, ryże i t. d." Gorzéj jeszcze, że opisy przyrody tyczą się Anglii, są tam szczegóły, z któremi u nas nigdy spotkać się nie można. Nawet ludowe nazwy angielskie gwiazdozbiorów w tłomaczeniu bez zmiany pozostały, — czytamy więc o „karolowym dyszlu," o „wózku niedźwiedzicy," a nawet dowiadujemy się, że pewną drobną, prawie niedostrzegalną gwiazdkę, nazywają wieśniacy angielscy „Jack zamiast drugiego konia." I te wyrazy mają wbić się w pamięć dziecku, które nie słyszało polskich nazw gwiazdozbiorów! Jest to niestety klątwa tego nadmiaru przekładów, któremi nas księgarnie nasze zasypują. Gdyby panu Potockiemu dano możność napisania rzeczy oryginalnéj, czyżby nie mógł utworzyć książki dostępniejszéj, lepszéj, któraby zapoznawała dzieci z przyrodą krajową i z nazwami polskiemi.

W książce oryginalnéj nie moglibyśmy téż czytać zapewne o umbrze i penumbrze, (str. 163) albo, że na słońcu są faculae (zamiast pochodnie). To pozostawianie tak niepotrzebnych terminów łacińskich tém bardziéj uderza, że znajdujemy nazwy polskie, bez których może lepiéj byłoby się obywać, jak drobnowidz, dalekowidz, a nawet widmowidz, zamiast spektroskop. Drobnowidze te i dalekowidze dawno już wprawdzie ukuto, trudno wszakże chyba o większą obrazę ducha języka, jak w téj końcówce widz, zastosowanéj do nazwy przyrządu. Mówi się téż u nas „wzrok daleki, dalekowzroczność," a nie „wzrok długi, długowzroczność;" powierzchnia strumienia lawy krzepnie, a nie „twardnieje" (str. 125), zakrycie gwiazdy, a nie „zaćmienie" (okultacya), wyroby nefrytowe, a nie „dżadowe". Spektroskop, nazwany w tłumaczeniu bezpośrednim (str. 146) jest to spektroskop *à vision directe*, — można go po polsku nazwać chyba prostym, albo prostolinijnym, ale żadną miarą bezpośrednim. Niewłaściwém i błędném nawet wydaje się daléj spolszczenie „zmiana druga" zamiast drugiéj kwadry księżyca. Możnaby się i o kilka innych pospierać wyrazów, — ale rzeczy takie są w przekładach prawie nieuniknione.

O błędach korektorskich nie wspomniałbym, gdyby nie były zbyt rażące. Tak np. (str. 173—4): „Bardzo niedawno jeszcze tylko lu-

dzie, mający przystęp do teleskopów najpotężniejszych, mogli widywać istotną postać Oryona, gdyż rysunki jego z konieczności były bardzo niedokładne.“ Należy się domyślać, że tu mowa nie o Orionie, ale o mgławicy Oriona. Albo (str. 189): „Ale jakkolwiek piękną jest Wega, w pobliżu niéj znajduje się jeszcze ciekawsza gwiazda; mała ta gwiazdka, zwana Lirą przez astronomów...“ Lira wszakże jest to nazwa gwiazdozbioru, w którym się Wega znajduje; ma tu zaś być — epsilon (ε) Liry.

Niemniéj szkodliwe dla czytelników są drobniejsze błędy jak (str. 195): „nasza gwiazda — słońce ma 7 planet,“ albo wiadomość, że „najbliższa z gwiazd nam znanych odległą jest najmniéj jakie dwadzieścia milionów mil,“ gdy o kilka wierszy wyżéj czytamy, że już Saturn jest o 800 milionów mil od nas odległy. A przecież to książka dla dzieci, którym błędy takie w pamięci utkwić mogą.

Pomijając te usterki, wydanie jest dosyć staranne, a rysunki, których w książce jest przeszło ośmdziesiąt, oprócz niewielu, jak fig. 45, fig. 46, albo fig. 51, przedstawiają się dobrze.

„Podręcznik do nauki Literatury powszechnéj“ ułożony przez Teresę Prażmowską. Kraków — Warszawa. T. Paprocki i S-ka. 1892. 8-o str. 550.

Książka z tytułem jak niniejszy zdawna była pożądana; tylko biorącją do ręki, pragnęłoby się znaleść w niéj nareszcie to, na co próżno czeka po chybionych próbach Lewestama, Scherra, etc: treściwego ale systematycznego *compendium* literatury powszechnéj, traktowanéj metodą historyczną i porównawczą, według stałych krytycznych i estetycznych zasad, — których, mniejsza o to, — byle jednolicie, poważnie i porządnie, ze świadomością, że się ma do wykonania ważne zadanie.

Autorka rozprasza te zachcianki krytyka, zapowiadając skromnie, że książka jéj jest kompilacyą, — niczém więcéj. Przykładam więc do niéj ostatnią miarę, — chyba najniższych wymagań: niech będzie kompilacyą rozumną, zestawioną z kilku bodaj dzieł dla sprawdzenia rzetelności poglądów; niech wybierze osobistości i fakta istotnie ważne, typowe, niech na kilku stronicach poda tło historyczne i etnograficzne, jak podają książki, z których czerpała; niech skreśli jasno charakter dominujący epoki, pisarza i dzieła.

Nie; autorka używa do swéj roboty jedynego podręcznika: Dziejów literatury powszechnéj z ilustracyami wychodzącego w Warszawie, a że wydawnictwo to sięga obecnie dopiéro XVII wieku, uzu-

pełnia resztę z niewymienionéj, ale widać bardzo lichéj książczyny, w któréj brak nawet najważniejszych szczegółów.

Potrzeba więc zejść jeszcze niżéj, tam, gdzie zaczyna się nigdy dla autora niezaszczytna pobłażliwość: czy przynajmniéj to jedyne swoje źródło wyzyskała autorka z szacunkiem winnym rzeczy pożyczanéj?

Naprzód, jakie jest pojęcie autorki o istocie literatury „powszechnéj,“ skoro z drugorzędnych powodów usuwa literatury: francuską, niemiecką, polską i ruską (pod pozorem, że „przyjętym u nas ogólnie zwyczajem nauka tych literatur poprzedza wykład powszechnéj); jakże np. można bez literatury francuskiéj mówić o prądach pseudoklasycyzmu i materyalizmu, a bez niemieckiéj o romantyzmie? W zamian za to jedna piąta książki objęła literatury: chińską, japońską, mongolską, murzyńską, mexykańską, indyjską, zendzką, hebrajską, arabską, egipską; widoczna jest, że autorka pracowała bez rozkładu, że zaczęła z rozmachem, a skończyła dorywczo.

W obec téj dorywczości wycieczek w zupełnie obce kraje trudno się dziwić, że nie może zoryentować się w masie szczegółów, zwłaszcza przy rozstrzelonym na epoki i literackie działy układzie książki. z któréj czerpała; że opuszcza całe literatury, jak prowansalską, że z całych epok wybiera po jednym autorze i to nieszczęśliwą ręką, po autorze najmniéj typowym; że w zamian zapomina o takich postaciach, jak Jorge de Montemayor, autorze „Diany“ lub o Metastazyuszu; że jedne literatury jak hiszpańską lub angielską doprowadza do ostatnich dni (zapominając jednak o takich rodzajach literackich, jak hiszpański dramat, lub o takich autorach, jak Swinburne), inne zaś, jak włoską tylko do początku tego wieku.

Dumą autorki jest potoczysty styl, stąd zabawne nieraz wkraczanie w dyskurs: „Poetą jest także Giusto Conti,“ powiada (str. 258), wymieniając go jako przedstawiciela poezyi włoskiéj XV w., jedynego obok Poliziana i Wawrzyńca; nie wymienia zato braci Pulcich, w skutek czego Bojardo zwie się „pierwszym z pomiędzy epików.“ Albo: „Nie pozostawała téż odłogiem filozofia,“ powiada, kierując ku Giordanowi Bruno, który żył w epoce właśnie najgwałtowniejszego filozoficznego ruchu (str. 268). Albo: Do myślicieli zaliczyć téż potrzeba (!) ekonomistę J. St. Milla (str. 395).

Aby mię nie nazwano pedantem i abym miał prawo zakonkludować, że książka pani Prażmowskiéj w żaden sposób nie może służyć za podręcznik naukowy, wyliczę szereg grubszych błędów, jakie się znajdują tylko w dziale literatur włoskiéj i hiszpańskiéj.

O pochodzeniu języków romańskich (rzekomo z literackiéj łaciny

„tracącéj pierwotną czystość, zmieniającéj tak składnię jak i stylistykę (!)) mówi autorka zupełnie błędnie na str. 209, — i o dziwo! zupełnie poprawnie na str. 237, upierając się jednak przy nazywaniu ich *romanzo*, zam. *roman*.

Redondillas nie są formą romansów (str. 216); definicya ich fałszywa, gdyż schematycznie redondilla wygląda tak:—a : b : b — a.

Na str. 232 czytamy: „Dydaktyka powieściowa przybrała najobszerniejsze rozmiary w Hiszpanii (jaka apodyktyczna pewność!), gdzie w XIV w. powstaje „Księga szlachetnéj miłości“ i „Hrabia Lucanor.“ Autorem jéj jest D. J. Manuel. Zatém téj księgi? Widać nie, skoro dalej dowiadujemy się, że autorem owéj jakiejś „Księgi“ jest J. Ruiz, który się sam nazywa „Prałatem z Hity.“ „Forma jest mieszaniną: alexandryny z redondillami (!). Utwór zaś D. J. Manuela składa się z 49 powiastek (*exemplos*) i toczy się prozą.“

I oto, co o tychże autorach czytamy na str. 287: „D. J. Manuel, autor poematu „*El Conde Lucanor*...“ i D. J. Ruiz, arcybiskup(!) kastylski, autor poematu alegoryczno-satyrycznego p. t. Post, Karnawał i Wiosna...“

Niech Szan. autorka zliczy błędy a choćby przeciwieństwa zawarte w tych dwu krótkich ustępach. Ani utwór wesołego arcykapłana (*archiprete*) z Hita nie nosi tytułu „Ks. szl. mił.“, ani tendencya jego nie jest religijno-moralna, ani „Bitwa postu z Karnawałem“ nie jest odrębnym poematem. To co powiada o formie alexandryny z redondillami — absolutnie nic nie znaczy, nieświadomość ratować niejasnością na nic się nie przyda. Poeta zresztą używa aż 16 form wierszowych. Nakoniec utwór D. J. Manuela jest zbiorem powiastek i przypowieści, a nie poematem. Brzmiąca nazwa *redondilla* prześladuje autorkę; Alfons XI miał napisać „Kronikę powszechną także w redondillach“ (str. 287). Pominąwszy, że „Kronika“ owa pochodzi z epoki daleko późniejszéj, wypadało raczéj wymienić kantyki Alfonsa X, pisane w narzeczu galickiem, mające dla historyi lit. hiszp. wartość pierwszorzędną.

Na téj saméj stronie czytamy, że „z owéj epoki mnóstwo jest (co prawda) Romanzeros (należy pisać Romanceros) i Cancioneros;“ z pisarzy wymieniono kilku na wyrywki, przyczém Santillana przeszedł na Santilano, a Sentob na Santo.

Na téj saméj stronicy znajdujemy ustęp prawdziwie potworny: „Na początku XV w., na dworze Jana II powstali nowi i znakomici pieśniarze; między innymi D. Inigo Lopez de Mendoso (zam. Mendoza), autor poematu alegoryczno-lirycznego (!) naśladującego potroszę Boską komedyę (!), p. t. Pieśń żałobna na śmierć margrabiego de Vil-

lena. Wydał także „Zbiór przysłowiów (może przysłów) i sentencyj wierszem D. J. de Mena, etc.“

Oto jak rzeczy stoją: Autorem „Przysłów“ jest D. J. Lopez de Mendoza; autorem sławnéj pieśni żałobnéj jest D. Jorge Manrique; J. de Mena zaś jest autorem owego poematu, układem tylko przypominającego Boską Komedyę, którego tytuł brzmi: *Las Trecientas*.

Idę daléj, nie zatrzymując się przy błędach druku przekręcających nazwiska i ich pisownię.

„Disparates“ mają być „ujęte w formę romancy“ (str. 296), co błędne, gdyż *disparates* pisane są zawsze w decymach.

Nowe odkrycie: *Inez de Castro* Bermudeza ma być tragedyą, „jedną z najpiękniejszych w literaturze powszechnéj“ (str. 298).

Najwybitniejszą z poetów XVIII w. ma być Juana Inez de la Cruz (str. 321); obok niéj wymieniono jedynie: Garcia de la Huerte i Zuzana. A gdzież o wiele znakomitsi: Moratin, Menendez, Valdés, Jovellanos, Iriarte, Cienfuegos, Feijoo, Isla?

W historyi lit. włoskiéj mniéj błędów, ale błędy wszędzie, gdzie autorka próbuje dorzucić własne objaśnienie, co na szczęście zdarza się dość rzadko.

Ciullo d'Alcamo, przez niektórych zwany Vicenzo (str. 240), — to tak, jakby: Wojtuś zwany przez niektórych Adalbertem.

W Orlandzie Bojarda „miłość“ nie gra wcale „głównéj roli“ (str. 259); podobnie „opisy bitew w pierwszéj części Orlanda Aryostowego“ nie pochodzą „z cyklu Artusa, ale właśnie z Chansons de Geste (str. 261).

Nazwa „Accademia della Crusce“ nie pochodzi od „św. Krzyża“ (!); zowie się Crusca, co znaczy „otręby“ (str. 263).

Castiglione nie był nigdy biskupem (str. 267),

Discorsi, a Rozprawa o 1 dekadzie Liniusza, toż przecie jedno i to samo (str. 268).

Którzy to poeci „spółcześni Alfieri'emu są ckliwi i konwencyonalni?“ (str. 276).

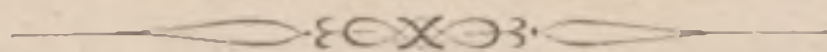
W XVII i XVIII w. brak najważniejszych nazwisk: Muratori, Algarotti, Bettinelli, etc.; Beccaria umieszczony przy Vico'nie (!), a ponich dopiéro Marini. Gdzież tu chronologia i jakaż zasada podziału?

Całą książkę szpeci niezliczone mnóstwo błędów drukarskich, karygodnych w każdym podręczniku szkolnym: Mingo Recelgo zam. Revulgo (str. 296), Pelago (zam. Pelayo) i Pelagianie (str. 285), Savonarole zam. Savonarola (str. 259). Tessoni zam. Tassoni (str.

273), Golzi stale zam. Gozzi (str. 274, 5), Cerari zam. Cesari (str. 275) etc. etc.

Wartość „bibliografii“ zestawionéj po każdym rozdziale oceni się odrazu, zauważywszy, że np. przy hiszpańskiéj literaturze brak właśnie dzieł jedynie ważnych: Ticknora, Schacka, Wolfa, Bouterweckka, etc., nie mówiąc już o nowszych jak Milà y Fontanals, Morel Fatio, Menendez Pelayo, a natomiast obfitość rozprawek wybranych na wyrywki.

W źródłach do włoskiego odrodzenia nie wymienieni nawet Burckhardt lub Gebhart; wprawdzie w książce, z któréj szan. autorka korzystała, nie wymieniono ich również, ale niżéj podpisany, który to opuszczenie ma na sumieniu, nie usprawiedliwia się bynajmniéj, ale gani, sądząc dziś surowo rzecz pisaną przed kilku laty i przyznając się pierwszy, — gdyż krytyka była dlań zbyt pobłażliwa, — do licznych błędów i braków. To przeświadczenie nie pozwala mu równie potępiać autorki „Podręcznika;“ nie mniéj jednak obowiązek kazał zestawić fakta, które ze zbyt okrutną bezwzględnością będą świadczyć przeciw chybionemu zadaniu. *Edward Porębowicz.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Szesnastoletnia uczennica.** Książka dla dorastających panien przez *Ernesta Legouvé.* Przełożyła T. Prażmowska (Warszawa, T. Paprocki, 1892, str. IV, 357). Autor téj książki znany jest dobrze i w naszéj literaturze z przekładów zarówno dramatycznych jak i dzieł pedagogicznych („Dzieje moralne kobiét,“ „Ojcowie i dzieci“). Nowa więc praca jego nie potrzebuje szczegółowego polecenia; wiadomo, że pisze nie tylko przystępnie i jasno, ale téż zajmująco a niekiedy i pięknie; że nie popada nigdy w oschły dydaktyzm, lecz najpoważniejsze nawet temata rozwija żywo, barwnie, dramatycznie. Był i jest zwolennikiem wyższego wykształcenia kobiét, a osiągnięte już rezultaty uważa za szczeble dalszego, wyższego wzniesienia się ducha. Nie sądzi, ażeby te rutyniczne środki, jakie w wykształceniu kobiét zastosowano, czyniły zadość rozumnym wymaganiom; zarzuca mianowicie szkołom francuskim, tak samo jak Simon i Guyau, zaniedbanie w rozwijaniu fantazyi i rozumu, a przeciążenie pamięci uczniów i uczennic. Chcąc wedle sił złemu zaradzić, pisze wymienioną w tytule książkę, w któréj wielostronnie ukształcony dziadek miewa lekcye ze swą

wnuczką, nie systematyczne bynajmniéj, unikając skupiania samych gołych faktów, ale zmierzając ku rozbudzeniu samodzielności w myśleniu i uczuciu, oraz ku ujęciu fantazyi w karby ładu i piękna. Opiéra się w swych zajmujących wykładach na tych pojęciach, jakie uczennica przez studya poprzednie już posiadła, stara się je ożywić, wprawić w ruch tak, żeby nie były materyałem martwo zalegającym w skarbnicy pamięci, lecz żeby w ścisłém ze sobą połączeniu wytwarzały kombinacye myślowe i estetyczne, świadczące o przetrawieniu pojęć w ich przyswojeniu przez organizm duchowy. Bierze tedy na przemiany to pojęcie geograficzne, to dziejowe, to estetyczne, to moralne i w formie pogadanki, często się posługując metodą sokratyczną, wydobywa ze swéj uczennicy myśli i poglądy, które nie miały jeszcze możności w umyśle jéj uświadomić się należycie. W XVII rozdziałach dotyka najrozmaitszych przedmiotów, ale jako dramaturg najchętniéj krąży około wieku Ludwika XIV i z tamtéj doby najwięcéj porusza szczegółów. Bardzo pouczającym, choć trochę stronnym, jest rozbiór podobieństw i różnic pomiędzy Kornelem a Szekspirem; bardzo ładnie wykonana jest charakterystyka „dziewcząt u Moliera;“ a wielce ważnym, godnym szczególnego zalecenia jest rozdział p. t. „Pan Samson, profesor deklamacyi“; gdzie w krótkości streszcza autor swoje dziełko „*L'art de bien lire.*“ W ogóle jest to książka, którą nie tylko szesnastoletnie, ale i starsze panny z prawdziwym pożytkiem odczytać mogą.

= **Zaginiony biograf Peryklesa,** przez *Stanisława Schneidera*, prof. gimn. (Przemyśl, 1891, str. 41). Wiadomo było, że za czasów Cymona i Peryklesa żył w Atenach sofista Stezymbrot rodem z Tazos, zajmujący się alegorycznym wykładem mitów, a zwłaszcza objaśnianiem Homera. Napisał on także dzieło o Temistoklesie, Tucydydesie i Peryklesie. Nie dochowało się ono do naszych czasów; posiadamy obecnie tylko trzynaście fragmentów, w których Stezymbrot wyraźnie został przytoczony; z nich jedenaście znajdujemy u Plutarcha w życiorysach Temistoklesa, Cymona i Peryklesa. Niektórzy krytycy, opiérając się na wiadomościach, zawartych w tych fragmentach, wydali o ich autorze sąd nieprzychylny, a inni zaprzeczyli mu autorstwa. Ujął się za Stezymbrotem profesor jenajski Adolf Schmidt i w dziele p. n. „*Das Perikleische Zeitalter*“ wykazał ważność fragmentów i uczynił wniosek, że dzieło, z którego pochodzi, do źródeł pierwszorzędnych w dziejach Aten należało. Zdanie to podzielił p. Stanisław Schneider, ale nie poprzestając na wywodach Schmidt'a podjął ponowną pracę przejrzenia i ocenienia wszystkich śladów, jakie po dziele Stezymbrota pozostały. Poddał w tym celu szczegółowéj analizie życiorys Pe-

ryklesa napisany przez Plutarcha i posługując się ścisłą metodą krytyczną, wykazał, że w życiorysie autor grecki posługiwał się dwoma głównie pisarzami spółczesnymi Peryklesowi, t. j. Jonem z Chios i Stezymbrotem. Ponieważ zaś pierwszy jako poeta bawiący się tylko w historyę, nie odznaczał się ścisłością i lubił powtarzać plotki o znakomitych mężach krążące po mieście, a stąd i o Peryklesie pozostawił niepochlebne anegdoty, gdy przeciwnie Stezymbrot dbający o dokładność, politycznie wykształcony i rozumiejący wielkość statysty ateńskiego, przyjazne o nim zapisał wiadomości, Plutarch gwałtem a niezręcznie starał się te sprzeczności pogodzić. Na tym wyniku polega główna różnica pomiędzy pracą Schmidt'a a naszego autora: z nią się łączy i różnica w charakterystyce Stezymbrota. Schmidt nie rozróżniwszy należycie dwu całkiem różnych źródeł wiadomości Plutarcha, utrzymywał, że Stezymbrot nieprzychylnym był wprawdzie demosowi ateńskiemu i skłaniał się do poglądów arystokratycznych, lecz mimo to uznawał wielkość Peryklesa i nie myślał na wzór Jona wychwalać Cymona; p. Schneider zaś, nie przecząc, że Stezymbrot uznawał wielkość Peryklesa i powściągliwszym był w pochwałach dla Cymona, nie zgadza się na twierdzenie, jakoby wrogie żywił uczucia dla demokracyi ateńskiéj. W szczegółowym wykazie, skąd i jak czerpał Plutarch, p. Schneider udawadnia, że pominąwszy rozdział 1 i 2 życiorysu Peryklesa jako wstęp, jakotéż rozdział 3 o urodzeniu i osobie ateńskiego statysty, wyszydzanéj przez komedyopisarzy; rozdziały 4—6, 11—14 i 16 oparte zostały na dziele Stezymbrota, 7—10 i 15 na pamiętniku Jona z Chios; następnie rozdziały od 17—28 prawie wyłącznie mają za źródło Stezymbrota; w dalszych przeplatają się wpływy jednego i drugiego pisarza z przewagą wszakże Stezymbrota; tylko rodziały 29, 30 i 37 noszą na sobie niemylne ślady stronniczéj zaciekłości Jona. Końcowy 39 rozdział zawiera własny pogląd Plutarcha na charakter i życie Peryklesa. Ubocznie p. Schneider wskazuje wpływ Stezymbrota na Tucydydesa, a silny oddźwięk jednego frazesu widzi w mowie Lizyasza i w Hellenikach Ksenofonta. Cała rozprawka pisana jest bardzo metodycznie i starannie; język tylko i styl w wielu miejscach szwankują. Nieprawidłowości w składni i zawiłość w budowie zdań i okresów na sposób niemiecki, dają się niejednokrotnie uczuć dotkliwie, że nie wspomnę już o takich zwrotach jak: „dlatego bo,“ do których pisarze galicyjscy ze szczególném lgną zamiłowaniem.

— **Zum socialen Frieden. Eine Darstellung der socialpolitischen Erziehung des englischen Volkes im neunzehnten Jahrhundert** *von dr. Gerhart von Schulze-Gnevernitz.* Leipzig. 1890,

I tom 467 str., 2 tom 510 str. (Spokój społeczny. Przedstawienie społecznego i politycznego wychowania narodu angielskiego w XIX w.). Pod tak ogólnym tytułem, spokój społeczny, pojawiło się w końcu zeszłego roku w literaturze niemieckiéj dzieło, nader przychylnie przyjęte przez krytykę na zachodzie Europy. Jeden z ekonomistów belgijskich nie wahał się nawet wyrazić, że było ono prawdziwem *evenement scientifique* [1]). Przygotowujące się do druku tłómaczenie angielskie może służyć za dowód uznania, jakiém obdarzyła go publiczność w Anglii. Może więc i czytelnik polski dla treści jego nie pozostanie obojętnym. A treść ta jest pierwszorzędnego znaczenia, dotyczy bowiem bytu klas pracujących, pojednania klas wyższych z niższemi, pracodawców, wielkich przemysłowców z robotnikami, jedném słowem organizacyi pracy, a przez to i przyszłéj organizacyi całego społeczeństwa. Wiadomo do jakiego stopnia kwestya ta stała się palącą na zachodzie Europy, i ile sprawia tam zamieszania i niepokoju. I Anglia także przechodziła te niepokoje; od pewnego jednak czasu zaszła w społeczeństwie angielskiém głęboka zmiana, pozwalająca wróżyć, że reformy społecznéj dokona ona na drodze pokojowéj. Przedstawienie téj zmiany było właśnie zadaniem Schulze-Gnevernitza. We wstępie autor maluje dosadnemi barwami przewrot w społeczeństwie angielskiém w XIX wieku, kiedy, w skutek rewolucyi przemysłowéj, z rolniczego stało się przemysłowém, a z arystokratycznego demokratyczném. Z przewrotu tego wynikły przeciwieństwo i walka klas, prowadzona z taką zaciętością, że w ruchu chartystów, między 1830 i 1848 r., walka ta groziła gwałtowną rewolucyą socyalną. Wtedy społeczeństwo angielskie znajdowało się nieraz nad brzegiem przepaści; obecnie jednak pamięć minionego niebezpieczeństwa, należy już do historyi, nowa zaś droga, na którą społeczeństwo to wstąpiło, nietylko, że nie przedstawia takiéj jak dawniéj grozy, ale owszem prowadzi do pożądanego przez wszystkich celu, spokoju społecznego. W jaki sposób zmiana ta nastąpiła przedstawia Schulze Gnevernitz w następnych trzech księgach, na które dzieli się jego dzieło. Wogóle, zdaniem jego, zmianę tę zawdzięczać należy temu, że od 1848 r. naród angielski otrzymał inne, odpowiednie wychowanie socyalne i polityczne. Pod tym względem autor słusznie utrzymuje, że każda głęboka reforma w społeczeństwie musi mieć za punkt wyjścia zmianę w jego ideach, pojęciach, zapatrywaniach na życie pojedyńczego człowieka i społeczeństwa. Najprzód zmianę tę można spostrzedz na ludziach wybitniej-

[1]) Mahaim w Revue d'economie politiqae 1891. Juillet, str. 604.

szych, myślicielach, filozofach, którzy wyrabiają te nowe poglądy i zapatrywania. Za nimi dopiéro postępują masy narodu, ulegając ich przeważnemu wpływowi. Ten pogląd wpłynął na nadanie tytułu całemu dziełu. Dla tego się w pierwszéj księdze autor zastanawiał obszernie nad wpływem, jaki wywarł Carlyle na społeczeństwo angielskie. Nie ulega wątpliwości, że wpływ ten był ogromny. Toż sami Anglicy przyznają, że *Carlyle's personnality dominates the Victorian era*, że jego umysł wywarł dominujący wpływ na całe moralne i intelektualne usposobienie społeczeństwa angielskiego w epoce królowéj Wiktoryi. Niepodobna nam wdawać się tutaj w rozbiór zapatrywania tego męża; poprzestańmy na powiedzeniu, że stał on w zupełném przeciwieństwie z dawniejszymi ekonomistami, jak Ricardo i inni, którzy chcieli budować stosunki społeczne i ekonomiczne na egoizmie indywidualnym, zasadzie *laisser faire* i t. d. Przeciwnie Carlyle wszędzie występował przeciwko istniejącym porządkom społecznym, opierając się na altruizmie, dowodząc, że bez tego żadne społeczeństwo nietylko rozwijać się, ale nawet ostać się nie może. Druga księga poświęcona jest rozbiorowi rozmaitych prądów społecznych, które wypłynęły z tego ogólnego źródła, będąc bezpośredniém lub pośredniém następstwem popędu, nadanego przez Carlyle'a. Tutaj więc rozpatruje autor kierunek socyalno-chrześciański, który się przejawił w ogromnéj liczbie rozmaitych stowarzyszeń, mających na celu przyjście z pomocą niższym klasom ludności. Kierunek ten nosił na sobie wybitne cechy religijne. Obok niego powstał drugi kierunek świecki, przedstawiany przez uniwersytety i takich ludzi jak Ruskin, Toynbee, których działalność i wpływ na stosunki społeczne dotychczas bardzo mało są znane na kontynencie, a którzy nadzwyczaj wiele zrobili dla zbliżenia klas, usunięcia lub złagodzenia wzajemnych niechęci i rozgoryczenia. W téj także księdze autor zastanawia się nad wpływem pozytywizmu i socyalizmu na społeczeństwo angielskie. W trzeciéj księdze, obejmującéj cały drugi tom dzieła, Schultze-Gnevernitz rozbiéra praktyczne środki stosowane przez ludzi, pozostających pod wpływem wyżéj przytoczonych czynników fizycznych lub umysłowych, w celu zapewnienia spokoju społecznego. Tutaj więc rozbiéra szczegółowo powstanie i rozwój *trade-unions*, przedewszystkiém w tych gałęziach przemysłu, które stały się szczególniéj ważnemi do społeczeństwa angielskiego, jak np. w przemyśle tkackim, górniczym, żelaznym. Późniéj przechodzi do rozbioru podobnych instytucyi dla robotników t. z. *unshilled*, to jest nie mających specyalnego, technicznego przygotowania, jak np. robotnicy w dokach okrętowych. Wogóle w księdze téj autor zastanawia się szczegóło-

wo nad organizacyą pracy, będącéj jedném z najważniejszych zadań dzisiejszego społeczeństwa, wykazuje jak pod tym względem Anglia potrafiła przełamać wiele trudności, lub rozwiązać wiele kwestyi, które dotychczas zostały palącemi i w najwyższym stopniu groźnemi dla spokoju społecznego na stałym lądzie Europy. Że rezultaty swojéj pracy autor przedstawia z gruntowną znajomością nabytą nietylko z książek, ale i przez dłuższy pobyt w Anglii, zbyteczném byłoby dodawać. Sumienność znów swoją posunął do tego, że każdy rozdział dzieła przedstawił przed wydrukowaniem do przejrzenia rzeczoznawcom angielskim, w celu otrzymania od nich wskazówek do poprawek lub uzupełnień, gdyby je uznali za potrzebne. Do zarzutów możnaby zaliczyć to, że przedstawienie społecznych i politycznych zapatrywań Carlyle'a nie jest dostatecznie ścisłe i wyczerpujące. W każdym razie dzieło Schultze-Gnevernitza ze wszech miar zasługuje na uwagę każdego, komu drogi jest spokój społeczny a zarazem spokojny i normalny rozwój społeczeństwa. *A. Okolski.*

— *W. Windelband.* **Geschichte der Philosophie.** 1 bis 3-te Lief. Freiburg, bei Mohr, 1890—91, str. 384. — Autor przytoczonego w nagłówku dzieła, profesor uniwersytetu w Strasburgu, postawił sobie za zadanie, zamiast „historyi filozofów", jaką zawiera większa część podręczników, dać historyą saméj filozofii. Grozi nam niebezpieczeństwo powiada on, że po za stroną historyczną możemy zapomnieć o filozoficznéj w dziejach filozofii." Aby zapobiedz temu, przedsięwziął autor przedstawić „historyą zagadnień filozoficznych, oraz pojęć w y t w o r z o n y c h w celu ich rozwiązania." Wyrazy, któreśmy podkreślili, wykazują w samém sformułowaniu zagadnienia głębsze rozumienie istoty postępu w dziejach myśli ludzkiéj. Kto się wpatrywał bliżéj w te dzieje, wié dobrze, że nietylko postęp w zakresie umiejętności spekulacyjnych, ale i wiedzy doświadczalnéj, polega głównie na wytworzeniu odpowiednich pojęć, z któremi się przystępuje do materyału wiedzy. -- Kładzie na to nacisk Whewell w swojéj historyi umiejętności indukcyjnych, zaznacza to i Zeller w klasyczném dziele o filozofii greckiéj. A ktokolwiek choć pobieżnie rzucił okiem na dzieje filozofii, mógł łatwo dostrzedz, że każda epoka w historyi myśli ma swoje zagadnienia palące, zagadnienia, na których skupia się przeważnie praca umysłów przodujących téj epoki. Zaznaczenie tych zagadnień, wykazanie tego, w jaki sposób niejasne początkowo pojęcia ulegają stopniowo rozczłonkowaniu i ścisłemu odgraniczeniu, jak dzięki téj pracy analitycznéj przekształcają się z biegiem czasu i same zagadnienia, wreszcie w jaki sposób, odpowiednio do postępu

w analizie, odbywa się praca syntetyczna, odbudowania pojęcia o świecie z wytworzonego przez analizę materyału, czyli jak zmieniają się odpowiedzi na zagadnienia filozoficzne w miarę postępu wiedzy, stanowi zadanie Windelbanda, a jest zarazem stroną, którój przedewszystkiém szuka w dziejach filozofii ten, kto do nich przystępuje nie jako historyk, lecz jako filozof. Nowém jest tu (pomijając szczegóły) właściwie ugrupowanie materyału według zagadnień, czém się dzieło Windelbanda wyróżnia od wszystkich biograficznych historyi filozofii. Tak plan dzieła, jak i wykonanie uważamy za tak trafne, że, jakkolwiek książka nie jest jeszcze skończoną, śpieszymy podać o niéj krótką wiadomość naszym czytelnikom, a to tém bardziéj, że oprócz wyczerpanego już, a zresztą w wielu punktach przestarzałego, podręcznika Schweglera, nie posiadamy w języku polskim żadnego krótkiego (nie mówiąc już o obszernych) wykładu historyi filozofii, zasługującego na uwagę. — W trzech dotąd wydanych zeszytach doprowadził autor dzieje filozofii do środka epoki oświaty; całość stanowić będzie 6 zeszytów, a więc około 750 stron. Aby w takim szczupłym zakresie przedstawić całe dzieje filozofii, nie będąc przytém pobieżnym, musiał być zwięzłym. Po za tą zwięzłością jednak, skutkiem któréj czytanie wymaga pewnego natężenia uwagi, jest on zupełnie jasny i przystępny, a o ile możemy sądzić z tego co wyszło dotychczas, bardzo umiejętnie wywiązuje się z zadania: być treściwym, nie będąc pobieżnym. W końcu każdego rozdziału podane są odmiennym drukiem zredukowane do *minimum* szczegóły biograficzne, oraz bardzo starannie zebrana literatura. — Ponieważ w miarę postępu myśli, zmieniają się po części same zagadnienia, po części zas forma ich sformułowania, niepodobieństwem więc byłoby śledzić historyi pojedyńczych zagadnień przez cały przebieg dziejów. Dlatego téż po krótkim wstępie, w którym traktuje się o pojęciu filozofii i o historyi filozofii, jako umiejętności, dzieli ją autor na siedm epok: 1) Filozofia grecka od początków naukowego myślenia do śmierci Arystotelesa (t. j. od roku 600 przed Chr. do 322); 2) Filozofia heleńsko-rzymska,—od śmierci Arystotelesa do upadku neoplatonizmu (322 przed Chr. do około 500 po Chr.); 3) Filozofia wieków średnich,—od ś. Augustyna do Mikołaje Cusana (od V do XV stul.); 4) Filozofia odrodzenia, — od XV do XVII stul.; 5) Filozofia oświaty — od Locke'a do śmierci Lessinga (1689—1781); 6) Niemiecka filozofia—od Kanta do Hegla i Herbarta (1781—1820); 7) Filozofia XIX-go stulecia. — Każdą z tych epok dzieli autor na peryody; tak np. 1-sza obejmuje 3 peryody: kosmologiczny (do sofistów), antropologiczny (sofiści i sokratycy) i systematyczny (Demokryt, Plato i Arystoteles). Aby dać pojęcie o ugrupowa-

niu zagadnień, przytoczymy tu niektóre z nich. W pierwszéj epoce mamy: peryod 1-szy: pojęcie bytu (istoty rzeczy); pojęcie powstawania (sposób tworzenia się wszechrzeczy); pojęcie poznania;—peryod drugi: zagadnienie moralności i zagadnienie wiedzy i t. d. W epoce 2-éj: ideał mędrca; mechaniczne i teleologiczne pojmowanie świata; wolność woli i doskonałość świata; probierze prawdy; powaga i objawienie: duch i materya, Bóg i świat, problemat dziejów. — Cały wykład jest w wysokim stopniu pragmatyczny; autor nie traci nigdy z oczu myśli przewodniéj. Podstawą do oceny jest filozofia krytyczna, któréj przedstawicielem jest Windelband. O ile sądzić możemy z poprzednich dzieł (a zwłaszcza z dziełka p. t. *Praeludien*), można się spodziéwać pewnéj przesady w ocenie znaczenia przeważnego filozofii niemieckiéj, za wskazówkę czego służy już wydzielenie jéj w odrębną epokę. Pomimo to, zdaje mi się, że już na podstawie tego, co wyszło dotychczas, można gorąco polecić dzieło Windelbanda każdemu, kto chce się zapoznać z historyą filozofii. *Wł. K.*

— *Angelo Mosso*, profesor fizyologii w Turynie. **Strach**. Przekład M. Flauma. Paprocki. 1891. Trzeba przyznać, że w dziele swém, Angelo Mosso pozwala profanom zajrzéć do swéj pracowni nietylko przez dziurkę od klucza, lecz wprost im wszystkie jéj kąty pokazuje. Niezwykła jasność w wypowiadaniu nadzwyczaj systematycznie ugrupowanych prawd naukowych i poglądów własnych i cudzych, barwność, połączona ze ścisłością, żywość, a nawet czasem poetyczność stylu -- wszystko to razem sprawia, że studyum popularne Mossa, chociaż gruntownie naukowe, przeczyta każdy, nawet miernie ciekawy tajników biologii — niby romans, tylko, że zamiast rozstroju nerwów, zyska tu zapas znaczny najpożyteczniejszych wiadomości o sobie samym. A zakres tych wiadomości daleko okaże się szerszym niż zdaje się to zapowiadać tytuł. „Strach“ Mossa traktuje wogóle „o wyrazie“, o wszelkich objawach wzruszeń u istot żywych, a nawet wogóle o wpływie wrażeń na organizmy ludzi i zwierząt. Ogromna ilość trafnie nagromadzonych, odpowiednio oświetlonych faktów pozwala nawet niekapłanom wiedzy, nie poprzestając na wierzeniu na słowo autorowi, sprawdzać na każdym kroku jego twierdzenia i dochodzić samodzielnie niby do pewnych poglądów: czytelnik bierze, zda się, udział we wszystkich doświadczeniach uczonego. Autor często wskazuje różnice w zdaniach, dzielące go od Darwina i Spencera, wiarą jednak jego naukową jest ewolucyonizm, którego twórcy wszakże, jak twierdzi, „niedość byli fizyologami“. Pozytywny ewolucyonizm nakazuje znakomitemu fizyologowi turyńskiemu uważać

świadomość za wynik procesów chemiczno-mechaniczno-organicznych, ci jednak, którzy nie chcą i nie mogą rozstać się z wiarą w duchowość duszy ludzkiéj znajdą w „Strachu“ kilka pocieszających wyznań. Oto np. jedno z nich. „Jakkolwiek z pomocą najdoskonalszych środków fizyologicznych badałem czynności mózgu, jakkolwiek tętnił on w moich oczach“, wrząc pracą umysłową lub spoczywając w ciszy sennéj“—istota procesów psychicznych pozostała dla mnie tajemnicą. Wszyscy wierzymy (?), że czynności duchowe są owocem nieprzerwanego szeregu naturalnych przyczyn, spraw fizycznych i chemicznych, które od najprostszych zjawisk odruchowych stopniowo prowadzą do instynktu, rozumu, uczucia i woli; lecz dotąd najmniejszego nie dokonano odkrycia, które pozwoliłoby dojrzéć, a tém mniéj pojąć istotę świadomości“. Przekład odznacza się poprawnością.

— *Aleksander Rembowski.* **Kazimierz Wodzicki jako myśliwy.** Gebethner i Wolff. 1891. Książka ta wymowniejszym jest dowodem, że w panu Rembowskim piśmiennictwo nasze posiada wybitnego znawcę, nietylko dziejów narodu, lecz i jego myśliwstwa, i co zatém idzie, naszych lasów, kniei i pól, i zwierząt i ptastwa. Czytając studyum niniejsze trudno jest naprawdę zdecydować, co bardziéj pobudzało autora do jego napisania: czy sympatya dla Wodzickiego, czy téż dla ptasząt, które „Zapiski ornitologiczne“ lub téż własne przygody myśliwskie i spostrzeżenia kazały mu „ukochać“? Jedno tylko nie ulega w tym względzie wątpliwości, a mianowicie, że wszystko, co się tyczy charakterystyki osobistéj i krytycznéj Wodzickiego i dzieł jego, nie stanowi i ćwierci nawet książki, którą mam przed sobą, pozostałe zaś trzy części — z jakie półtorasta przeszło stronic — zapełnia opowiadanie o samych bohatérach „zapisek“. Opowiadanie zaś to takie żywe i barwne, że, przyglądając się tym gołębiarzom, kukułkom i wróblom, czytelnik musi co chwila tracić z pamięci pretekst, którego się schwycił autor do napisania swéj książki. A trzeba przyznać, że nie mógł chyba Wodzicki godniejszego znaleść krytyka. Cała monografia p. Rembowskiego od początku do końca tchnie tym szczerym duchem myśliwskim, dla którego niebezpieczeństwo jest jednym więcéj urokiem: warto przeczytać, z jakiém głębokiém lekceważeniem odzywa się autor „Kazimierza Wodzickiego“ o przyznaniu się Sienkiewicza do tego, że „wezbranie bagienek“ przeszkodziło mu zajrzéć wgłąb puszcz Białéj Wieży! Do bagienek tych sienkiewiczowskich powraca on kilkakrotnie.—Monografia p. Rembowskiego, jak to już zresztą dałem do zrozumienia, jest nietylko studyum krytyczném (biograficzném nie jest wcale), ale i wprost streszczeniem dzieł Wodzic-

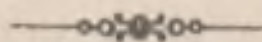
kiego: wyjąwszy stronę anegdotyczną, znajdujemy tu żywcem jego „Bociana“, „Jaskółkę“, „Jastrzębia“, „Kuropatwę“, „Wróbla“, „Kukułkę“ „Kruka“, „Orłów“, „Skowronka“, „Słomkę“ i t. d., i mówiąc szczerze, postaci tych „ptasząt“ daleko wyraźniéj po przeczytaniu „Kazimierza Wodzickiego“ stają mi przed oczyma od saméj postaci znakomitego naszego myśliwca, a nawet i ornitologa.

— *Dr. Napoleone Colajanni.* **La sociologia criminale.** Catania, tom I, str. 505, tom II, str. 704.—**Ire e spropositi di Cesare Lombroso.** Catania, str. 117.—We Włoszech budzi się coraz silniejsza reakcya przeciw jednostronności Lombrosa i wogóle całéj „szkoły pozytywnéj prawa karnego.“ Obóz antropologów - kryminalogów, występując przeciwko różnym metafizycznym pojęciom, panującym w zakresie prawa karnego, jednocześnie nader zawzięcie i namiętnie zwalczał wszelkie poglądy, usiłujące znaleść związek pomiędzy ukształtowaniem stosunków społecznych a zbrodniarstwem. Szkoła antropologiczna w osobie głównych swoich przedstawicieli wprost wołała, że źródeł zbrodni nie ma co szukać w stosunkach społecznych, lecz w zwyrodniałéj już od urodzenia naturze zbrodniarza, który popełniłby przestępstwo nawet w najidealniejszém społeczeństwie. Doszło do tego, że zaprzeczyła niemal wpływowi głodu na wzrost zbrodni. Otóż reakcya obecna zwraca się właśnie przeciwko téj jednostronności. Rozpoczął ją już przed laty Turrati, dzisiaj Pugliese, Alimena, Vaccaro są jéj przedstawicielami. Emmanuel Carnevale wystąpił jakby z manifestem, wypowiadającym założenia główne tego nowego obozu, w pracy *Una terza scuola di diretto penale.* Główném jednak dziełem tego kierunku jest dwutomowa praca d-ra Colajanni, będąca drobiazgowém rozpatrzeniem i krytyką każdego z główniejszych założeń szkoły antropologicznéj. Autor kolejno wykazuje całą niesłuszność zasadniczego założenia kryminalogów antropologicznych, że istnieje jakiś jednolity anatomiczno-fizyczny typ zbrodniarza, napiętnowany właśnie skutkiem tego jakby znamieniem kainowém. Między innemi Lombroso powołuje się na rysy mongolskie twarzy, częstość kości inków i t. d., jako na dowód takiego napiętnowania u zbrodniarzy; tymczasem Colajanni słusznie zaznacza, że nie ma najmniejszego związku pomiędzy fizycznemi rysami rasy, a jéj moralnemi pociągami i że ta sama rasa przedstawia bardzo odmienny charakter moralny w różnych epokach rozwoju dziejowego. Następnie, na podstawie drobiazgowego porównania statystyki rysów „zbrodniczych“ w świecie kryminalnym, wziętéj u różnych badaczów, nasz autor dowodzi, że szkoła antropologiczna co najwyżéj wyjaśnia zbrodniczość

ledwie jednéj szóstéj, jeśli nie dziesiątéj części przestępców; przytém zwraca jeszcze uwagę, że wiele z owych „znamion“ kainowych jest może płodem tych warunków, wśród których wypada żyć wielu kryminalistom od młodości. Swoją drogą, Colajanni zgadza się, iż zbrodniarz urodzony istnieje—w rozmiarach 3—5 procentów ogółu zbrodni, jako postać obłąkana (np. kleptomani), co jednak nie wystarcza, aby na tym kruchym fundamencie wnosić gmach olbrzymi. Nadto przyznaje on, że zbrodniarz przeciętny posiada szczególne rysy emocyonalne, które przy pewnych warunkach społecznych czynią go przestępcą, lecz jednocześnie kładzie nacisk, że przy innych pozostałby on najuczciwszą jednostką (np. osoby, niezdolne do łożenia systematycznych wysiłków, jeśli przychodzą na świat bez majątku, mogą znaleść się dzisiaj zepchniętemi w wir mętów społecznych). Podobnie Colajanni zaprzecza, aby wpływy fizyczne (klimat, temperatura i t. d.) wywierały jakieś działanie na rozmiary zbrodni. Jedyne źródło przestępstwa widzi on w ustroju społecznym; nawet jeśli zbrodniarz popełnia zbrodnią skutkiem szczególnego swego zwyrodnienia, nawet wtedy jest dzieckiem otoczenia społecznego, które właśnie powołuje do życia owe zwyrodnienia. — Dzieło Colajanniego wywołało wielkie oburzenie (nie krytykę!) wśród lombrosistów. Na autora posypał się wprost grad obelg. Jego *Ire e spropositi* są właśnie odpowiedzią na tę wymyślającą polemikę. *L. K.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.



Sprawa chorzenicka. — *Quis* o naszéj prasie. — Czy „Koniec Sodomy“ jest niemoralny? — Karol Kucz. — „Czarownik“ — Przytułek noclegowy. — Państwowe ubezpieczenie robotników. — Budowa dróg.



łośna sprawa chorzenicka została wyjaśnioną i osądzoną w zeszłym miesiącu, w sądzie okręgowym piotrkowskim. Treść jéj, w krótkości przypominamy: P. Stanisław Kobierzycki, na posiadłości swéj w Chorzenicach, zabezpieczał faktyczne, a podobno i fikcyjne sumy, ciotecznego wuja swego p. Juliana Wężyka, które wynosiły w czasie dramatu chorzenickiego około 80 t. rubli. Nie odbierając, w skutek złego stanu interesów p. Kobierzyckiego swojéj wierzytelności, p. Wężyk uzyskał w sądzie sekwestr na Chorzenice, gdzie się téż ulokował z krewnym swoim p. Jabłońskim. Stało się to pod nieobecność Kobierzyckiego, który, dowiedziawszy się o sekwestrze, przyjechał do Chorzenic, celem — jak mówili jedni — zawiązania pojednawczych układów z wujem i zapłacenia akcyzy; a jak chcieli inni — zrobienia awantury i wyrzucenia siłą ze swego majątku wierzycieli. Ani jeden ani drugi zamiar, o ile istniał, dopięty nie został. Przy wejściu p. K. do dworu w Chorzenicach, zawiązała się walka na palną broń, w któréj p. Kobierzycki odniósł ciężką ranę. Czy wierzyciel i przeciwnik jego był istotnie atakowany i znajdował się w stanie obrony koniecznéj, jak dowodził p. Pepłowski, obrońca Wężyka, czy téż okolicznościami podrażniony i uniesiony zawziętością, karygodnie użył broni palnéj, jak chce wyrok pierwszéj instancyi, skazujący Wężyka na rok i cztery miesiące więzienia, a następnie na

wieczne wydalenie, jako poddanego pruskiego, z granic państwa — tego dokładnie wiedzieć nie możemy.

Społeczno-obyczajowa strona téj sprawy była przez opinię naszą i prasę, zaraz po wypadku w Chorzenicach, przed dwoma laty, jak i teraz, w chwili rozpraw sądowych, szeroko komentowaną, sądzoną lub potępianą. Nic w tém dziwnego i nie mogę pojąć zgorszenia i marudzenia felietonisty jednego z tygodników warszawskich, wymawiającego prasie warszawskiéj niepotrzebne zaprzątanie uwagi publicznéj — tą nową *cause célèbre.* Mniejsza o nazwę. ale sprawa na wyjaśnienie i osądzenie zasługiwala. Kiedy, korzystając z rozpraw sądowych i jaskrawych zeznań świadków, szperamy w życiu i przygodach ladacznicy, kiedy robimy nieskończone opisy zbrodniarza lub pobudzamy sensacyjność ogółu motywami tak zwanych „zbrodni z namiętności" — wtedy złą oddajemy przysługę społeczeństwu. Lecz kiedy zaszedł fakt ujemnego charakteru w jednéj z wydatniejszych warstw społecznych, jak się to stało właśnie w Chorzenicach, wówczas z całym spokojom przekonania nad jego doniosłością zastanowić się warto. Tu nie chodzi o to, czy wypadek lub przestępstwo zasluguje lub nie na etykietę *cause célèbre.* lecz o rys obyczajowy tego zjawiska, naprężenia stosunków ekonomicznych lub cech charakterystycznych sfery społecznéj.

Niezawodnie, że sprawa chorzenicka pewne takie cechy i właściwości posiadała. Nie zgadzamy się wprawdzie z tymi, którzy pospieszyli ją przedewszystkiém na specyficzny *debet* sfery szlacheckiéj zapisać. Według nich, załatwianie sporów pieniężnych za pomocą broni i napadu, cechuje przedewszystkiém szlachtę. Dopatrują się oni tutaj ujemnego atawizmu w nieposzanowaniu prawa i osoby przeciwnika. Wystarczaloby sąd taki zbić faktycznym argumentem, że niedawno w Warszawie, na ul. Mazowieckiéj, dwóch kupców korzennych, w tradycyach rycerskich prawdopodobnie nie wychowanych, załatwiło swoje spory także rewolwerem a dramat skończył się jeszcze tragiczniéj: śmiercią jednego, a ciężką raną drugiego wspólnika. Gdzież więc tu szukać cech swawoli i anarchii szlacheckiéj? Albożw klasie wiejskiéj i robotniczéj waśni majątkowe nie kończą się bójkami, a nawet morderstwami.

Naszém więc zdaniem, ekscesy chorzenickie potępić by należało za to, że ze względu na stanowisko społeczne osób, które je wywołały, nie powinny były stanąć na poziomie zwykłéj bójki. Gdyby nie nazwiska uczestników walki, gdyby zamiast strzałów przemawiały kije i noże, gdyby przedmiotem zatargu nie był rozległy majątek, lecz mała osada, wówczas dramat chorzenicki nie różniłby się od setek in-

nych, które sądy rozpatrują, bez obron głośnych adwokatów, bez asystencyi sprawozdawców prasowych, bez natłoczonéj słuchaczami sali i bez zwracania uwagi całego kraju.

Quis, felietonista „Bluszczu“ zastanawiał się niedawno w têm piśmie nad charakterystycznym a ujemnym objawem naszego życia umysłowego i literackiego. Polega on na braku samodzielności, na naśladowaniu zagranicy, na poruszaniu jakiejś palącéj sprawy lub tematu wtedy dopiéro, kiedy opatrzyła go swoim stemplem zagranica. Dziennikarstwo, literatura i sztuka przetrawiają tym sposobem obce temata i wiadomości, a ruch umysłowy jest raczéj sztuczny i anemiczny, niż samodzielny i oryginalny. „Zatracamy oryginalność obserwacyi, tworzenia, myślenia, rozumowania, potrzebujemy zawsze wzoru, podniety, inicyatywy z zewnątrz, jak gdybyśmy sami z siebie, z bezpośredniego otoczenia, z własnego materyału czerpać nie potrafili“ — pisze Quis.

Te bardzo potrzebne i słuszne uwagi Quis napisał po zestawieniu dwu wypadków: obłędu Maupassanta w Paryżu i samobójstwa Stebelskiego w Warszawie. I jeden i drugi byli ofiarami tak zwanéj newrozy; i jeden i drugi byli pisarzami niepospolitych zdolności, lecz samobójstwo Stebelskiego poprzedziło obłęd Maupassanta; Stebelski z nami pracował, żył, cierpiał i tworzył — znaliśmy go więc o wiele chyba dokładniéj, niż autora francuskiego, a jednak dopiéro ostatnim, jego skłonnościami, chorobą i nieszczęściem zajęliśmy się gorliwie, kiedy pierwszemu poświęcono trochę miejsca w rubryce wypadków dziennych.

Taki system traktowania spraw słusznie potępić należy. Quis pozwoli sobie jednak zauważyć, że znając dobrze wewnętrzną maszynerye prasy warszawskiéj i zajmując w niéj jeden z kierowniczych posterunków, zamiast zwalać całą winę tylko na naśladowczy popęd naszych pracowników pióra, powinien był także zwrócić się z apostrofą do naczelników i kierowników prasy, do wydawców i redaktorów. Każdy, kto swoje produkcye na warszawskim rynku literackim sprzedaje, wié, że bardzo często łatwiéj znajdzie zbyt na „wodę“ i tandetę, niż na sumienny i oryginalny wytwór, jeśli ten ostatni dotyka jakiéjś „kwestyi drażliwéj,“ a kwestyi takich setki wytwarzać umiemy. Zwykła odpowiedź redaktorów warszawskich, połączona z kondolencyą brzmi wówczas tak:

— Praca pańska jest bardzo dobra, osobiście podzielam jak najszczerzéj zdanie pana, ale kwestya jest drażliwa, może dotknąć X. lub Y., wywołać polemikę, któréj my unikamy.

Następuje jeszcze cały szereg rozmaitych „ale.“

Najdziwniejszy jest ten podział własnego zdania na „osobiste“ i „nieosobiste.“ „Osobiście“ mamy jeszcze odwagę własnych przekonań, umiemy szeptać na ucho prawdę lub ją w kółku poufnem wypowiedzieć; lecz w organie publicznym staramy się przedewszystkiém mieć szablonową poprawność, a każde śmielsze słówko obwarować całym szeregiem zastrzeżeń.

W takiéj, długą tradycyą uświęconéj atmosferze, nie może téż się wykształcić ani samodzielność obserwacyi, ani odwaga własnych przekonań, ani nawet kompetentna ocena spraw, bezpośrednio nas obchodzących. Przeciwnie — jest to wyborny grunt do rozwoju bezbarwności moralnéj, do wojowania szablonowym i ogólnikowym frazesem, do panowania owczych opinii. Dla tego waleczni nasi publicyści, którzy z taką brawurą sądzą kwestye europejskie, wydają apodyktyczne wyroki o zagranicznych ludziach, stronnictwach i sprawach — o swoich własnych albo milczą, albo nic powiedzieć nie umieją, albo wykręcają się półsłówkami, które i tego, i tamtego i dziesiątego zadowolnić powinny. Nie dziw, że w obec takich warunków słowa drukowanego, łatwiéj, wygodniéj i bezpieczniéj jest powtarzać za panią matką pacierz, łatwiéj kombinować, przerabiać lub wprost przepisywać wypadki i opinie zagraniczne, jak się na to bardzo slusznie skarży Quis, niż poruszać i klasyfikować własne.

Podzielając więc zdanie Quis'a o naśladowczéj manii w objawach naszego życia umysłowego, uważamy jednak, że przyczyn jéj szukać by należało nie w jakiejś przyrodzonéj nieudolności naszéj inteligencyi do samodzielnéj inicyatywy, ile w warunkach, sztucznie i umyślnie ku wygodzie wielu wytworzonych, lecz które przy dobréj woli i energii zmienić by się powoli pozwoliły. Należałoby tylko, ażeby ci, od których ta zmiana zależy, nabrali świadomego przekonania, że niezależność sądu, odwaga własnych przekonań i miłość prawdy są rzetelnemi i koniecznemi zaletami każdego człowieka, a tém więcéj pisarza. Wtedy zniknąćby mogły objawy, nad któremi razem z Quisem ubolewamy i zamiast wiecznego naśladowania i wzorowania się na zagranicy, moglibyśmy posiadać własne opinie, stosunkom i potrzebom naszym odpowiadające.

Mieliśmy do rozstrzygnięcia pytanie: czy sztuka Sudermann'a „Koniec Sodomy“ jest moralną, czy niemoralną? Sztuki tego autora mają chwalebny przywilej budzenia umysłów i świadomości moralnéj w inteligentnym ogóle. Tak było w zeszłym roku z „Honorem,“ który wywołał długą polemikę; tak jest teraz z „Końcem Sodomy.“ Słuchacze a zwłaszcza słuchaczki stawiały sobie pytanie, czy pannom

„wypada“ bywać na tym dramacie? Większość warszawskiéj płci nadobnéj odpowiadała, że „nie wypada.“

Dla czego? Podobno głównie dla tego, że w 3-im, czy w 4-ym akcie jest scena poprzedzająca uwiedzenie przez Wilhelma Jaenischa, bohatera dramatu, niewinnéj i nieszczęśliwéj Klarci. Jeżeli ta scena ma rozstrzygać o owém właśnie „nie wypada“ i o niemoralności sudermanowskiego dramatu, to nigdy formalna moralność, na pozorach tylko oparta, większego nie odniosła zwycięstwa. W istocie rzeczy, kto śledził logiczny rozwój wypadków w dramacie, kto się nad założeniami autora zastanawiał, ten przyznać musi, że scena ta na wywołanie refleksyj moralnych, obliczoną czy téż bezwiednie utworzoną została; że sumienie każdego widza i słuchacza autor umiał pobudzić do gwałtownego i szczerego protestu przeciwko temu wykolejeniu i obłędowi moralnemu, w jaki systematycznie, aż do ostatecznéj katastrofy brnie Wilhelm, przeciwko téj całéj sferze rozpróżniaczonych salonowców, lekkomyślnych i zwodniczych kobiét, marnujących tak nieszczęśliwie swoje powołanie artystów i zdemoralizowanych, zmateryalizowanych giełdowiczów i innych, blagą i nicością świecących, wyrzutków wielkomiejskiego towarzystwa.

Ta moralna tendencya świeci tam tak jasno, że o najdalsze chęci wywołania niepożądanych efektów realistycznych autor posądzony być nie może.

Rzecz jasna, że trudno spór prowadzić z tymi, którzy najwyższą moralność kobiety czy panny, widzą w nieświadomości życia. Ci z równą powagą zalecają oddzielną etykę, jak i oddzielną zoologię dla panien. Jeżeli o wątpliwéj a nawet ujemnéj wartości takiéj etyki nie potrafił ich przekonać Sudermann, pierwszorzędny, zdaniem naszém, mistrz w podnoszeniu i rozcinaniu zagadnień moralno-społecznych — to i my o to kusić się nie będziemy. Te ujemne właśnie skutki kobiecéj nieznajomości życia przedstawia on tam bardzo wymownie.

Na postawione więc wyżéj pytanie, z całém przeświadczeniem odpowiedzieć możemy, że dramatu Sudermann'a, kobiety i panny wysłuchać mogą bez zgorszenia, bo wart on więcéj od tuzina plew repertuarowych. Strusią zaś metodę zwalczać trudno: strusie nie lubią niebezpiecznych widoków. Liczny, na nieszczęście, ten gatunek nie radby przecież dopuścić kobiét do studyów medycznych, a przecież one wejść tam potrafiły.

Warto jeszcze słówko powiedzieć o estetycznéj stronie dramatu Sudermann'a. Nie wiele jest w repertuarze tak złożonych postaci, jak jego bohater. Usiłowanie dramaturgów skandynawskich uczynienia z postaci scenicznych ludzi rzeczywistych, o złożonym mechanizmie ducho-

wym, zamiast szablonowych figur teatru mieszczańskiego, zostało i tutaj pomyślnie w postaci Wilhelma Jaenisch'a wykonane. Zdaje się. że ta właśnie złożona i subtelna jego budowa psychiczna, nie uwzględniona należycie przez krytyków teatralnych, dała niektórym z nich pochop do niekorzystnych uwag.

W zeszłym miesiącu umarł Karol Kucz, redaktor „Kurjera Warszawskiego" przed czterdziestu, a założyciel „Kurjera Codziennego" przed 28-iu laty.

Zasługi jego dla rozwoju popularnéj prasy warszawskiéj, jak zapewniają świadectwa żyjących towarzyszów Kucza z owéj epoki, były duże. W owym czasie podział pracy dziennikarskiéj nie był tak zróżnicowany, jak dzisiaj, nie było prawie jeszcze w Warszawie licznéj reporteryi dzisiejszéj. Kucz jednak potrafił urozmaicać, a często i zapełniać sam jeden różne działy dziennika, z pożytkiem dla pisma, a przedewszystkiém dla ogółu, któremu służył jako dziennikarz i obywatel.

Kucza uważano w swoim czasie za najpopularniejszego człowieka w Warszawie. A prawo do téj popularności zasłużyć sobie umiał. Będąc, jako urzędnik i redaktor poczytnego pisma, w codziennéj styczności ze wszystkiemi warstwami społecznemi, znając ich wyobrażenia, słabości i potrzeby, Kucz opiekował się ubogimi i potrzebującymi, umiejąc zręcznie podsuwać intencye dobroczynne zamożnym, a radę i czynną pomoc ubogim. Trzeba wielkich zalet humoru, fizycznego i duchowego zdrowia, ażeby przy takiéj naprężonéj czynności, będąc jednocześnie obywatelem i filantropem, człowiekiem czynu i słowa, nie stać się ani oschłym pedantem, ani formalistą obowiązku. Kucz posiadał podobno w wysokim stopniu ten sekret, jednocząc w sobie z zaletami człowieka czynu humor i wdzięk towarzyski.

O domu jego w 50-cioletni jubileusz działalności literackiéj pisano: „Dom Kuczów przez kilka lat dziesiątków był ogniskiem towarzyskiego życia w Warszawie w najobszerniejszém i najszlachetniejszém znaczeniu. Literaci, arystokracya, przemysłowcy, finansiści, kupcy, młodzież inteligentniejsza, wszystko to w salonach Kucza spotykało się, bawiło, dysputowało, sprzeczało, tworząc towarzystwo różnorodne, barwne, pełne życia i wdzięku; nie sztywne, nie krępujące się nudną salonową etykietą."

Czy ten bądź co bądź cenny, choćby pod hygienicznym względem, przymiot zachowywania równowagi moralnéj, nie był sekretem poprzedniego pokolenia? chce się zapytać, spotykając go w dzisiejszém bardzo rzadko. Kiedy się stoi przed wizerunkiem takiego Ku-

cza, patrzącego spokojnie bez żółci, ironii i goryczy, kiedy się wspomni zmarłego przed rokiem Wincentego Korotyńskiego, nacechowanego jakimś spokojem przekonania, zachowywanego wytrwale wobec przeciwieństw, starości i czasu — żałować przychodzi tego dziwnego humoru czy spokoju, którego, my młodsi, nie posiadamy.

Praktyki zabobonne i ohydne kwitną jeszcze w naszym kraju. W gub. płockiéj, we wsi Nadółki, owczarz dworski, Teofil Kornacki, dopuszczał się praktyk—jak donosi korespondent „Wieku“ — o których bez głębokiéj odrazy nawet czytać nie można. W okolicy całéj cieszył on się sławą, odziedziczoną po ojcu, cudownego leczenia różnych chorób owczych. Chociaż kuracye rzadko pomyślnym skutkiem były wieńczone, sława Kornackiego nic na tém nie cierpiała, bo niepowodzenie umiał przypisać wpływowi wiatru, księżyca, nietoperzom i t. p. O porady jego starali się nietylko chłopi, ale i więksi właściciele ziemscy. Zresztą obawa, jaką wzbudzał w swych sąsiadach, zabezpieczała Kornackiego dostatecznie od wyśledzenia tajemniczych praktyk.

Zdradziła go własna nieostrożność. Umówiwszy się bowiem z owczarkiem, aby udał się z nim razem w nocy na cmentarz dla wykopania z grobu świeżo pochowanego parobka, w celu obcięcia nóg nieboszczykowi, nie przewidywał, że pomocnik jego doniesie o tém oficyaliście dworskiemu. Ostatni, zapewniwszy sobie milczenie owczarka, udał się wieczorem z kilkunastu ludźmi na cmentarz, oczekując w ukryciu ukazania się czarownika. Około północy nadszedł w istocie Kornacki z rydłem i siekierą i zaczął rozkopywać świeżą mogiłę. Kiedy rydel uderzył o wieko trumny, zaczajeni ludzie przerwali ohydną czynność, przywiązali owczarza do krzyża i pomimo silnego mrozu zatrzymali w takiéj uwięzi do rana. Wtenczas odstawiono owczarza do wójta, gdzie Kornacki zeznał, że miał zamiar z odciętych nóg przez wysmarzenie otrzymać tłuszcz na lekarstwo dla owiec, oraz że proceder swój prowadzi już dawno.

Zarządzona w mieszkaniu Kornackiego rewizya wykryła słoje z cuchnącym tłuszczem i zbiór pokradzionych widocznie rekwizytów kościelnych. Owczarz, po powrocie od sędziego śledczego, został przez włościan za granicę wsi wyświecony.

Streściliśmy szczegółowy opis profanacyi grobu i wyświecenia czarownika. Przypuścić należy, że dla wielu czytelników naszych te praktyki ohydne, ta profanacya, ten akt wyświecenia nareszcie, wyglądają raczéj na wypis z kroniki średniowiecznéj, niż na korespondencyę dziennika, wychodzącego w kraju, który się uważa za ucywilizowany. Przytoczone jednak daty, nazwiska i miejsca wszelką

wątpliwość co do wiarogodności usuwają. A zresztą wypadki takie lub podobne nie są wcale rzadkie.

Przed rokiem izba sądowa w Warszawie rozpatrywała w apelacyi sprawę włościan także z gub. płockiéj, oskarżonych o okrutne, bo aż śmiercią zakończone, znęcanie się nad mniemaną czarownicą, starą i bezbronną kobiétą. Posądzona o moc „zadawania“ czarów, przekleństw i uroków, podległa barbarzyńskiemu katowaniu, którego opisywać tu już nie będziemy, bo egzekucya była zanadto ohydną.

Pocieszać się wobec takich barbarzyńskich obyczajów bierną rezygnacyą, że postęp czasu, oświaty i moralności zniweczą je, byłoby grzechem duchowéj apatyi, bo cóż ta chrześciańska i świecka moralność i oświata robiły dotychczas, jeżeli przy końcu naszego stulecia w szerokiéj masie ludu, w okolicy zamożnéj, żyją praktyki pogańskiego barbarzyństwa? Nie jesteśmy zwolennikami zwalania całéj odpowiedzialności za dzikość i ciemnotę ludu na tak zwanych naturalnych jego przewodników, to jest większą własność ziemską i duchowieństwo; w tym wypadku do nich jednak należy się zwrócić z napomnieniem. Z bezpośrednich spostrzeżeń mamy to przeświadczenie, że tam, gdzie do ludu wiejskiego przemawiano światłym przykładem i rozumném słowem, podobne do przytoczonych wypadki miejsca mieć nie mogą. Zdarzyć się one mogą w okolicach, gdzie mało zasiano ziarna kultury moralnéj.

Przed kilku laty powstał projekt wzniesienia stałego przytułku noclegowego dla biédaków, nie mających własnego schronienia. Magistrat ofiarował potrzebny plac na Pradze, a drogą prywatnych składek zebrano dotychczas na przytułek 10,000 rubli.

W zamiarach właściwéj władzy jest postawić duży, na tysiąc osób, prawidłowo urządzony przytułek, na co zebrana suma naturalnie nie wystarcza. Władza policyjna wystąpiła z projektem o zużytkowanie na budowę przytułku kapitału, spoczywającego w kasie rady miejskiéj dobroczynności publicznéj, a powstałego z dochodów wydziału kontroli służących. Kapitał ten wynosi obecnie przeszło 170,000 rubli.

Jeżeli projekt powyższy zostanie zatwierdzony, wtenczas zaprojektowany będzie i regulamin dla przytułku, ażeby ludzie, znajdujący tam schronienie, zajęci zostali pracą, odpowiednią ich siłom i uzdolnieniom.

Dla dobra koczującéj nędzy, a nawet dla porządku w mieście, taki właśnie stały przytułek noclegowy, zamiast dzisiejszych, czasowych, na zimę tylko otwiéranych, jest niezbędny. Indywidua, nie

mające obecnie schronienia, wynajdują je sobie w rozmaitych kryjówkach miejskich i podmiejskich, w zabudowaniach niezamieszkanych i t. d. Wyciągnięte stamtąd przez policyę, urządzającą na nich od czasu do czasu pościgi, po przenocowaniu w cyrkule, wracają do dawnego trybu. Przytułek noclegowy, racyonalnie urządzony, to jedna z najpilniejszych potrzeb Warszawy.

Gazety ruskie podały wiadomość, że minister skarbu wniósł do rady państwa projekt ubezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków. Naturalnie, że wiadomość dotychczas jest może tylko życzeniem dziennikarskiém. W państwie ruskiém ubezpieczenie robotników stosowano dotychczas tylko sposobem prywatnym, przy pomocy prywatnych towarzystw ubezpieczeniowych; nie przybrały téż one większych rozmiarów.

Ubezpieczenie państwowe ma objąć wszystkie fabryki i zakłady przemysłowe. Składki opłacaliby wyłącznie przedsiębiorcy i fabrykanci. Ponieważ robotnicy ubezpieczani będą tylko od nieszczęśliwych wypadków — więc do emerytury będą mieli prawo tylko kalecy, lub w razie śmierci, pozostałe po nich rodziny.

Że jednak fabrykanci i dziś odpowiadają już karnie i materyalnie za nieszczęśliwe wypadki z robotnikami, o ile te zaszły wskutek braku urządzeń, zabezpieczających życie robotników, więc emerytura państwowa wypłacana byłaby tylko wtedy, kiedy nieszczęśliwy wypadek zaszedł przez zbieg wyjątkowo nieszczęśliwych okoliczności lub z winy samego najemnika.

Zapowiadany więc system ubezpieczeń, objąłby, jak przekonać się można z porównania z ubezpieczeniami rządowemi w innych państwach, tylko jedną kategoryę pozbawionych zdolności do pracy robotników, to jest dotkniętych kalectwem, a więc nie opiekując się jeszcze starością, chorobą i nieudolnością do pracy. Byłby w każdym razie dużym krokiem na drodze zainicyowanego od lat kilku rozmaitemi prawami i przepisami prawodawstwa fabrycznego.

Z pism codziennych dowiedzieliśmy się, że zapadł rozkaz Najwyższy, ażeby w kraju naszym, budowa nowych dróg i mostów, oraz naprawa starych, dokonane zostały w roku bieżącym sposobem gospodarczym, o ile dotychczas nie zawarto kontraktów z przedsiębiorcami. Rozkaz ten ma na celu przyjście z pomocą ludności, dotkniętéj nieurodzajem. Jeżeli gubernialne fundusze drogowe nie wystarczą na pokrycie wydatków, dozwoloną została pożyczka z kapitału asekuracyjnego, przy maksymalném jéj ograniczeniu na całe Królestwo do 500,000 rubli; pożyczka zwrócona być powinna z wpływów podatku drogowego w jesieni r. b. Rozporządzenie dotyczy tylko dróg pierw-

szego rzędu. Roboty powinny być dokonane wcześnie, to jest przed zaczęciem wiosennych robót w polu.

Rozporządzenie, trafnie przewidując, że rządom gubernialnym trudno będzie słusznego rozdziału pracy między ubogą ludnością dokonać, a celem jego jest właśnie przyjście z pomocą włościanom, pozbawionym na przednówku chleba i kartofli, powołuje do życia komitety miejscowe, złożone z administracyi powiatowéj, wójtów gmin i okolicznych obywateli. Ci ostatni zwłaszcza, najdokładniejsze o potrzebach miejscowych włościan posiadający wiadomości, bo bardzo często z położeniem każdego z nich dobrze obeznani, publiczny swój obowiązek powinni wypełnić gorliwie, i ufamy, że go nie zaniedbają.

B. Lut.



SPROSTOWANIE.

W dyalogu moim p. t. „Beatrix Cenci“, drukowanym w „Ateneum“ w zeszycie lutowym, wspomniałem kilkakrotnie o studyum p. Ignacego Matuszewskiego p. t. „Słowacki i Shelley“ (druk. w dodatku „Przegl. tygodn.“, za marzec 1887 r.). Studyum tego, pisząc swój „dyalog“, nie miałem, niestety, pod ręką, wskutek czego pomimowoli wkradło się do pracy méj kilka niedokładności, które w téj chwili, na podstawie powtórnego odczytania wspomnianéj rozprawy p. Matuszewskiego, uważam za obowiązek sprostować. I tak, przedewszystkiém, mylnie się o niéj wyraziłem, że wynosi „kilka stronic wszystkiego“, albowiem zajmuje ona nie „kilka“, lecz ośmnaście stron drobnego garmontu (457—474); powtóre (na str. 232) wyraziłem się między innemi, że p. M. „który, idąc za głosem ogółu, kiedy porównywa polską tragedyę z angielską, wszędzie wyraża się w sposób nie pozwalający wątpić, iż, zdaniem autora, utwór Shelley'a nie był nieznany Słowackiemu“; przyczém, kilka wierszy niżéj, dodałem, że p. M. „na każdym kroku, raz po raz, powołuje się na Brandesa“. Obecnie, mając rzeczony artykuł pana M. przed oczyma, widzę, że 1) autor, jeżeli przytacza — dwa czy trzy razy wszystkiego — Brandesa, to wtedy jedynie, kiedy z nim polemizuje, mianowicie, gdy (na str. 473) wbrew twierdzeniu znakomitego Duńczyka, oświadcza, że Słowacki, nawet gdyby znał dramat Shelley'a, to i wówczas jeszcze nie mógłby go, choćby chciał, naśladować, ponieważ „utwór Shelley'a jest tak jędrnym, tak skupionym, a przytém, obok całéj okropności, tak prostym w intrydze, że naśladować go niepodobna; a 2) że konkluzya, do jakiéj dochodzi ostatecznie p. Matuszewski, nie różni się w niczém tak dalece od tezy postawionéj przezemnie, t. j. że i p. Matuszewskiemu nie wydaje się prawdopodobném, aby Słowacki znał krwawą tragedyę *The Cenci*, choć, jak powiada, „nie wątpimy wcale, że z utworu angielskiego poety mógł on się wiele nauczyć i skorzystać“ (na str. 474); ponieważ jednak, jak tego dowodzi *Beatrix Cenci* Juliusza, niczego się „z utworu angielskiego poety“ nie nauczył, więc musiał najpewniéj o nim nie wiedzieć. W przeciwnym razie synowie hrabiego Cenci nie nosiliby imion fikcyjnych: Tomaso i Aso, ale hi-

storyczne, prawdziwe, jak u Shelley'a: Giacomo i Bernardo; miejscem zbrodni zaś nie byłby w tragedyi Słowackiego Rzym, ale zamek Petrella. Na szczegóły te, i na kilka innych jeszcze, zwróciliśmy obaj uwagę, ponieważ jednak p. Matuszewski pisał o tém już w r. 1887, jemu więc należy się zasługa odkrycia tego argumentu, którego i ja na potwierdzenie tezy méj użyłem. Na zakończenie oddać winienem sprawiedliwość p. Matuszewskiemu, że, pisząc swoje studyum, nie szedł—jak go o to pomówiłem niesłusznie — „za głosem ogółu", nasz bowiem „oświecony" ogół nie interesował się nigdy sprawami tak niemateryalnemi, jak kwestya wpływu Shelley'a na Słowackiego.

Ferdynand Hösick.

Odpowiedź na recenzyę

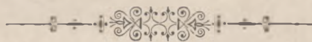
pana Gajslera („Ateneum", z lutego r. b.).

Ponieważ p. Gajsler krytykuje niektóre moje poglądy w „Szkicach lito-windyjskich", czuję się więc w prawie objaśnić go, w czém się myli.

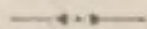
Twierdzenie p. G., że, podług mnie „łaciń. *avus*, *avum*, *us*, *is* stanowią przeistoczenie onego (t. j. końcowego) *ava*", jest błędném, bo a nie *us* i *is* od *ava* wyprowadzam, lecz tylko *avus* i *avis*. Dowodzenie p. G., że „sufiks *va* jest w sanskrycie dwojaki *tva* i *va*" jest także mylném, bo *tva* nie jest wcale co *va*, przeciwnie jest późniejszym wytworem, jakiego w pierwotnéj mowie Aryów nie było. Twierdzenie p. G., że Du Bois Raymond i Winteler „wniwecz obrócili pierwobytność *a*, ponieważ do wytworzenia jego potrzeba rozwarcia kanału ustnego i cofnięcia wstecz języka" jest również błędném, ponieważ tego wcale nie dokazali. Téj pierwotności jasno mi dowiodły wywody lingwistyczne. Niech p. G. np. porówna formy, należące do różnych języków aryjskich, jak: *clava*, *aśva*, *aszva*, *cava-la*, *gava*, *deva*, *slava*, *plava*, z formami ze względu na sufiks pochodnemi od nich: *cla-vi-s*, *ek-vu-s*, *gu-vi-s*, *teu-fe-l*, *kle-o-s*, *plo-o-s*, a przekona się, że tylko *va* jest tu prototypem. P. G. słusznie twierdzi, że dla mnie „pierwobytność samogłoski *a* i pełnogłos są prawami zasadniczemi", lecz myli się, dodając, że Merguet „dowiódł, iż praaryjskie *e*, *ä* przeszło dopiéro w sanskryckie *a*," bo wcale tego nie dowiódł. P. G. myli się, zowiąc kwestyę form pełnogłosowych „sporną", bo spornėm jest tylko to, co jest przedmiotem sporu, gdy, przeciwnie, kwestę ja pierwszy w nauce wysuwam. Twierdzenie p. G. całkiem gołosłowne, że „formy pełnogłosowe dowodzą jeno ich faktyczności, ale nie objaśniają początku, ani genezy" należało poprzeć dowodami, t. j.

wykazać błędność mego twierdzenia, i to wykazać na formach przezemnie podanych i zestawionych, a potém dopiéro sąd swój uogólniać. Ciekawy jestem, jakby sobie p. G. poradził z tym materyałem, jaki w tym przedmiocie podałem! Twierdzenie p. G., że zjawiska lingwistyczne badać należy „z dokumentem w ręku“ wygląda tak, jakby ktoś twierdził, że z dokumentami w ręku potrzeba udawadniać, że dwie linie równoległe nigdy się z sobą nie zejdą, lub że dwa trójkąty o równych bokach są sobie równe. Widzę z tego wszystkiego tylko, żem się nie mylił, pisząc w „Szkicach“ (str. 218), że dotychczasowa „lingwistyka, która, ze względu na swoją nieporównaną ścisłość, powinna być drugą matematyką w rzędzie nauk filologicznych, stała się mizerną scholastyką.“ Stąd téż i twierdzenie p. G., że „stan spółczesnéj lingwistyki zadawalać się powinien zdobyczami pozytywnemi, nie przekraczając indukcyi“ jest wcale nie na swojém miejscu, boć przecie dość chyba jasno wykazałem marność tych „pozytywnych zdobyczy spółczesnéj lingwistyki“ i nikt bardziéj odemnie nie zawarł się w granicach indukcyi. P. G. dosyć protekcyjnie wyraża się, że autor „Szkiców“ „zasługuje na bliższą uwagę uczonych“, a sam go zrozumiéć nie usiłował, przyznaje mu „samodzielność poglądów“, a sam ich samodzielnie nie rozważył, ograniczając się na zacytowaniu kilku pisarzy, których „powaga“ miała memu krytykowi zastąpić własne a samodzielne rozumowanie. *Edward Bogusławski.*

Mając sobie przedstawioną powyższą „Odpowiedź“, pan Gajsler oświadczył, że nie widzi żadnego pożytku z przeciągania bezowocnéj, jak się okazuje, polemiki.



NEKROLOGIA.



† **Karol Kucz**, urodzony r. 1815 w mieście powiatowém Brzezinach, kształcił się w Warszawie i tu wszedł na drogę urzędową, pracując po różnych biurach, aż wreszcie otrzymał wyższą posadę w Izbie obrachunkowéj. Literaturą, a mianowicie poezyą, zaczął się zajmować od r. 1838, kiedy pierwsze swe utwory w „Magazynie Mód“, wydawanym przez Widulińską, pomieścił. W r. 1840-ym wystąpił już z pierwszym ich zbiorkiem, drukując „Próby poetyckie“ (str. 184). Następnie pisywał do „Przeglądu Warszawskiego“, wychodzącego

pod redakcyą Skimborowicza i Budziłowicza, do „Nadwiślanina“, do „Niezapominajek“. Równocześnie dał się poznać jako komedyopisarz, a raczéj wodewilista, a pierwsza jego w tym kierunku praca wyszła r. 1840 p. t. „Przebiegły kuzynek, komedya ze śpiewkami w 1-ym akcie, z muzyką X. U.“ Od r. 1848 do 1865 redagował „Kurjer Warszawski“, i wtedy to pozyskał sobie duży rozgłos i pozawiązywał mnóstwo stosunków, stawszy się jedną z najpopularniejszych postaci w Warszawie. Łatwość pożycia, zdolność improwizowania w czasie uczt mów i wierszyków, a przytém dobroć serdeczna czyniły go wszędzie pożądanym. W r. 1866-ym objął redakcyę „Kurjera Codziennego“ i prowadził ją do r. 1874-go, kiedy z powodu utraty słuchu nie mógł jak dawniéj swobodnie się oddawać stosunkom z ludźmi, a więc i czynnie się zajmować sprawami redakcyjnemi. Na rok przedtém uczczono 25-lecie jego pracy redaktorskiéj, a w r. 1889-ym skromnie już w ścisłém kółku obchodzono 50-tą rocznicę jego zawodu literackiego. Pochłonięty wyczerpującą zwłaszcza w latach dawniejszych pracą redakcyjną, oraz obowiązkami urzędowemi, mało Kucz pozostawił utworów osobno wydanych. Oto ważniejsze: „Pamiętniki miasta Warszawy z r. 1853“, tom I (Warsz., 1854, drugi atoli tom nie wyszedł); „Jasna Góra Częstochowska, gawęda wierszem“ (1857), „Godzina u dziennikarza, krotochwila w 1-ym akcie ze śpiewkami“ (1859), „Tajemnice Starego Miasta“, krot. w 1 akcie ze śpiewami, z muzyką L. Steckiego (t. r.); „Ulica nad Wisłą, krot. w 2-ch aktach ze śpiewami“ (t. r.). Grane prócz tego były: „Rodzina Mazurów“, „Suknia balowa.“ Umarł w Warszawie 9 lutego r. b.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.